Książka [illegible]
ofiarności prof. [illegible]

SZCZĘŚCIE KOBIECE.

SZCZĘŚCIE KOBIECE.

POWIEŚĆ

PRZEZ

JANA ZACHARIASIEWICZA.

WE LWOWIE.
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. H. RICHTERA.
1874.

Z drukarni nar. W. Manieckiego.

ROZDZIAŁ I.

Komuż nie znane są widoki malownicze podgórza karpackiego? Któż zbliżając się do gór dziwnie połamanych, nie wziął ich zrazu za obłoki rozpięte na krańcu widnokręgu? Dopiero zwolna niknie złudzenie, mglista masa zaczyna się szykować w cudowny obraz, a podróżny wpada w drugie złudzenie, myśląc, że już jest tak blisko kresu podróży, że za chwil kilka sięgnie ręką po klamkę tego białego dworku, który widzi przed sobą w tak wyraźnych zarysach.

Niestety, to drugie złudzenie gorsze od pierwszego. Niecierpliwość wystawiona na najgorszą próbę. Dwór biały z czarną grupą drzew umknął gdzieś z przed oczu, gdy prawie ręką można go było dosięgnąć! Za dobrą godzinę okazał się znowu, jak się okazują smaczne potrawy zgłodniałemu Tantalowi, ale okazał się tylko na to, aby znowu ukryć się w jakąś przepaść tajemniczą. Droga bowiem nie idzie prostą linią, okrąża skały i jary, wije się ponad brzegiem potoku, pnie się na grzbiet góry i wpada w dolinę, a za każdym zwrotem zmienia się widok, upragniony dwór biały zjawia się, chowa i ucieka, jakby był istnym upiorem.

Niwelująca wszystko cywilizacya europejska nie dosięgła tutaj, nawet komisarz drogowy z powiatowego miasta uznał po kilku próbach, że siły i środki jego z siłami natury mierzyć się nie mogą.

To też obraz tego ustronia jest taki sam dzisiaj, jakim był przed dwudziestu kilku laty, gdy na wózku pocztowym pod sporą górę jechał młody mężczyzna, którego jasne włosy rozdmuchiwał wietrzyk letni.

Młody podróżny miał twarz przyjemną, spojrzenie bystre i lekki zarost wkoło brody. Głowa pochylona na piersi okazywała, że jest zamyślony; często jednak wyrzucał ją do góry jak hardy rumak, który na chwilę zapomni o wędzidle. Wtedy postać jego miała urok malowniczy. Znamionowała człowieka, który gotów był świat cały wyzwać do walki, a przedewszystkiem zgnieść i zrównać owe niewygodne garby ziemi, które geografia górami nazywa.

Na koźle obok pocztyliona siedział drugi mężczyzna. Z ubioru i całego zachowania wypadało sądzić, że był to służący. Miał jakiś szary kubrak na sobie, przepasany prostym rzemieniem. Siwiejące włosy okrywała czapka pomięta z wygiętym w górę daszkiem; ręce były grube, narobione. Twarz miał może przed dwoma tygodniami ogoloną, dzisiaj jednak zasiana była pod same oczy sterczącą szczeciną białawo-płowej barwy. Brwi ściągnięte do góry były czarne i bujne, a pod niemi paliły się ciemne oczy i w chwilowych wybłyskach przybierały wyraz cierpienia i przebytych boleści, jakto często widzieć się daje u ludzi walczących z pierwszemi potrzebami życia: z głodem i zimnem.

Ponieważ jazda pod górę szła wolno, pocztylion dla

rozrywki swojej i podróżnego zaczął trąbić niektóre ułamki walców i lendlerów.

— Zatrąb Dąbrowskiego — ozwał się podróżny.

Pocztylion obejrzał się na podróżnego, patrzał na niego chwilę, potem obejrzał się dokoła, od jednej góry do drugiej, od lasu aż do potoka, potem przytknął do ust trąbkę i niezbyt głośno zaczął wydmuchiwać pierwsze takty znanej melodyi.

Zapewne siedzący obok niego towarzysz nie lubił wogóle muzyki, lub był wyższym od trąbiącego pocztyliona artystą i fałszywych tonów znieść nie mógł, bo dosyć boleśnie łokciem w bok go trącił i do milczenia zmusił.

Pocztylion zrozumiał admonicyą i puścił trąbkę. Chcąc jednak przerwany zapał artystowski w inny sposób spotrzebować, zaczął raźniej konie batogiem okładać, i daleko prędzej, niż się spodziewał, wyjechał na górę.

Na górze stanęła jadącym w drodze karczma z białym gontowym dachem i z sienią otwartą gościnnie na ich przyjęcie. W sieni stał sędziwy Abraham i pilnie im się przypatrywał. Był to chasyd prawowierny, z pejsami i „cycełes“, w białych pończochach i głęboko wyciętych patynkach.

Gościnny arendasz nie stał tutaj w sieni przypadkiem. Przed chwilą siedział w alkierzu za stołem i płaczliwym głosem wyciągał skargi Jeremiasza nad upadkiem nieszczęśliwego Syonu. Trąbka jednak pocztyliona przerwała mu lamentacye patryotyczne. Zasłyszał znaną sobie melodyą. Zamknął świętą księgę i pospieszył do sieni, aby obaczyć podróżnych, którzy dla rozweselenia serca potrzebują owej nuty.

Trąbka pocztyliona wzbudziła w prawowiernym chasydzie jeszcze inne myśli. Przed kilkoma dniami był u niego komisarz obwodowy i napomknął mu, aby na podróżnych szczególniejszą zwracał uwagę, gdyż nadchodzą czasy, jak się wyraził komisarz, nie bardzo bezpieczne. W czem jednak to niebezpieczeństwo zależéć mogło, nie powiedział komisarz, ale dał arendarzowi do zrozumienia, że powinien mieć się na baczności i donieść mu, jeźli obaczy coś podejrzanego. Do tego dodał nadzieję konsensu wyszynku na wódki słodzone, który stanowił obejście prawa propinacyjnego.

Widmo konsensu stanęło teraz przed oczyma Abrahama. Jakkolwiek wnętrzności jego, jak się wyraża prorok, rozruszane były skargą Jeremiasza nad upadkiem Syonu, doznał jednak w tej chwili przyjemnego wrażenia, gdy sobie pomyślał, że może właśnie dobry Jehowa prowadzi mu przed karczmę coś takiego, o czem właśnie wspominał komisarz.

Od swego ojca słyszał Abraham, że w górach niegdyś gospodarowali opryszki. Być może, że podobna gospodarka mogłaby się powtórzyć, bo cóżby innego miał komisarz na myśli?

Tak myślał sobie Abraham, stojąc w progu karczmy ciągnąc i dalej skargę jeremiaszową, śród której cmokał czasem językiem do widma obiecanego konsensu na wódki słodzone, gdy wózek pocztowy zrównał się z karczmą.

Abraham podniósł jarmułkę na znak przyjaźni i zaufania, jak dziki człowiek na widok drugiego bierze do ust gałązkę oliwną.

Pocztylion zatrzymał konie.

— Góra była serdeczna, proszę pana — rzekł zwracając się do podróżnego — trzeba koniom chwilkę dać wytchnąć.

— Nic nie nam przeciw temu — odparł podróżny — jeźli z kozła zeskoczysz i u tego siwobrodego patryarchy kieliszkiem wódki się uraczysz.

Pocztylion rzucił lejce na ziemię, bo koniom swoim niemniej ufał, jak siwobrodemu Abrahamowi, i zbliżył się do progu karczmy.

Abraham tymczasem już był przy wózku. Obejrzał wszystkie koła, aby z ziemi znajdującej się między sprychami poznać, jaką drogą one przyszły; przypatrzył się dobrze młodemu podróżnemu, porównał jego jasną brodę z brodą pewnego człowieka, którego niedawno w tych górach za jakieś przekroczenie schwytano; potem przeszedł do pomiętej czapki prawdopodobnie służącego, który siedział na koźle.

— Zdaleka? — rzekł podnosząc jeszcze raz jarmułkę na znak, że mówi jako przyjaciel.

— Zdaleka — odpowiedział siedzący na koźle i umilkł zachmurzywszy czoło.

— A daleko? — podjął znowu ciekawy arendarz.

— Daleko — była znowu krótka odpowiedź.

Abraham pokręcił pejsy. Twarz jego wyrażała niezadowolenie. Nie wiedzieć tylko, czy niezadowolonym był z odpowiedzi, czy z podróżnych.

— Płacę za wódkę dla pocztyliona — ozwał się po chwili jasnowłosy podróżny.

— Ny, to bagatela, cztery krajcary; może służyć miodem, dobrym miodem?

Jasnowłosy ruszył głową.

— Ot, lepiej daj mi ognia, panie arendarzu! — rzekł siedzący na koźle dobywszy fajkę.

Abraham spojrzał z uwagą na niego. Tak powściągliwych ludzi nie zdarzyło mu się widzieć. Nie chcą ani mówić wiele, ani miodku skosztować, ani nawet do karczmy wstąpić.

Jakaś myśl lepsza przybiegła do czoła Abrahama.

— Tu się nie zapali — odpowiedział siedzącemu na koźle — trzeba, abyście poszli do karczmy.

— Idź — ozwał się jasnowłosy podróżny — zapalę i ja sygaro.

Towarzysz kozłowy uczynił zadość życzeniu swego pana i za chwilę był w karczmie obok olbrzymiego ogniska, z którego opalonym ożogiem wysuwał mu na kraj komina węgle uczynny Abraham i własnoręcznie na fajkę nagartywał.

Za tak prawdziwie samarytańską usługę zażądał Abraham nagrody od podróżnego, a tą nagrodą miały być odpowiedzie na niektóre jego zapytania.

Kozłowy podróżny był teraz jakoś w lepszym humorze. Nie tylko że sekretnym intencyom Abrahama zupełnie odpowiedział, ale nawet dodał ze swojej strony, że jest ekonomem owego jasnowłosego towarzysza, który właśnie jedzie dla objęcia folwarku, jaki mu w spadku po jednym z krewnych przypadł. O swoim panu także mu coś powiedział, i widać było, że obaj byli z siebie zadowoleni.

Za kilka chwil byli już wszyscy przy bryczce. Pocztylion pochwycił lejce, Abraham podał mu batóg i odwinął zakręcony postronek, a jasnowłosy podróżny zapaliwszy sygaro zawołał:

— No, Mirski, siadaj na kozieł, bo jeszcze kawał drogi przed nami!

— Zaraz, wielmożny panie! — odpowiedział towarzysz kozłowy, i jednym skokiem był już na swojem miejscu.

— Szczęśliwej drogi, *Herr Graf!* — rzekł z ukrytym uśmiechem Abraham, dając do zrozumienia, że już wie, kto jest podróżny jasnowłosy.

Podróżny spojrzał na żyda nieco zadziwiony, ale pocztylion trzasnął tymczasem z bata, a wózek potoczył się szybko po kamienistej drodze.

Zdaje się, że Abraham porzucił marzenie o konsensie na wódki słodzone, bo z należytym spokojem wrócił do karczmy, aby dalej spiewać lamentacye wieszcza hebrajskiego nad upadkiem ojczystego Syonu...

— Czy mówiłeś co z żydem? — zapytał po chwili podróżny siedzącego na koźle towarzysza.

— Powiedziałem mu, wielmożny panie, to i owo — odpowiedział tenże — bo był bardzo ciekawy. Niezaspokojona ciekawość jest gorszą od kilku słów.

— Masz słuszność!.. Pocztylionie, nie żałuj bata!

Wózek z strasznym turkotem potoczył się szybko.

W głębokiem milczeniu jechali podróżni dalej. Zresztą turkot wózka nie pozwalał rozmawiać. Stokrotne echo odbijało się od gór i skał pobliskich, do czego mieszał się szum potoka spadającego ze skały na skałę.

Za godzinę zadyszane konie stanęły na najwyższym szczycie góry, zkąd rozległy widok otworzył się na całą dolinę. Jasnowłosy podróżny chciał właśnie coś pocztylionowi powiedzieć, gdy nagle urwał się postronek.

Pocztylion naklął arendarzowi z białej karczmy, który złą ręką wódkę mu nalewał, zatrzymał konie i wziął się do naprawy.

Tymczasem podróżny i towarzysz jego z kozła zeskoczyli z bryczki, aby dalej iść piechotą, zanim pocztylion postronki nawiąże.

Zrazu szli w milczeniu. Jasnowłosy podróżny szedł naprzód, a towarzysz jego kilka kroków za nim, jak zwykle służący za panem.

Gdy jednak pocztyliona z oczu stracili, zrównali się, jakby byli sobie równi, i w milczeniu czas niejaki na przepyszny krajobraz patrzali.

Obraz był rzeczywiście uroczy. Z zapadłej głęboko doliny podnosiły się pochyłe ściany, malowniczem światłem oświecone. Na tych ścianach rysowały się dwory i zagrody, cerkwie i kościołki, jakby na płótnie olbrzymiem. Zdawało się na pozór, że to tylko martwe było malowidło, ale bystrzejsze oko mogło dojrzeć ruszające się czarne punkciki, które mieszały się ustawicznie jakby w jakiem olbrzymiem mrowisku. Był to lud pracujący na polach, były to wózki ciągnące po dalekich drożynach.

Jasnowłosy podróżny usiadł na kamieniu. Towarzysz jego oparł się o drzewo.

— Coś posmutniałeś! — ozwał się jasnowłosy.

— Nie jest to uczucie smutku, kochany bracie — odpowiedział zapytany z niespodzianą poufałością — ale uczucie, któremu nazwiska dać nie umiem. Być może, że to bojaźń przed zbliżającym się kresem marzeń moich, którym tyle życia mego poświęciłem, że z niego prawie już nic nie zostało.

— Oby tylko marzenia nasze...

— Nie domawiaj, drogi Edmundzie, słów smutnych i złowieszczych, któremi przerywasz najświetniejsze moje marzenia! Tak nie godzi się robić. Optymizm nie jest zawsze dobry w robotach społeczeństwa, ale pessymizm zabija. Pessymizm jestto paraliż ducha, który już niczego nigdy nie dokaże. Jeżeli w jakiej bądź sprawie znajdziesz ludzi pessymistów, to bądź pewnym, że ci ludzie w gruncie duszy są nieprzyjaciółmi tej sprawy. Pessymizm jest często tylko zgrabnie ukrytym antagonizmem.

— Przecież o taki antagonizm nie będziesz mnie pomawiał?

— Uchowaj Boże! Dałeś tego dowody, aby o podobne rzeczy ciebie nie posądzać.

Milczenie zapanowało chwil kilka.

Po niejakim czasie westchnął szpakowaty towarzysz, pierś jego szeroka podniosła się wysoko, wypukłe oko zapaliło się jasnym ogniem.

— Patrz Edmundzie — rzekł do jasnowłosego — patrz na te rozległe doliny, na te ściany zielone, narzucone dworkami i osadami wiejskiemi... i wyobraź sobie, to jak onego dnia wyglądać będzie!.. Odczuwam w duszy ten przyszły obraz!. Słyszę najprzód głuchy szum, przeciągający po tych dolinach, odbijający się echem od tych ścian granitowych. Szum ten jest podobny do szumu wód podziemnych, lub bałwanów oceanu, gdy ma sroga nastąpić burza... Szum ten staje się wyraźniejszym z każdą chwilą, coś mówi, coś podaje z chaty do chaty, a gdzie wejdzie pod dach, tam zabiera z sobą wszystkich mieszkańców i gromadzi ich zwolna w tłumy niezliczone! Widzę wszystkie

drogi i drożynki pokryte temi tłumami, słyszę głuchy szmer ich rozmowy, słyszę gwar, jakby gwar wędrówki narodów.

— Zbyt idealne masz obrazy przed oczyma.

— Bo w tej chwili patrzę na nie z góry, z najwyższego szczytu marzeń moich!.. Gdy się z tej góry spuścimy, gdy ręką dotknę się tych ścian granitowych i ludzi, co koczowiska swoje na nich zawiesili, wtedy wierzaj mi, będę realniejszym.

— Wiem, że jak potrzeba, umiesz nim być... Ot i pocztylion nasz się zbliża.

Starszy towarzysz czemprędzej zajął względem jasnowłosego stanowisko podrzędne.

Tymczasem podjechał wózek i zabrał obu.

Teraz jazda szła raźno. Wózek toczył się z góry, jak kamień wypuszczony z procy. Koła podskakiwały do góry i każdym razem groziły, że pękną.

Podróżni nie zważali na to wcale. Młodszy i starszy zapadli jakoś w głębokie milczenie. Nawet czarowny widok doliny nie zbudził ich. Dopiero nad szumiącym potokiem, który w bród trzeba było przebyć, ocknęli się.

— Jesteśmy u celu — zawołał jasnowłosy. — Patrz Mirski, ten szary domek z przełamanym dachem i porozwalanemi kominami, to moje dziedzictwo.

Zagadniony sługa spojrzał na wskazany domek, ale panu swemu nic nie odpowiedział. Pocztylion tylko uśmiechnął się, a wskazując na wystające z poza góry sąsiedniej jakieś mury okazałe z basztą i wieżyczką, rzekł do jasnowłosego podróżnego:

— Już jabym wolał ten domek garbaty, niżeli ten pałac zaklęty, w którym nieczysty duch mieszka.

— A któż ci to powiedział? — zapytał tenże z uśmiechem.

— Kto mi powiedział? Alboż to pocztylion Wojciech nie służył tam przez kilka tygodni? On to opowiadał mi że widział na własne oczy... w imię Ojca, Syna i Ducha świętego,..

— Co widział?

— Widział, jak hrabia.... z diabłem rozmawiał!

— Z diabłem rozmawiał?

— Z malowanym diabłem!

— Nie z żywym?

— Z żywym człowiek rozmawiać nie może,. bo za pierwszem słowem staje się nieboszczykiem.

Jasnowłosy podróżny rozśmiał się.

Za chwilę zaszło słońce. Bladoróżowy odblask chmury przyświecał słabo, gdy wózek do dworku z przełamanym dachem zajechał.

Ozwało się szczekanie psów.

— Rozbój do nogi! Zabój do nogi! — ochrypłym głosem zawołał chłop sążnisty, który z płonącym kagańcem wyszedł na próg sieni.

— Jest tam kto? — zawołał nowy dziedzic.

— Albo co? — zapytał butnie drągal.

— Dziedzic przyjechał! — odparł siedzący na koźle Mirski.

— Dziedzic? — powtórzył ochrypłym głosem olbrzym — o Jezu Panie! Gwałtu, dziedzic przyjechał! Słyszysz Nastka, dziedzic przyjechał! Bodajbyś.. przepraszam jaśnie pana, babsko narobiło się dzisiaj cały dzień. Skorom się dowie-

dział od księdza proboszcza, że wielmożny pan dzisiaj przyjedzie, kazałem babie kilka izb odprzątnąć... ale to z babami trudna rada... Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Olbrzym przystąpił do wózka i schylił się do kolan nowego dziedzica.

— Zaprowadźcie mię do jakiejbądź izby, — rzekł nowy dziedzic do olbrzyma.

— Zaraz, zaraz, wielmożny panie — odparł tenże — tylko wprzódy pójdę powypędzać sowy i nietoperze, bo tego moc naleciała przez otwarte okna.

Rzekłszy to wszedł do sieni, a za chwilę słychać było szum wylatujących z okien nietoperzy.

Ponieważ pocztylion w tej chwili do koni się oddalił, rzekł nowy dziedzic półgłosem do swego towarzysza:

— Słyszysz, jak mnie w dziedzictwie mojem witają sowy i puhacze? Potomek senatorów i wojewodów wjeżdża do włości swoich, a zamiast poddanych odświętnie wystrojonych, z chlebem i z solą, wita go szatański śmiech i pisk plugawego ptactwa!..

— Dawny splendor zużył się i przepadł — odparł towarzysz — trzeba sobie zarobić na nowy... a jesteś już na drodze do tego.

— Nim to nastąpi, trzeba jutro odwiedzić najbliższego sąsiada i krewnego w owym pałacu, o którym pocztylion utrzymuje, że żyje w zażyłości z malowanym diabłem. Historya tego malowanego diabła musi być bardzo ciekawa, jak wszystko, co lud wymyśli.

Gdy nowy dziedzic te słowa wymawiał, miał na

ustach jakiś uśmiech nieokreślony, który przy świetle stojącego na progu kagańca przybierał wyraz coraz dziwniejszy.

Towarzysz dziedzica skrzywił się na ten uśmiech dziwny i odparł szorstko:

— Lud na pewnym gruncie buduje wszystkie swoje historye, a nawet i o malowanych diabłach, tylko trzeba umieć go zrozumieć.

— Obaczymy jutro — odrzekł nowy dziedzic, i szybko zeskoczył z wózka.

Tymczasem owa Nastka, o której olbrzym nie zbyt pochlebnie się wyraził, zapaliła świecę, za ostatnim nietoperzem zamknęła okna i nowemu dziedzicowi drzwi z wielką uniżonością otworzyła.

Migające światło z tombakowego świecznika oświéciło nowemu właścicielowi cztery puste prawie kąty dużej, wapnem wybielonej izby. W atmosferze tej izby czuć było wilgoć i woń nieprzyjemną stęchlizny.

Nowy dziedzic obrócił się z jakimś ironicznym uśmiechem do swego towarzysza, i właśnie coś dowcipnego chciał mu powiedzieć, ale widząc go w sieni stojącego z uniżonością sługi pomiędzy olbrzymem a Nastką jego, cofnął słowo, które miał w ustach, i do białych ścian się obrócił.

Białe ściany były prawie nagie. Prócz stłuczonego zwierciadła w czerwonych, niezgrabnie mahoń naśladujących ramach, prócz kilku małych na szkle malowanych obrazków, zupełnie potłuczonych, nic więcej nie było.

— Czy tu tak zawsze było? — zapytał olbrzyma, który niespokojnem okiem śledził ruchy nowego dziedzica.

— Tak, proszę wielmożnego pana, bo tutaj zawsze tylko ekonom mieszkał. Św. p. hrabina nigdy tu nie była.

Spadkobierca św. p. hrabiny poświęcił w milczeniu kilka chwil wspomnieniu zacnej niewiasty, która o nim pamiętała, choć był jej krewnym dosyć dalekim. Potem wziął tombakowy świecznik i udał się z nim do drugiego pokoju.

Zaledwie dwa kroki uczynił, gdy nagle ręka ze świecznikiem zadrzała mu mimowolnie.

Wstrzymał się i z jakąś trwogą nieokreśloną spojrzał przed siebie.

Przed nim rozciągała się próżna, półciemna przestrzeń. Światło migające świecy oświécało słabo tę przestrzeń, a grube cienie wybiegały z kątów izby i walczyły z tem światłem niedołężnem.

Z głębi wprost naprzeciw wychylała się do niego jakaś postać, i szeroko otwartemi oczyma patrzała na niego.

Złudzenie było dziwne. Zdawało mu się, że tam gdzieś na ścianie wisi duże zwierciadło, i że swoję postać widzi w tem zwierciedle.

Ruszył się, aby to sprawdzić, czego się domyślał. Postać jego z naprzeciwka nie ruszyła się. Nie było to więc odbicie w zwierciedle. Cóżby to być mogło?

Zmęczony całodzienną podróżą na wózku pocztowym, rozdrażniony różnemi myślami, które go w podróży tej zajmowały, nie mógł sobie naprędce zdać sprawy z tego, co przed sobą widział. A przecież postać, którą widział przed sobą, była do niego podobną, coraz więcej podobną, im więcej w nią się wpatrywał.

Rozśmiał się w duchu sam z siebie, że nad sobą

panować nie może, i śmiało kilka kroków naprzód postąpił.

Teraz zobaczył duży obraz wiszący na ścianie.

Obraz ten, jakkolwiek tylko naszkicowany, był jednak jego portretem.

— Tam do kata! — wyrzekł do siebie półgłosem — jeźli w sąsiednim pałacu mieszka diabeł malowany, to tu mieszka diabeł malujący!.... Grzegorzu!

Olbrzymi karbownik zjawił się na progu.

— Czyj ten obraz? — zapytał dziedzic.

— Nie wiem, wielmożny panie! — odpowiedział zdziwiony olbrzym — a prawdę powiedziawszy, poraz pierwszy go widzę i nie wiem nawet, zkąd się tu wziął. Może moja baba zkąd go wyciągnęła.

— A któż tu mieszkał w ostatnich czasach?

— Proszę wielmożnego pana, tu nikt nie mieszkał, tylko Burski, co to jest niby ekonomem u hrabiego w pałacu. Było to jeszcze przed śmiercią jaśnie pani hrabiny, gdy ten folwark był w dzierzawie pana Alberta.

Nowy dziedzic pomyślał chwilkę nad tem, co słyszał od karbowego. Zdawało mu się, że rzecz całą wyjaśnił. Przypomniał sobie, że nieboszczka hrabina posiadała jego miniaturę. Prawdopodobnie więc kazała jakiemuś wędrownemu malarzowi powiększyć ją i na płótnie wymalować. Zdaje się, że malarz nie sprostał zadaniu i na szkicu poprzestał.

Po takiem wyjaśnieniu mniemanej diabelskiej sprawy wrócił do pierwszego pokoju, odkładając dalszy przegląd na jutro.

Tymczasem powydawał potrzebne na dzisiaj rozkazy. Najprzód kazał na kominku dla oczyszczenia powietrza

ogień rozniecić; potem polecił ekonomowi, którego przywiózł z sobą, dać jaką wygodną izdebkę, a nakoniec zdał siebie i ekonoma na łaskę Nastki, zostawiając jej do woli wybór wieczerzy.

Wybór był łatwy i krótki, lecz głodnego dziedzica dosyć zadowolnił. A gdy nowy ekonom po wyjściu Nastki i karbowego jeszcze przy progu się zatrzymał, rzekł nowy dziedzic z miną wesołą:

— A co, czyśmy nie demokraci? Ręczę ci, że i Robespierre gorzej nie jadał! Zamiast serwety, oblizaliśmy sobie palce po jajecznicy; a gdybym przypadkiem na dnie flaszki nie miał koniaku trochę, bylibyśmy wodą kryniczną popłukali zęby, jak ongi patryarchowie w ziemi obiecanej!.. A teraz również jak patryarchowie na rozesłaną słomę owsianą położymy się dla odpoczynku, z którego zamiast dzwonów z Nôtre dame, zbudzi nas kogut folwarczny, jedyny niezawodny zégar całego folwarku. Życie prawdziwie arkadyjskie! Szkoda, że człowiek wymyślił sobie tyle potrzeb niedorzecznych, jakby chciał być największym swoim nieprzyjacielem.

— Ludzie zbliżą się kiedyś do potrzeb pierwotnego człowieka, jakim go Bóg stworzył — odpowiedział towarzysz — ale nim to nastąpi, musi ludzkość jeszcze wiele głupstw zrobić i na zmazanie tych głupstw wiele, bardzo wiele krwi wytoczyć...

— Nim to nastąpi, spij smacznie ministrze agrykultury mojej, a ja tymczasem śnić będę o różnych rzeczach, o których wiesz i nie wiesz, np. o malowanym diable czcigodnego mego kuzyna, o którym jakieś szpetne wyobrażenie miał nasz pocztylion.

Gdy wszechwładny minister agrykultury był już za drzwiami, nowokreowany król folwarku górskiego rzucił się na siennik, aby, jak powiedział, śnić o diable malowanym, który ma mieszkać w sąsiedztwie.

I dotrzymał słowa.

Zaledwie bowiem oczy mu się skleiły, wystrzelił z pod ziemi arcyzgrabny diabełek i zaczął mu różne psoty wyprawiać. Skakał, kurczył się i rozciągał, jakby był z gutaperki, i przewracał koziołki nader figlarnie.

Rzecz dziwna, że ten miły diabełek, mimo męzkiego stroju, zdawał się być kobietą. Twarz, usta, oczy, uśmiech zalotny, wszystko to było kobiece. Na pięknem czole, zamiast zwykłych rogów, wytryskały dwa skręcone słupki promieni.

Nic dziwnego. Na obrazie, przedstawiającym pokusę św. Antoniego, widzieli wszyscy Francuzi w Paryżu kuszącego diabła w postaci bardzo pięknej kobiety. Dlaczegożby i diabełek dzisiejszy nie miał być kobietą?

Tak myślał sobie nowy dziedzic, gdy kogut folwarczny dał hasło, aby wszyscy do pracy wstawali.

Pierwszy, który koguta usłuchał, był wszechwładny minister agrykultury. Za nim poszła reszta służby, a w końcu i sam dziedzic, choćby tylko dla przykładu, podniósł się z siennika, biorąc rozbrat z pięknym diabełkiem.

Dzień był piękny, pogodny. A gdy nowy dziedzic przez okno na świat wyjrzał, obaczył połamane mury swego pałacowego sąsiada i przypomniał sobie znowu o diable malowanym i o tym, o którym tak roskosznie śnił dzisiejszej nocy.

Dzisiaj muszę tam być! — pomyślał sobie, i przy tej myśli doznał jakiegoś dziwnego wzruszenia.

Wzruszenie było nieokreślone. Nie można było powiedzieć, czy było przyjemne czy nieprzyjemne, było jednak głębokie i silne, jakie bywa zazwyczaj na każdym ważniejszym progu życia.

ROZDZIAŁ II.

Cały ranek poświęcił nowy dziedzic obejrzeniu majątku, jakim raczyła go udarować św. p. hrabina, krewna jego.

Był to mały folwark, niewielkiej wartości. Pola ornego było zaledwie kilkadziesiąt morgów, resztę zajmował las iglasty. Ponieważ wogóle była okolica lesista, a prócz tego żadnych dróg do sprowadzania drzewa dotąd nie porobiono, nie mogły lasy najmniejszych przynosić korzyści. Zabudowania gospodarskie były nader skromne, a przez czas znacznie uszkodzone. Słowem, folwark ten mógł zaledwie stanowić majątek jakiego kolonisty, któryby sam w ziemi pracował, dla potomka zaś dawnych dygnitarzy Rzeczypospolitej był raczej gorzką ironią niżeli właściwem mieniem.

Mimo to pan Edmund, którego arendarz z białej karczmy grafem nazwał, obejrzał całe obejście swoje z takiem zajęciem, jakby rzeczywiście wierzył, że posiada majątek.

Zagadkowy towarzysz jego, solennie jako ekonom i leśniczy przed całą służbą zainstalowany, rozmawiał z nim czas niejaki o spożytkowaniu starych sosen i uprawie łubinu, poczem w przytomności inwentarskiego kar-

bowego otrzymał rozkaz, aby dla wyszukania kupców na drzewo, jako też dla zakupna potrzebnego inwentarza po okolicy się obejrzał.

Uporawszy się z tem wszystkiem, postanowił pan Edmund udać się z wizytą do najbliższego swego sąsiada i krewnego.

Zatrudnienia gospodarskie rozwiały jego poranne wzruszenia, jakich doznał na widok starych, poszarpanych murów pałacu i na wspomnienie malowanego diabła, o którym pocztylion mu mówił, i który we śnie wyprawiał mu takie psoty.

W dobrym humorze, pogwizdując sobie melodye z jakiejś opery najnowszej, siadł na wózek, który gdzieś w szopie się znalazł. Na koźle siadł sam karbowy z tej prostej przyczyny, że innego woźnicy na całym folwarku nie było.

Jakkolwiek mury pałacu, do którego teraz dążył, wyraźnie z okien folwarku widać było, potrzeba jednak było kilka jarów przebyć i sporą godzinę jechać, nim otworzyła się droga, prowadząca wprost do pałacu.

Edmund widział teraz cały pałac przed sobą.

Był to budynek stary, dźwigający na sobie kilka wieków. Z każdej rozpadliny muru, z każdego przez czas wybitego wyłomu widać było herby wieków. Nie była to ładna, wycacana klejonka dzisiejszych dworców kolei żelaznych, które od dawnych zamków i pałaców zapożyczają kształtów i ornamentów, a w których niemało namacać można wczorajszego dorobkiewicza lub na giełdzie zbogaconego kupca.

Inaczej przedstawiało się rodowe gniazdo dawnych

dygnitarzy Rzeczypospolitej. Pleśń wieków uderzała dziwną wonią i budziła w duszy dawne wiekowe obrazy. Widziałeś tu starca z obliczem pooranem, z szatą wypłowiałą i naddartą, widziałeś członki jego połamane i pogięte, ale wejrzenie jego uroczyste nakazywało uszanowanie i zmuszało mimowolnie do pozdrowienia.

Takie wrażenie sprawiały te stare mury. Zdaje się, że kilka pokoleń pracowało nad niemi. Najprzód postawiono duży czworoboczny budynek i otoczono go wałem i wodą. Dzisiaj jeszcze są tego ślady. Poźniejszy mieszkaniec przybudował kaplicę z małą wieżyczką, do której potem więcej dla ozdoby niż dla rzeczywistej obrony przyparto ośmioboczną basztę ze strzelnicami na górze. Od baszty rozpoczynał się długi mur, który niegdyś cały park otaczał. Dzisiaj wicher północny powyłamywał w tym murze otwory i szczerby, i zrobił go w wysokim stopniu malowniczym. Jałowiec, kalina i dzikie zielsko dostarczyły naturalnego ornamentu temu genialnemu architekcie natury.

Edmund znał te mury, ale wtedy był jeszcze małym chłopcem. Dzisiaj nie wiele zmieniły się, bo one żywot liczą na wieki. Tylko to, co ręka współczesnych zrobiła, pochyliło się znacznie do upadku i sprawiało widok niemiły. Poręcze pogniły i pospadały z podpór, brama wisiała tylko na jednym wrzeciądzu. Okna w mieszkalnej części pałacu zmatowały się i świeciły przepalone od słońca różnemi kolorami tęczy.

Na skręcie do samego pałacu zaszedł jadącemu drogę jakiś przygarbiony człowiek w płóciennej bluzie. Patrzał chwilę, potem zdjął czapkę i nisko się ukłonił

— Przecież raz wyczekotała sroka coś dobrego! — krzy-

knął tubalnym głosem — Wielmożny pan Edmund! Całuję stópki wielmożnego pana, zawsze wierny i poddany sługa Ipana dobrodzieja!

Przygarbiony człowiek zbliżył się do wózka i aż do stopnia pochylił połamany, słomiany kapelusz. Pan Edmund przypatrzył mu się bliżej.

Był to stary człowiek z siwym wieńcem wkoło łysej głowy. Twarz miał opaloną, ręce grube, narobione. Bure oczy zdradzały umysł ubogi, ciężarem pracy codziennej wcześnie przygnębiony.

— Któż jesteś, przyjacielu? — zapytał Edmund, nie mogąc w pamięci swojej tego człowieka odszukać.

— Jak to? Nie poznajesz wielmożny pan swego uniżonego sługi, starego Burskiego...

— Ah! Burski! Tam do kata! Postarzałeś się! Dziesięć, piętnaście lat, to przecież nie tak wiele!

— Jak dla kogo, jak dla kogo, wielmożny panie. Dla młodych chłopców to nie wiele, dla starych to gmach! A toż się stary hrabia ucieszy!

— Przecież ma malowanego diabła!

Burski drgnął na te słowa, a potem trwożliwie wkoło się obejrzał. Poczem zapytał pocichu:

— To wielmożny pan już wié o tem?

— Wszyscy ludzie o tem wiedzą i mowią — odparł z uśmiechem Edmund.

Burski otworzył szeroko oczy i podniósł przygarbione ramiona do góry.

— Obawiałem się tego, ale inaczej być nie może! — rzekł po chwili z westchnieniem.

— I cóż to za sprawa z tym diabłem malowanym?

— Sam wielmożny pan go obaczy, ja tam o nim mówić nie będę. Dosyć, że trzy niedziele nie miałem ani snu ani wypoczynku, aż mi gwardyan OO. Reformatów święty szkaplerz na szyi zawiesił! Dosyć jest źle samemu, staremu człowiekowi na świecie, ale żeby z malowanym diabłem...

— Wszak miałeś dzieci.

— Miałem syna i córkę; syn umarł, gdy był wielki pomór w całym kraju, a córka...

— Poszła za mąż?

— Gdzie tam, wielmożny panie!

— Więc jest przy ojcu?

— Nie mam jej! Wzięli mi ją, oderwali od mego serca, tak jak felczer wyrywa żyłę, aby z niej krwi upuścić... Boże zapłać im!

— Stało się jakie nieszczęście?

— Nieszczęścia nie ma, ale też i szczęście poszło w las!... Hej mocny Boże, a przecież nic, zgoła nic nie potrzeba mi do tego szczęścia, tylko głupich... głupich (tu mówiący zrobił znak palcami, jakby pieniądze liczył)... tychgłupich dydków!... Tak wielmożny panie! Dzisiaj tych dydków każdemu trzeba: naszemu hrabiemu, i nadleśniczemu z puszczy berezkiej, ale mnie, mnie przedewszystkiem! Gdybym je miał, byłbym znowu ojcem dziecka mego!... Gdybym je uzyskał, gotówbym nawet za to malowanemu diabłowi duszę zapisać!...

Edmund nie mógł dłużej słuchać zwierzeń starego Burskiego, których nie rozumiał, bo właśnie w tej chwili na omszonym krużganku jak zaklęta księżniczka pokazała się biała postać młodej, cudownie pięknej kobiety. Miała białą, wiotką suknię z szafirową przepaską. W jednej ręce

trzymała bukiet kwiatów, a drugą przykładała lornetkę do oczu.

Edmund kazał szybko podjechać pod kamienne schody, a za kilka sekund był już w obszernej komnacie pierwszego piętra, i ściskał rękę nadobnej dziewicy w białej sukni.

— Widzisz z mego ubrania, *cher cousin* — mówiła piękna dziewica dźwięcznym głosem —że ciebie oczekiwałam. Chciałam cię przywitać w białej sukni z kwiatami w ręku, tak jak zazwyczaj wyobrażają sobie boginią szczęścia!...

— Nim na to piękne słówko również pięknie odpowiem — odparł Edmund z uśmiechem — pozwól, *ma chére cousine* że najprzód zachwycę się twoim widokiem. Lat dwanaście, mój Boże, ileż to zmiany zaszło od tego czasu, *ma chére Adelaide!*

Rzekłszy to wziął ją za rękę i pociągnął za sobą do framugi okna. Światło w całej pełni padało teraz na ubraną w bieli dziewicę.

Była to rzeczywiście piękność skończona. Wzrost słuszny i wysmukły czynił ją podobną do Junony. Z wysokiego, wyniosłego czoła spływały pukle ciemnych włosów na śnieżne, jakby z marmuru wykute ramiona. Twarz podłużna oznaczała spokój grecki; oczy ciemne świeciły przyćmionym, jednostajnym blaskiem. Różowe usta, wąsko wycięte, wznosiły się końcami do góry i miały wyraz jakby zmieszany z dobrotliwego uśmiechu i lekkiej ironii.

Wogóle wszystkie rysy były wybitne i starannie wykończone. Gra ruchu w tych rysach była prawdziwie mistrzowska. Każdej myśli, każdemu, choćby przelotnemu marzeniu odpowiadał układ rysów, dokonany bez żadnego wytężenia, z całym spokojem i pewnością.

Gdy sobie Edmund sen dzisiejszy przypomniał, spojrzał z uwagą na czoło swojej kuzynki, czy nie obaczy tam owych skręconych promieni światła, które go dzisiaj we śnie tak niepokoiły.

I w samej rzeczy na skroniach pięknej kuzynki błyszczały jakieś dziwne światełka, jakby ślady potartego fosforu.

— Adelajdo! — rzekł Edmund do pięknej kuzynki — widzę cię piękną jak Junonę, a przyszły mąż twój musi być Jowiszem!

— Aby jak Jowisz mnie oszukiwał! — odpowiedziała Adelajda grożąc kuzynkowi różowem paluszkiem, który tenże w tej chwili ucałował.

— A gdzież kochany stryj? — zapytał po chwili.

— Ojciec — odpowiedziała z lekką chmurką Adelajda — w swojej galeryi obrazów, jak ją sam nazywa. Dostał właśnie w zamian za pakę książek kilka starych obrazów od Igla, i teraz zajmuje się oczyszczeniem tych obrazów w nadziei, że wykryje monogram Rafaela, Rubensa lub przynajmniej Vandyka!

— Zamiłowany w sztuce?

— Od pięciu lat niczem innem nie żyje!... Jest nawet zazdrośny o swoje mniemane skarby; dla tego najlepiej będzie, jeżeli w tej chwili zostawimy go czas niejaki przy jego ulubioném zatrudnieniu. Tymczasem możemy przejść się po ogrodzie. *Donnez-moi votre main cher cousin.*

Edmund podał rękę pięknej królowej, która oparła się na niej z wdziękiem pozującego modelu. Najwybredniejszy artysta mógł się nią w tej chwili zachwycić.

Przechodząc koło stołu, wzięła ze srebrnej tacki pozłacany dzwonek i zadzwoniła.

Stary, w wytartej liberyi służący zjawił się na progu. Na guzikach liberyi były herby, a nad niemi szeroko rozpostarta mitra książęca.

Na widok tych guzików uśmiechnął się Edmund.

— *Anatole* — rzekła Adelajda do służącego — jeżeli pan z galeryi wyjdzie i o mnie zapyta, powiesz, że hrabia Edmund przyjechał, i że z nim wyszłam na przechadzkę do ogrodu.

Służący skłonił się w milczeniu.

Edmund z piękną kuzynką zeszli ze schodów.

Ogród, po którym teraz oboje się przechadzali, był niegdyś świetnym. Jakkolwiek klimat podgórza niektórym drzewom wcale nie sprzyjał, widać jednak było, że wysilano się w rozmaity sposób, aby z nim stoczyć walkę korzystną. Ale siły człowieka musiały z czasem uledz, a burze, zimna i wiatry rozpoczęły dzieło zniszczenia. Olbrzymie kasztany stały teraz bezlistne, dęby nawet zmarniały, tylko brzozy, świerki i sosny zieleniły się jeszcze.

Nawet i kamień nie wytrzymał nacisku wiatrów północnych. Obrosły mchem niknął z czasem powoli, a piękne niegdyś posągi gubiły zwolna palce i nosy, a w końcu nawet i głowy zaczęły spadać z pochylonych tułowów i walały się pomiędzy pokrzywą i bodakami. Zaledwie kilka głównych ulic oczyszczono do codziennego użytku, dalsze plany ogrodu przedstawiały w miniaturze obrazki dziewiczego lasu w Ameryce.

Przechadzka po tych ruinach dawnej zamożności i zbytku nastroiła Edmunda poważnie, chociaż rozmowa pięknej kuzynki dotykała rzeczy codziennych.

Rozmawiano wiele o stosunkach familijnych. Edmund

był kilka lat za granicą, zresztą mieszkał w innej części kraju. Od dwunastu lat nie był w tych stronach i nie wiedział, co się z tutejszymi krewnymi dzieje. Wiele więc musiał wysłuchać od pięknej kuzynki, która jak kronika rodzinna mówiła o wszystkiem z nadzwyczajną biegłością. Dowiedział się, jakie związki w familii zawarto, które były dla niej korzystne a które niekorzystne, które rody weszły do związku familii, i jakie przez to osiągnięto korzyści.

Edmund słuchał z niejakiem roztargnieniem. Nie dla tego, aby historya familii mało go obchodziła, ale z tej prostej przyczyny, że był w tej chwili innemi marzeniami zajęty. Obrazy najbliższej przyszłości kraju rysowały się przed nim w rozmaitych zarysach, jedne trwożyły go, drugie zmuszały jego twarz do uśmiechu.

Dobra godzina upłynęła, gdy się napowrót do pałacu zbliżyli. W progu spotkał ich stary służący. Na zapytanie Adelajdy, czy ojciec już skończył swoję robotę, odpowiedział zaprzeczeniem głową.

— Odpoczniemy trochę na balkonie — rzekła Adelajda do swego kuzyna — niech ojciec ukończy tymczasem swoję ulubioną robotę.

Edmund zgodził się chętnie na to. Oboje usiedli na kamiennym krużganku, który podtrzymywały wyniosłe, śmiejące się karyatydy i umizgujące się do nich satyry.

Edmund spojrzał na cudowną dolinę, która roztaczała się u ich stóp jak obraz olbrzymi.

Kilka chwil trwało milczenie.

— Niech co chcą, ludzie mówią — ozwał się Edmund po niejakim czasie — przecież to życie jest piękne, jest darem Boga, za który jesteśmy mu nieraz tak mało wdzięczni!

I zachwycony przesunął okiem od jednego końca widnokręgu do drugiego.

Adelajda spojrzała na kuzyna. Jej ciemne, szkliste oczy przesunęły się zwolna po całej jego twarzy. Arystokratyczne usta zadrgały lekko ironicznym uśmiechem.

— Szerszy świat — rzekła do niego z urokiem pięknego satyrka — ściera zazwyczaj z naszej duszy złudzenia młode, sielankowe. U ciebie, *chér cousin*, inaczej się stało. Długoletni pobyt za granicą, i do tego jeszcze pobyt w Paryżu, nastroił cię sentymentalnie i oczom twoim dał szkła różowe! Jeżeli tak dalej pójdzie, to za lat trzydzieści zaczniesz pisać poematy o zielonych drzewach i spiewających ptaszkach!

Mówiąca z lekkim, satyrycznym uśmiechem Adelajda była nadzwyczaj uroczą. Po jej klasycznie pięknej twarzy przemykały jakieś błyski i światełka, jej ciemne oczy uśmiechały się ze złośliwą roskoszą rusałki.

Edmund z upodobaniem patrzał na piękną kobietę.

— Słowa twoje, kochana kuzynko — rzekł po chwili — nie dziwią mnie wcale, odkąd najsmaczniejsze konfitury zaczęto smarzyć na — occie.

— Konfitury z octem są dobre — odparła, ale ocet naszego życia pozostanie zawsze octem!

— Gdzież widać ten ocet?

— Patrz! Ten las błękitny na dalekiej górze, który tak artystyczne światło udziela trzeciemu planowi i od białych obłoków tak cudownie odbija, ten las olbrzymi był niegdyś majątkiem jednego z naszych krewnych. Dzisiaj przeszedł w posiadanie Niemca z Berlina, który tam wystawił tartaki i kuźnice, i teraz miliony ztamtąd dobywa!

Adelajda drgnęła tutaj konwulsyjnie.

— Ile razy na te góry patrzę — mówiła dalej z zaciśniętemi ustami — tyle razy ściska mi się serce, że tak ubożejemy, tak upadamy! Gdyby to jeszcze tak upadali ludzie szeregu, ale my... my z szewronami!

Edmund z uwagą spojrzał na mówiącą. Adelajda mówiła dalej:

— Tam na prawo wrzyna się potok głęboko w dolinę i sprawia wysokie, malowniczo połamane brzegi, ocienione grupami drzew malowniczych. Widok to piękny, jakby dla artysty stworzony! Ale zważ, kochany kuzynie, że ten potok od swego źródła aż do ujścia należał niegdyś do dziada mojej matki, a dzisiaj pokrajany jest na kawałki, jak to widzisz z pól zasianych, podzielony między drobnych ludzi, którzy nawet nie wiedzą, jakie tradycye przywiązują się do tej ziemi!

Edmund patrzał zamyślony przed siebie.

— A na lewo — mówiła po chwili dalej Adelajda — to już prawdziwa roskosz dla oka artystycznie zbudowanego. Z poza sinej góry wychylają się wieże i kopuły świątyń pańskich, a wkoło nich rozsiadły się dachy domów, przyklęknęły kominy, jakby słowa Bożego słuchać pragnęły!... To miasto powiatowe, którego nazwisko tworzy nazwisko matki mojej! Antenaci moi używali z chlubą tego nazwiska, ciosali herby swoje na bramach miasta: a dzisiaj, dzisiaj z tego wszystkiego zostało nam tylko z całego miasta prawo propinacyi. Pijacy to dzisiaj jedyni nasi poddani i kontrybuenci, bez nich nie mielibyśmy na kawałek chleba!

Twarz Adelajdy zmieniła się przy tych słowach. Usta zacisnęły się z goryczą, oczy błyszczały jaśniej.

— Stara budowa społeczeństwa wali się — rzekł więcej do myśli swoich Edmund — a natomiast musi nastąpić nowa, jakiej obecny duch czasu wymaga.

Adelajda z zadziwieniem spojrzała na kuzyna. Uśmiech złośliwy dodał jeszcze więcej uroku jej twarzy.

— Ach! mówisz, jakbyś był apostołem tego nowego porządku rzeczy... wymówiła przeciągle.

Edmund zarumienił się lekko. Żywo odpowiedział:

— Chętnie byłbym apostołem nowych idei i teoryi, gdyby te teorye przywróciły nam dawny stan rzeczy!

Adelajda zamyśliła się. Edmund pochylił także głowę w zadumaniu. O czem oboje myśleli?

Na daleką, lasem obrosłą górę, na wieżyce i kopuły domów bożych padały koleją oczy Adelajdy. Marzyła o nich, jako o dawnej własności antenatów matki, a dzisiaj... Edmund także marzył, ale marzył inaczej. Marzenia jego wybiegły ponad ciasny horyzont doliny podgórskiej i przeniosły się daleko na północ, wschód i zachód.

Kilka chwil trwało milczenie. Pierwsza ozwała się Adelajda z natchnieniem w piersiach:

— Ponieważ już weszliśmy na taki tok rozmowy, ponieważ, kochany kuzynie, jesteś w tej chwili najbliższym krewnym naszym, nie weźmiesz mi więc za złe, że przed tobą otworzę serce moje, którego jeszcze przed nikim nie otworzyłam. Uczynię to tem chętniej, że wiem, iż moja skarga jest zarazem twoją.

Edmund ocknął się z zamyślenia. Spojrzał na Adelajdę, która ciemnemi oczami patrzała w tej chwili na niego. Było w nich jakieś rozczarowanie, które gwałtownie pociągało, ale oraz i nakazywało uszanowanie. Edmund

widział w tej chwili w Adelajdzie królowę, która mogłaby kochać jak kobieta, ale przytem nie przestałaby być królową. Z ciekawością słuchał jej patrząc w jej twarz cudownie piękną.

— Nie lubię — mówiła Adelajda z uspokojonemi nagle rysami twarzy — nie lubię skarzyć się przed ludźmi, a nawet przed ojcem moim. Ty jednak, kochany kuzynie, zrozumiesz mnie, bo sam jesteś w tem samem położeniu, i przyznasz mi, że największem nieszczęściem w naszym stanie jest ubóstwo!

Gdy Adelajda te słowa wymawiała, bawiła się jedną ręką sznurkiem orleańskich pereł, które na jej szyi wisiały. Jasny promień słońca odbijał się w brylantach pierścionków i w emailowanem złocie kunsztownej bransolety.

Edmund uśmiechał się.

— Ubóstwo jest to wyraz względny — rzekł po chwili.

— Ty go przecież zrozumiesz — podjęła żywo Adelajda — bo nie mówię o tych ubogich, którzy żebrzą pod figurą. Stokroć oni są szczęśliwsi! Ile razy takiego żebraka spotkam, ile razy usłyszę od niego słowa: jaśnie wielmożna pani, jałmużny dla biedaka... tyle razy bierze mnie ochota spojrzéć mu w oczy, aby wyczytać, czy on nie drwi sobie ze mnie, czy to nie jest złośliwa ironia?... Czemże jest jego ubóstwo w porównaniu z naszem ubóstwem?... Do czego on, a do czego my jesteśmy zrodzeni?... On potrzebuje tylko zaspokoić głód swój i pragnienie, a jakiej skali jest nasz głód i nasze pragnienie!

— Dla czegoż sztucznie rozszerzać tę skalę? — zauważał półgłosem Edmund.

— Sztucznie? Czy to, cośmy po naszych rodzicach

odziedziczyli, nazywasz sztuką? Czyż to nie jest naszym obowiązkiem, ukoronować gmach społeczeństwa i być jego sklepieniem? Czyż na sklepienie nie dobiera się najlepszego materyału, czyż my nie jesteśmy tymm ateryałem?... Biada społeczeństwu, jeśli nas strąci do poziomu, a jeszcze więcej biada nam, jeśli sami z nagłównika wyniosłych pilastrów na ziemię spadamy.

— Masz zbyt wysokie o nas wyobrażenie.

— Powiedziałeś „o nas“ — żywo przerwała Adelajda — to już dobrze. Myślałam, żeś został apostatą. To stanowi wielką moję pociechę. Ludzie równych wyobrażeń i powołań są więcej sobie niżeli krewni!

Adelajda wyciągnęła z pod przeźroczystego batystu małą, alabastrową rączkę i podała Edmundowi do uścisku. Rączka ta nie była zimna w tej chwili, drzała nawet wzruszeniem, które odbijało się w pięknych oczach zarumienionej lekko kuzynki.

Edmund uścisnął tę rączkę i doznał sam wzruszenia, które zatarło w jego pamięci ostatnie słowa Adelajdy; a zapomniawszy tym sposobem o warunku, w jakim ta rączka była mu podaną, przyjął dar tak miły i uroczy i długi czas nie mógł się nim dosyć nacieszyć, tak mu z tem było dobrze i przyjemnie.

Adelajda cofnęła rękę, jakby się czegoś nagle przelękła. Najprzód zadziwienie zarysowało się na jej twarzy, potem głęboka zmarszczka podzieliła jej wyniosłe czoło na dwie połowy.

Milczała czas niejaki, jakby skupiała rozpierzchłe myśli. Powoli uspokajała się jej twarz, rysy wracały do zwykłego porządku.

— Niech cię nie dziwi, kochany kuzynie, moje wzruszenie — rzekła po niejakim czasie, jakby tłumacząc się z jakiegoś przewinienia — dzień dzisiejszy jest dla mnie dniem niezwykłym. Sześć lat prawie, to jest od śmierci nieboszczki matki, nie widziałam twarzy człowieka, z którymbym w podobny sposób mówić mogła. To, o czem dzisiaj z tobą mówię, stanowi jedyną tajemnicę serca mego, a tej tajemnicy przed nikim nie wypowiedziałam! Gdy nam doniesiono, że dla obejrzenia zapisanego ci przez ciotkę folwarku tutaj przyjedziesz i nas prawdopodobnie odwiédzisz, wyjęłam z biórka matki mojej twoję miniaturę i długi czas w nią się wpatrywałam. Pomyślałam sobie: oto człowiek, który tak samo jak ja ugina głowę pod ciosem tego samego nienawistnego losu; on pojmie i zrozumie mnie, przed nim otworzę serce moje!

Edmund wpatrywał się coraz więcej w piękną, posągową postać Adelajdy. Gdyby Canova chciał wyciosać z karraryjskiego marmuru uroczą postać kobiety, nie mógłby znaleźć piękniejszego modelu, chociażby takim modelem chciała mu być księżniczka modeńska!

— Wszak przez te lata tyle ludzi mogłaś widzieć, kochana Adelajdo! — rzekł z pewnym niepokojem.

— Jakich ludzi? — odrzekła Adelajda i dumnie wstręsła głową.— Czy tych, co tam w tych maluczkich dworkach mieszkają i owies sieją?... Wiem, com winna sobie, com winna memu urodzeniu! Wiem, jak się światu okazywać winnam, i spodziewam się, żebym rolę moję godnie odegrać umiała (tu wyprostowała się i głowę rzuciła do góry, a złote promienie słońca odbiły się od jej jasnej skroni i zarysowały wkoło jej głowy kształt królewskiej korony)

ale do odegrania tej roli brak nam środków, jesteśmy za ubodzy.

Postać Adelajdy zgięła się przy tych słowach i wyobrażała uosobioną biedę i cierpienie.

Edmund potarł ręką czoło. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się widzieć kobiety, któraby zdolną była przebyć w swojej wyobraźni tak różnorodne sytuacye, i z taką prawdą wyrazić je całym układem swojej postaci. Coś podobnego tylko artystki pierwszego rzędu mogą zdziałać. Adelajda zaś nie czyniła tego dla poklasku widzów; przechodziła ona sama dla siebie w rzeczywistości te sytuacye, o jakich mówiła. Jak silną była potęga jej uczuć i wyobrażeń, jeśli nad całą jej postacią miała taką władzę?...

Kobiety silnych uczuć i namiętności są w stanie porwać w zaczarowane koło swego świata każdego, kto się do nich niebacznie zbliża. Edmund poczuł, że stoi na brzegu tego koła, chociaż sam nie wiedział, jak się to stało. Czuł w duszy jakieś dziwne wzruszenie, i byłby w tej chwili przeklął manią swego stryja, który lubił stare obrazy odczyszczać, gdyby w tej chwili skończył swoje ulubione zatrudnienie i z progów galeryi wyszedł ku nim z jakim Rafaelem lub Rubensem.

Jest tajemnicza struna w duszy, która, gdy się poruszy, zastanawia równocześnie wszystkie inne funkcye umysłu. Z człowiekiem dzieje się wtedy podobnie jak z maszyną, której działalność ustaje za pociśnieniem małej sprężyny, chociaż na pozór ruch maszyny nie jest przerwany. Ruch tylko odosobniony jest od zasłonionego warsztatu, ale na zewnątrz odbywa się jak wprzódy.

W takim stanie był w tej chwili Edmund. Nie można powiedzieć, aby w tej chwili zakochał się w pięknej swojej kuzynce; ale doznał pewnego wrażenia, w którem chciałby pozostać jak najdłużej, nic nie myśląc, nie rozumując, nie układając naprzód, słowem, w zupełnej bezczynności ducha, która jednak była dla niego nader roskoszną...

W tej chwili skrzypnęły drzwi w salonie. Adelajda nie słyszała skrzypnięcia. Być może, że drzwi balkonu napół przymknięte nie dopuściły tego odgłosu do jej ucha, a może też tak głęboko pogrążoną była w rozpamiętywaniu swego ubóstwa, że nic słyszeć nie mogła.

Edmund jednak usłyszał i zwrócił się ku drzwiom salonu.

Nagle drgnął, jakby przestraszony widmem, i szybko zerwał się z krzesła.

Najprzód w otwartych drzwiach ujrzał obraz olbrzymi, przedstawiający jakiś potwór kobiecy, oświecony sinem światłem księżyca z jednej strony, a zachodzącym czerwonym blaskiem słońca z drugiej strony.

Z poza ram tego olbrzymiego obrazu wystawały dwie małe, malowniczo zagięte rączki, które ten obraz trzymały, a u dołu poniżej obrazu pojawiły się nóżki tak drobnych rozmiarów, jakby należały do pięcioletniego dziecięcia.

Ten obraz ruchomy, na dziecięcych nóżkach, wyobrażający nawpół nagą kobietę z dzikim wyrazem na twarzy, sprawiał tak dziwne wrażenie, że Edmund zaskoczony w bezmyślnych swoich marzeniach, stanął nagle jak wryty, i cały wzrok w ruchome widmo utopił.

— Adelciu! Adelciu! — ozwał się z poza brzydkiego obrazu głos piękny i dźwięczny.

Adelajda usłyszała ten głos i obróciła głowę.

— Czego chcesz Oldziu? — zapytała z chmurką na czole.

— Patrz — mówił dalej głos niewidomy — patrz, jak mi się udało odnowić ten obraz; ojciec twój będzie zachwycony! Sama podziwiam siebie i mój talent!

Edmund słuchał z coraz większem zdziwieniem tych słów, które z pełnej piersi wypływały jak perełki, uderzając o struny gitary.

Obraz zbliżał się coraz więcej do balkonu.

— Oldziu! *Que faites vous?* — rzekła gniewnie Adelajda — nie jestem samą!

Teraz nagle zniżył się obraz do ziemi, a ponad jego górną ramą zeszła, jak blady księżyc na błękitnych tapetach salonu, twarz piękna i młoda, o dużych ożywionych oczach i pełnych różowych ustach.

Takiego ukrytego za obrazem diabełka nie spodziewał się w tej chwili Edmund, chociaż w nocy śnił o nim cudowne rzeczy.

Twarz nad ramą obrazu okazała zrazu wielkie zadziwienie. Białe czoło sfałdowało się w urocze zmarszczki, a duże szafirowe oczy zakłopotały się sromotnie.

— W ładny sposób przedstawiasz się memu kuzynowi — rzekła z uśmiechem Adelajda, bo przerażenie Olgi stawało się komicznem — a wczoraj właśnie układałaś sobie tyle pięknych rzeczy o nim!... Towarzyszka moich lat dziecięcych — dodała do Edmunda, wskazując na zakłopotaną dziewczynę.

Edmund ukłonił się.

— Olga Burska — dokończyła Adelajda.

Olga ukłoniła się nawzajem, zarumieniwszy się po

sam rąbek żółtawej tuniki, w której było jej bardzo do twarzy.

Edmund przypomniał sobie ciemne, nie zrozumiałe słowa starego Burskiego. Coś zaczęło mu się rozjaśniać.

— Olga maluje — mówiła dalej Adelajda — i sprawia memu ojcu niespodziewaną roskosz, restaurując stare jego, zapylone obrazy.

Edmundowi przyszedł teraz na myśl portret jego, zawieszony na ścianie folwarcznej, który prawdopodobnie był kopią miniatury, jaką miała matka Adelajdy.

Zapewnie myśl tę odgadła piękna artystka, bo powtórnie cała zarumieniła się.

Dalsza jej rola była nader trudna. Odstawiła obraz na bok i stanęła na środku salonu, nie wiedząc, co z sobą zrobić. Edmund widział ją teraz całą.

Była średniego wzrostu, miała kibić wysmukłą i wiotką. Twarz nie miała rysów odznaczających się pięknemi liniami, a nawet nosek był trochę do góry podniesiony; ale za to był na niej rozlany jakiś wdzięk nadzwyczajny, jakby piękna dusza tej dziewicy nie wewnątrz ale zewnątrz ciała siedlisko swoje obrała. Osobliwie duże, szafirowe oczy miały tyle tego niewysłowionego wyrazu, jakie Rafael oczom swoich świętych niewiast nadawać umiał.

Zdawała się być w równym wieku z Adelajdą, to jest, mogła mieć lat dwadzieścia jeden lub dwa, a trzy najwięcej.

W zwykłym trybie życia widok obcego mężczyzny nie zadziwia tak bardzo kobiety, na parkietach salonu wychowanej. Znajdzie się zawsze jakieś słówko dowcipne, jakaś odpowiedź misterna, jakaś uwaga niezwykła, która

pierwszą rozmowę nawiąże i dalszy jej wątek rozsnuje. Są nawet w tym celu pisane grube książki po francuzku, które dopomagają samorodnemu dowcipowi, gdy w niefortunnem znajdzie się położeniu. Dla czego jednak Olga, towarzyszka Adelajdy i razem z nią wychowana, tak niefortunnie teraz wyglądała i nienajlepsze o sobie obcemu mężczyźnie wyobrażenie dawała, trudno odgadnąć. Zdaje się, że wczoraj coś za wiele o spodziewanym kuzynku z Adelajdą się mówiło i myślało, a teraz o to się obawiano, aby pan Edmund przez ducha świętego o tem wszystkiem się nie dowiedział.

Rola tedy dalsza, jak na początek, była rzeczywiście trudna. I byłaby jeszcze trudniejszą, gdyby w tej chwili służący w wytartej liberyi nie był się w salonie zjawił i gościa do właściciela pałacu zaprosił.

Edmund podał rękę Adelajdzie; przechodząc koło Olgi zawahał się chwilkę, co zrobić, ale tylko ukłonił się i wszedł do otwartych podwoi.

W dużym, podłużnym pokoju, zastawionym olbrzymiemi obrazami, siedział przed sztalugą mały staruszek, o białych włosach, i zmaczaną gąbką wycierał dolny brzeg starego obrazu.

Gdy Edmund z Adelajdą weszli do pokoju, staruszek nie przerwał bynajmniej swego zatrudnienia.

— *Cher papa* — ozwała się Adelajda — przecież Edmund zasłużył sobie, aby ojciec dla niego rozstał się na chwilę z Rubensem!

Staruszek z zadziwieniem spojrzał na córkę.

— Któż ci o tem powiedział, że to Rubens? — zapytał żywo — czy może Anatol? Ten plotkarz psuje mi naj-

piękniejsze moje niespodzianki!... *Cher Edmond* — rzekł zwrócony do kuzynka — lepiej przywitać cię nie mogę, jak dać ci pierwszemu spojrzeć na monogram Rubensa!... Patrz to R zakręcone i te trzy kreski!...

Adelajda spojrzała z ironicznym uśmiechem na stare, zadymione malowidło.

Edmund nie patrzał w tej chwili na monogram Rubensa, bo inny widok zwracał na siebie jego uwagę.

W dużem zwierciedle, które wisiało naprzeciw drzwi otwartych, prowadzących do przyległego pokoju, widział wykrzywioną twarz w czerwone szaty ubranego diabła!

Odbicie w zwierciedle tego złowrogiego niepoczciwca było tak złudne, tyle grozy było w jego okrągłych oczach, że Edmund, pomnąc na opowiadanie pocztyliona i przestrach starego Burskiego, nie mógł w żaden sposób oczu od niego odwrócić.

Spostrzegł to staruszek, spojrzał na zwierciadło i drzwi otwarte, i zmarszczył brwi krzaczyste.

Wstał szybko i zamknął drzwi. Widmo w zwierciedle znikło.

Zasmucony tym wypadkiem staruszek porzucił obraz, jakby odszukany na nim monogram Rubensa już go wcale nie cieszył, podał rękę Edmundowi, i wszyscy weszli do salonu, aby ceremonią przywitania inaczej odbyć, niżeli to się stało w galeryi obrazów.

W salonie stała jeszcze na tem samem miejscu Olga, jak grzesznica, czekająca na rozgrzeszenie za skryte grzechy swoich marzeń wczorajszych.

ROZDZIAŁ III.

Ojciec Adelaidy był to miły, mały staruszek z twarzą łagodną, zawsze uśmiechniętą. Kto jednak z uwagą na niego patrzał, ten poznał od razu, że staruszek nie uśmiechał się do świata, który widział przed sobą, lub do ludzi, z którymi rozmawiał, ale uśmiechał śię sam do siebie, do skrytych myśli i marzeń swoich, któremi w zimie życia swoje chwile osładzał.

Ubiór staruszka składał się z oliwkowego surduta, który niegdyś był wierzchnim surdutem, a teraz pełnił służbę domowej odzieży. Axamitem bronzowym wyłożony kołnierz nosił ślady poważnego wieku, takież same ślady świeciły się na rękawach. Biały kołnierzyk sterczał wysoko i oprawiał w świeże ramki twarz wyżółką i sporo zmarszczkami pokrytą. Na szyi była chustka w gruby węzeł związana. Na nosie miał złote okulary, a prócz tego lewa ręka jego była zawsze lupą uzbrojona, którą śledził monogramy artystów na starych obrazach.

Pan Albert, którego służba hrabią nazywała, był jednak w skrytości duszy swojej więcej niżeli hrabią. Pochodził on z ziemi ruskiej i miał nazwisko, do którego na Rusi bardzo składnie dodaje się tytuł kniazia. Tytułu

tego jednak nie można w polskim języku przetłumaczyć na tytuł księcia. To też pan Albert nie próbował tego nigdy między swymi, ograniczając się tylko w kartach wizytowych na skromnej książęcej mitrze, umieszczonej ponad nazwiskiem.

Rozmowa Adelaidy z Edmundem rozjaśniła w głównych zarysach sytuacyą, w jakiej znajdował się obecnie pan Albert. Mimo to trzeba jeszcze do niej dodać niektóre szczegóły, które nam pełną postać ojca Adelaidy należycie oświecą.

Pan Albert był jednym z kilku synów zamożnych rodziców, którzy na Padolu i Ukrainie posiadali znaczny majątek. Nie znalazłszy w kraju pola do szlachetniejszej ambicyi, poszli rodzice pana Alberta zwykłą drogą naszych majętniejszych ziomków, szukając sławy w rozrzucaniu pieniędzy.

Z początku były powiaty ich majątków areną życia na pańską skalę, potem różne stolicy ziem dawnej Polski, a wkońcu stopniowo większe miasta za granicą.

Tym sposobem stopniała wielka, ojczysta fortuna, a gdy już zasobów do pańskiego życia zabrakło, rodzice pana Alberta, jakby się z sobą zmówili, pożegnali prawie jednocześnie ten ciemny padół płaczu, przenosząc się w lepszą krainę.

Na ciemnym padole płaczu zostały osierocone dzieci, a padół ten był rzeczywiście dla nich, po zaborze majątku przez wierzycieli, tak fatalnie ciemnym, że nie wiedzieli zrazu, gdzie pójść i co robić.

W każdem innem społeczeństwie byłaby dla nich tylko jedna droga pracy osobistej możliwą. W błogosławionej

jednak krainie tytułów i próżniactwo protegujących przesądów uśmiechnęła im się przyszłość dosyć ponętna.

Jakkolwiek tytułu książęcego urzędowo nie używali, otaczała jednak ich głowy pewna aureola książęca, przyswojona stosownem wychowaniem. Gdy za granicą się ukazali, każdy szwajcar hotelowy mógłby przysięgnąć, że to książęta czystej krwi. Dopomagało do tego przyswojone od ojca lekceważenie pieniędzy, i przez to lekceważenie nabyty pewien polor towarzyski, który wszędzie dawał im swobodę ludzi wysoko w towarzystwie położonych. Również dopomagały do tego pewne ekscentryczne azardy, które jakkolwiek czasem niefortunnie się kończyły, dodawały im jednak, w oczach pewnych ludzi, pańskiego uroku.

Była to jedyna rodzicielska spuścizna, i ta spuścizna zaprowadziła każdego z nich do upragnionego szczęścia.

Jeden z braci pana Alberta ożenił się z córką milionowego fabrykanta, który miliony swoje chciał okrasić ową mistyczną koroną książęcą, często widzianą na laskach i cygarnicach dobrze widzianego konkurenta.

Drugi uczynił to samo, pojmując za żonę jedynaczkę bankiera, usunąwszy naprzód niektóre przeszkody wyznaniowe.

Trzeciemu, panu Albertowi, najlepiej się powiodło. Był i wilk syty i owca cała. Pojął żonę bogatą i z nazwiskiem arystokratycznem.

Majątek żony, dawniej u nas fartuszkowym zwany, nie zawsze jest zdrowym chlebem dla męża. Często są w nim ości, które kolą podniebienie gorzej, niżeli owoc najpodlejszego bodaku.

Pan Albert nie miał tej twardej natury, która mężom

próżniakom pozwala z apetytem zajadać chleb żony, chociażby do tego chleba mieszano plewy i osty. Wiedział o tem dobrze, że do posagu żony trzeba ze swojej strony także coś dołożyć, czy to się nazywa praca, czy zasługa, czy zresztą jakie wybitniejsze w społeczeństwie stanowisko, jeżeli się nie ma realnego majątku. Wiedział również o tem, że bez tej wkładki gorżknieje chleb żony, a często nawet można się wyśmienicie otruć.

Był to człowiek przypadkiem więcej wykształcony i delikatniejszego uczucia. Nie mógł znieść tej myśli, że niezasłużenie je chleb żony. Przemyśliwał długo nad tem, czem mógłby majątek żony zrównoważyć, ale nie znalazł w sobie żadnego talentu. Nie mógł zostać żadnym prezesem, bo towarzystw wtedy żadnych nie było; nie mógł nawet starać się o tytuł marszałka powiatowego, bo takich tytułów także wtedy jeszcze nie było.

Sposób jednak zrównoważenia majątku żony był bardzo łatwy, gdyż stanowił główny powód dzisiejszego jego położenia. Gdy się nad tem bliżej zastanowił, przekonał się, że majętna dziewica tylko dlatego oddała mu swoje serce, rękę i dochody miasta i czterech wsi, że na guzikach liberyi i na drzwiczkach karety mogła umieścić mitrę książęcą.

Wpadłszy raz na talizman swego szczęścia, postanowił pan Albert zużytkować go, co się dało. Dobrej w gruncie, ale próżnej kobiecie pochlebiało to wielce, że zarywała na księżnę. Mówię „zarywała“, bo księżną nigdy jej nie nazywano, a nawet służbie tylko używanie „jasna pani“ nakazano.

Wykrywszy tę słabość w małżonce swojej pan Albert,

chciał ją zupełnie uszczęśliwić jako małżonek kochający, i w tym celu wywiózł ją za granicę.

Tytuł książęcy jakoś między swymi nie uchodził, a tytuł „kniazia“ wcale nie był we zwyczaju. Za granicą jednak zaraz w pierwszym hotelu powitano ich tytułem książęcym, a pani Albertowa aż pokraśniała z radości, gdy ją odźwierny na tablicy gości hotelowych wyraźnie „*Madame la Princesse*“ białą kredą wypisał. Takie bowiem wrażenie we wszystkich hotelach sprawiała mitra umieszczona na kufrach podróżnych.

Pani Albertowa była teraz zupełnie szczęśliwa. Do szczęścia nic jej nie brakowało; kochała swego męża całym zapałem kobiety, bo ten mąż uczynił ją księżną!

Porobiono stosowne do tego znajomości, a że dostatki były, więc i znajomości były liczne i serdeczne, jak to się łatwo wydarza za granicą.

Widząc uniżoność swoich dostojnych gości, pan Albert uwierzył sam w swój tytuł książęcy, i tak się roskoszą tego uczucia upoił, że zdawało mu się, iż do posagu żony swojej wniósł ze swojej strony ekwiwalent tego posagu i z nią zupełnie się zrównał. Poczciwa kobieta wierzyła temu rachunkowi i kochała go jak bohaterka.

Po niejakim czasie spostrzegł jednak pan Albert, że taki rachunek tylko za granicą upragniony rezultat przynosi. W kraju staje się on fałszywym. Na kartach wizytowych nie można wyraźnie drukować: książę lub księżna, bo to byłoby śmiesznością, a nawet nikt ze znajomych tego tytułu nie użyje mówiąc do niego albo do żony. Urojone więc szczęście żony byłoby w kraju narażone na rozczarowanie, a on ze swojej strony straciłby wkładkę do

jej posagu, i zwichnąłby tym sposobem równowagę małżeńską.

Zbyt delikatnych uczuć, aby kochającą kobietę wymarzonego szczęścia pozbawiać, postanowił pan Albert przebywać za granicą, jak tylko mógł, najdłużej.

Uszczęśliwiona małżonka odpłacała mu to szczęście najżywszą miłością, a do swoich znajomych pisywała długie listy, w których opisywała zaszczyty, spotykające ich za granicą od rodzin najznakomitszych.

Tym sposobem się stało, ze Adelaida urodziła się w Rzymie, ochrzczoną została w Paryżu, a w Dreznie rozpoczęła swoję edukacyą.

Za książęcy jednak tytuł, za liberyą książęcą trzeba było drogo płacić. Trzeba było prowadzić dom książęcy i w odpowiedni sposób gości przyjmować. Ponieważ jednak za przyswojony tytuł więcej się płaci, niżeli za rzeczywisty, więc dochody posagowe nie wyrównywały wysokim procentom, jakich żądał tytuł książęcy.

Pan Albert widział to, ale nie miał odwagi szczęśliwej kobiety rozczarować. Ukrywał przed nią, jak mógł, upadek fortuny i nie dopuścił, aby jaka wiadomość przedwczesna zasępiła piękne czoło ukochanej Taidy Anuncyaty.

Gdy spostrzegł pierwsze niebezpieczeństwo, zaturbował się nie mało, myślał bardzo wiele, ale żonie nic nie powiedział. Nie wymyślił żadnego sposobu, który mógłby go wydobyć z przepaści, w którą już był po części się usunął. Tytuł książęcy przeszkadzał mu do korzystania z nadarzających się okoliczności, a chociaż wpływem swoim zarobionym wiele drugim pomagał, sam nie poważył się sięgnąć po jakąbądź korzyść.

Gnębiąca myśl ruiny wzbudziła w jego głowie plan dosyć fantastyczny przyjścia kiedyś do wielkiej fortuny. Przestrzegając zawsze sumiennie arystokratycznych nałogów i szlachetnych namiętności, prawdziwej arystokracyi właściwych, postanowił zająć się zbieraniem galeryi obrazów w nadziei, że pomiędzy staremi gratami odkryje tym sposobem kiedyś Rafaela, Rubensa, Van-Dyka lub przynajmniej Pawła Weronczyka, i bez wielkiej pracy przyjdzie do sum bajecznych.

Pomysł ten miał nawet pewne pozory manii czysto arystokratycznej, chociaż w gruncie był prostą spekulacyą na zarobek. Utytułowanemu człowiekowi nie wypadało jakoś brać się do jakiejś pracy osobistej, a zbieranie galeryi obrazów nie tylko że za zwykłą pracę nie uchodziło, ale nawet dodawało mu pewnego arystokratycznego blasku w kołach znajomych.

Wiadomo, jak za granicą podobną słabość umią antykwaryusze i handlarze obrazów zużytkować. Jest oddzielny rodzaj artystów, którzy takim handlarzom służy i dla nich stare obrazy fabrykuje.

Zaraz w pierwszych miesięcach zarzucono pana Alberta stosami Rubensów i Rafaelów, nie mówiąc już o mierniejszych geniuszach lub takich antykach, do których należał Łukasz z Leiden i Cranach.

Pan Albert sprawił sobie podręcznik malarstwa, zaprzyjaźnił się z kilkoma artystami, których hojnie raczył u siebie, i z tą pomocą zbierał galeryę.

Nie wiedział biedny pan Albert, że to była spekulacya najniebezpieczniejsza, kosztująca najwięcej pieniędzy.

Zrazu zdawało się panu Albertowi, że to wszystko

nie wiele kosztuje. Pierwsze obrazy, które mu jako antyki przynoszono, płacił po kilka, po kilkanaście talarów. Była to wędka, którą chwytał niebaczny. Wyobraźnia łudziła go nieustannie odkryciem Rafaela lub Rubensa, marzył o tem i śnił po całych nocach, aż wreszcie stało się to nałogiem i namiętnością.

Namiętność tę podsycała coraz więcej rozpacz, jaką czuł na widok upadku majątkowego. Jak gracz namiętny, chcący się odegrać, rzucał coraz więcej złota na stawkę, coraz więcej płacił za wypłowiałe płótna.

Pani Albertowa nie wiedziała o prawdziwych powodach tej manii arystokratycznej swego męża. Szlachetna namiętność pana Alberta wydawała się jej bardzo pięknym przymiotem arystokraty czystej krwi.

Pani Albertowa była arystokratką czystej krwi. Odziedziczywszy po rodzicach nazwisko historyczne, wierzyła, że to nazwisko ją obowiązuje. Nie umiała tylko przenieść tych obowiązków na właściwe pole.

Wychowanie zrodziło w niej żądzę aureoli arystokratycznej, a ponieważ tej aureoli w kraju mieć nie mogła, przeniosła się za granicę i tam żyła.

Pole więc pięknych i szlachetnych uczynków, jakiemi objawia się prawdziwa arystokracya, było dla niej zamknięte. Umiała jednak jakoś odłączyć praktykę od teoryi, a zostawiając pierwszą odłogiem, trzymała się silnie drugiej.

W teoryi więc widziała jasno niektóre dodatnie strony arystokracyi i w nie z całym zapałem wierzyła. Gdyby nie słabość męża, byłaby nawet może i do kraju wróciła, i te dodatnie strony swoich zasad nader korzystnie dla kraju spożytkowała. Ale w takim stanie rzeczy nie pozo-

stało jej nic innego, jak teoryą swoję w nieskazitelnej czystości przelać na swoję jedynaczkę.

W takich warunkach wychowywała się Adelaida. Przedewszystkiem wpajała w nią matka dodatnie zasady arystokracyi i kreśliła jej drogi, jakiemi iść powinna. Przedewszystkiem zaprawiała ją do hartu własnych przekonań, chociażby te przekonania cały świat miały przeciw sobie. Mianowicie zwracała jej uwagę na tak zwaną opinią publiczną, którą wystawiała jej jako niewiastę zbyt chwiejną. Gdyby przekonania jej były dobre, a taż opinia inaczej się oświadczała, wtedy kazała jej lekceważyć tę frynę uliczną i swoją drogą iść dalej do celu.

W ten sposób młoda Adelaida uczyła się już wcześnie nie zważać wiele na to, co inni mówią, jeżeli jej przekonanie wewnętrzne ją uspokajało.

Podobała jej się również nauka matki, że ludzie zrodzeni w wyższych sferach muszą przewodzić społeczeństwu. Dla tego nie powinni nigdy z tych wyższych sfer schodzić niżej, pod klątwą utraty prawdziwego klejnotu.

Ta dodatnia strona idei arystokratycznej bardzo podobała się Adelaidzie, i wcześnie wkorzeniła się w jej duszę piękną i z natury do dobrego pochopną.

Idąc za przykładem dawnych rodzin arystokratycznych, matka Adelaidy postanowiła razem z córką swoją, równym sumptem wydatków i uczuć macierzyńskich wychować jaką biedną sierotę ze swoich poddanych.

Miała ona być nieodłączną towarzyszką Adelaidy, razem z nią róść, a uczyć się i bawić. Widziała w tem korzyść rozwijania się umysłu i uczuć jedynaczki, pewną emulacyą w nauce i zachowaniu się.

Przyznać należy, że założenia swego dopełniła pani Albertowa sumiennie. Wziąwszy za towarzyszkę dla Adelaidy córkę ekonoma Burskiego, nie czyniła między niemi żadnej różnicy, kochała je, ubierała i edukowała jak dwie rodzone córki swoje.

Mistrz Darvin, który właśnie wtedy przemyśliwał nad ewolucyą gatunków zwierząt i uszlachetnieniem się tychże aż do człowieka, byłby w córce ekonoma miał pyszny egzemplarz dla swego dowodu.

Olga bowiem, wzięta dzieckiem z ekonomskiej izby, przystosowała się (jak mówią Darwiniści) do nowych warunków życia, i wychowaniem co do zewnętrznych pozorów stała się damą sfery arystokratycznej.

Zdrowy jej organizm zniósł nawet więcej nauki i wydał plon obfitszy.

Olga nietylko umiała tańczyć jak sylfida, nie tylko w całej postaci miała ten ruch swobodny i naturalny, jaki cechuje damy arystokratyczne; nie tylko mówiła najpiękniejszym francuskim akcentem, ale nawet grała i spiewała po mistrzowsku i malowała wcale nie źle.

Zdrowa, wesoła jej dusza używała całą piersią słonecznego życia, nie wracając prawie nigdy choćby wspomnieniem do ciemnej ekonomskiej izdebki. Na wspomnienia bowiem nie było czasu śród nauki i zabaw towarzyskich.

Wspomnienie ojca nachodziło ją wprawdzie czasem, ale tego ojca wyidealizowała sobie do tego stopnia, że prawdziwa postać jego znikła jej z przed oczu.

Gdy pani Albertowa do kraju wróciła, miała Olga już wtedy lat siedmnaście. Pani Albertowa wracała do kraju wiedziona jakimś dziwnym przeczuciem. Nie umiała tego

przeczucia bliżej określić, ale wiedziała, że było smutne. Być może, że o ruinie majątku coś się dowiedziała, być może, że sam pan Albert dłużej nie chciał lub nie mógł żyć księciem za granicą i to dał jej poznać. Dosyć, że pani Albertowa wróciła do swego rodzinnego gniazda.

Czekało ją tu bolesne rozczarowanie. Wsie i folwarki już poszły na życie za granicą, został tylko rodzinny jej pałac z tytułem dziedzictwa miasta powiatowego, które to dziedzictwo wyłącznie i jedynie opierało się — na prawie propinacyi!

Gdy pani Albertowa w tej nowej sytuacyi się rozpatrzyła, zbladła i położyła się do łóżka. Arystokratyczna jej teorya, którą w takim blasku zawsze widziała, była teraz srodze skompromitowaną. Cały jej byt opierał się teraz na prawie propinacyi.

Podwaliną więc i fundamentem, na którym opierał się jej byt w społeczeństwie, była wódka!.. a podtrzymujący symbol przewodnictwa w narodzie byli — pijacy!..

Taki widok rzeczy zasmucił srogo słabą, ale poczciwą w gruncie kobietę. Był to cios wprost w jej teoryą wymierzony, takiego ciosu przeżyć nie mogła.

Cicho i bez skargi zamknęła usta i zamilkła na wieki.. trzymając skostniałą rękę na głowie Adelaidy.

Pan Albert po śmierci żony został w kraju. Prowadził dalej swoję manią zbierania obrazów. Jak gracz namiętny, który zrazu rzuca na stół gry stawki tysięczne, potem zniżając je wedle sił swoich coraz niżej, dochodzi do tego, że wkońcu z brudnego węzełka dobywa grosza i na loteryą liczbową go stawia: tak pan Albert rozpoczął od obrazów, których mu zagraniczni artyści nasyłali, a skończył teraz

na starych malowidłach, które mu żydkowie z miasta powiatowego znosili, wypróżniając szynki i bawarye.

I teraz jeszcze z taką samą namiętnością i nadzieją siedział pan Albert nad podartem płótnem, za które żydkowi dał dwadzieścia groszy, jak ongi przed pseudo-Rubensem, za którego zapłacił pięćset talarów! I teraz jeszcze spodziewał się, że dziś jutro odkryje monogram Rafaela lub Van-Dyka na płótnie dwudziesto-groszowem!

Powrót. Olgi do kraju nie był także bez pewnych rozczarowań. Chociaż przez całą drogę biło jej serce do ojca, którego po latach kilkunastu obaczyć a nawet prawie dopiero poznać miała, gdy jednak w jedwabnej, szeleszczącej sukni wpadła do izdebki ekonomskiej i nie tylko ręce ale nawet i nogi starego, od pracy pokrzywionego Burskiego ucałowała, cofnęła się po pierwszem wrażeniu o półkroku od ojca, doznając jakiegoś posępnego i bardzo bolesnego uczucia.

Od tego czasu minęło sześć lat, a pierwszym gościem w pałacu, oprócz miejscowego proboszcza, żydków i antykwaryuszów, był Edmund.

ROZDZIAŁ IV.

Późną nocą wrócił Edmund do swego dworku. Oczekiwał go tam Mirski, jeneralny jego plenipotent, ekonom i minister rolnictwa, jak go żartobliwie nazywał.

Mirski był zachmurzony, a skoro służba na spoczynek odeszła, ozwał się do Edmunda w te słowa:

— Obawiam się, aby plany nasze i marzenia, o których tak często z sobą rozmawialiśmy, nie utknęły tutaj na jakim kamieniu podwodnym. Przynajmniej o ciebie obawiam się, aby ten stary pałac nie stał się Kapuą dla naszego Hannibala! Pocztylion straszył cię już diabłem malowanym, który tam ma mieszkać, a ja sądzę, że jeżeli tam nie ma diabła malowanego, ale jest żywy, to pewnie nam co zmaluje!

Edmund uśmiechnął się jak mógł najobojętniej, ale uczuł natychmiast, że się uśmiecha z przymusem.

Wziął to poprostu tylko za zmęczenie.

— Malowanego diabła widziałem — rzekł po chwili — chociaż widziałem go tylko w odbiciu, ale nic mi się nie stało.

Tu opowiedział Mirskiemu, jak przez drzwi otwarte widział w zwierciedle prawdopodobnie obraz wystawiający diabła, zkąd w sąsiedztwie urosła wieść, o której wspomniał pocztylion.

Mirski słuchał w milczeniu, ale na to nic nie odpowiedział. Potem zwrócił rozmowę na pałac, dopytywał się o jego mieszkańców, a gdy Edmund o kobietach mówił, wpatrywał się w niego z uwagą.

W końcu przeszli do rozmowy, która przedewszystkiem umysł ich zaprzątała, a rozmowa tu wyrugowała wkrótce z ich pamięci to, o czem na wstępie mówili.

Po odejściu Mirskiego Edmund zbliżył się do swego łoża, które teraz trochę lepiej niżeli wczoraj wyglądało. Nastka znalazła na strychu stare łóżko, i wysłała je świeżem sianem.

Edmund z pewną ochotą zabierał się do łóżka, bo czuł się zmęczony. Zdawało mu się, że sen pokrzepi go i wróci mu dawne siły i swobodę umysłu.

Wkrótce jednak poznał, że ciało nie potrzebowało fizycznego wypoczynku, że zmęczenie jego miało inny utajony powód, którego prędko nie mógł się domacać. Przewracał się z boku na bok, zasłaniał kołdrą oczy, aby światło nocy księżycowej do snu mu nie przeszkadzało, ale wszystko na darmo. Sen uciekał od niego, a za to cisnęły mu się przed oczy obrazy dni ostatnich, pomiędzy któremi na pierwszym planie występowali zawsze mieszkańcy pałacu.

Z długiej rozmowy, jaką prowadził z tymi mieszkańcami, dowiedział się mniej więcej o położeniu tychże, a wyobraźnia jego wykończyła teraz ich portrety.

Najprzód sam pałac stary przybierał teraz jakieś kształty dziwnie fantastyczne. Miał on być zbudowany przez jeńców tatarskich. Edmund wyobrażał sobie tych robotników dzikich, jak kopią ziemię i znoszą kamienie. Potem

przechodził dawnych mieszkańców, jednego po drugim, widział ich otoczonych zbytkami, aż wreszcie zaszedł do pana Alberta w wytartym surducie, siedzącego nad starem płótnem i z namiętnością zbankrutowanego szulera szukającego monogramów Rubensa.

Dziwny był to obraz tego człowieka. Obszerne komnaty zaległo ubóstwo, mieszkańcom było już w tych komnatach za przestrono, oni chcieliby wyjść z tych komnat do małych izdebek, byle im na to pozwoliła ich tradycya nieubłagana.

Do losu starca przykuta była dziewica niezwykłej urody, osamotniona, od świata odgrodzona, jakby w grobie żywcem zamurowana!

— Rozbudzona wyobraźnia malowała mu ją powabnemi kolorami, stawiała w pozach uroczych. Widział te duże, ciemne oczy, jak błyskały wyrazem dumy królewskiej, podziwiał to śnieżne, okrągłe ramię, które wznosiło się przy każdym głębszem oddéchu, jak biały łabędź wznosi się na niespokojnej fali. A gdy jeszcze do tego dodał ten uśmiech czarujący, który nie wzruszał, ale olśniewał i do pokłonu wzywał, wtedy uczuł w swojej piersi niepokój i musiał na drugi bok się przewrócić.

Z poza tej postaci królewskiej patrzały na niego duże szafirowe oczy drugiej kobiety, która dobrowolnie podzielała to smutne więzienie, wyzłacając je najpiękniejszą poezyą duszy swojej.

Cała ta grupa była dziwnie malownicza. Na pierwszym jednak planie, oświecona jasnem światłem, stała Adelaida w złotej, królewskiej koronie, ale wilgotne jej oczy mówiły mu, że ta złota korona ma ciernie u dołu i że te

ciernie mocno ją ranią. Nawet zdjęła przed nim tę koronę, czego przed nikim nie uczyniła, i okazała mu rany swoje!

Edmund przypominał sobie każde słowo jej skargi, powtarzał je w duszy i pytał sam siebie, co mogło być powodem, że tę skargę tajemną przed nim wynurzyła? Wprawdzie był jej bliskim krewnym, był po sześciu latach pierwszym gościem, z którym otwarcie mówić mogła, ale to wszystko nie tłumaczyło mu jeszcze tego dziwnego wrażenia, jakiemu obecnie podlegał.

Nie zakochał się przecież tak odrazu, bo o miłości miał inne wyobrażenie, ale przecież coś tam odbywało się w jego duszy, czego nazwać i zrozumieć nie umiał.

Gdy rano po krótkiem śnie Mirski go zbudził i z ironicznym uśmiechem o roskoszne sny zapytał, Edmund wyparł się wszystkich snów jak najuroczyściej, twierdził, że o pałacu nawet nie pomyślał, i tak zacięcie bronił się przeciw wszelkiemu podejrzeniu, że sam w końcu sobie uwierzył.

Wyszedł do gospodarstwa z Mirskim, obchodził z nim pola i lasy, i tak mu już było swobodnie w duszy, jakby rzeczywiście już o wszystkiem zapomniał.

Na nieszczęście przy obiedzie ktoś wspomniał o pałacu, a licho weszło znowu do głowy. Mirski znowu dogadywał, potrzeba było się bronić, wypierać, a nawet w zapale wymknęło się: słowo honoru.

Nad wieczorem, gdy Mirski do miasta odjechał, jak wszystkim ogłosił, w interesach gospodarstwa, Edmund poczuł wielką ochotę przejechać się do pałacu.

Rozmowa z kobietami pałacu miała dla niego tyle powabu, folwark był tak pusty i samotny... ale przypomniał

sobie Mirskiego i „słowo honoru", i przymusił się widocznie, aby zostać w domu.

W ten sposób zeszedł jeden, drugi i trzeci dzień. Czwartego dnia wspomniał coś Mirski o drzewie, jakiego w lasach folwarku nie było, a w lasach sąsiada znajdował się pod dostatkiem; Edmund pochwycił prędko tę kwestyą, dowodził usilnie, że tego drzewa bardzo prędko potrzeba, i za kilka chwil kazał konie zaprzęgnąć.

Gdy jechał przez głęboki parów, nie myślał wcale o drzewie, ale myślał o Adelaidzie, i po raz pierwszy wysnuł z tych myśli, że Adelaida prawdopodobnie zaczyna go kochać.

Gdy to dwa razy sobie półgłosem powiedział, uwierzył, że tak jest w istocie, i że przeto ma pewne obowiązki dla kochającej go kobiety.

Były to myśli szybkie, przelotne jak błyskawice, nie można nawet było tego nazwać myślami, tylko jakiemś sennem marzeniem, które z rzeczywistością nie ma nic wspólnego. Mimo to stan taki duszy zajmował Edmunda i sprawiał mu wielką przyjemność.

Wszedłszy raz na ten tór, snuł dalej pajęczą nić tego wątku, jak to się zwykle dzieje. Adelaida kocha go, kocha niezawodnie, marzy o nim, gniewa się, że tak długo nie był, jej oczy mówią mu tyle, ach tyle... Jakże jest szczęśliwy, jakże mu serce bije!... A on był tak niewdzięczny, tak nieczuły!...

Tutaj zajechał wózek przed ganek.

Adelaida była z Olgą w ogrodzie i zdawała się go oczekiwać. I rzeczywiście oczekiwała go, bo miała mu coś powiedzieć.

Olga spostrzegła, że Adelaida po pierwszej wizycie kuzynka dziwnie się zmieniła. Sprawiło to smutek Oldze, ale nie zwierzyła się z nim przed towarzyszką.

Rozmowa z kuzynkiem wpłynęła rzeczywiście na chwilowe usposobienie Adelaidy. Aby temu nie zaprzeczyć, trzeba ją poznać, jaką właśnie była w tej chwili.

Sześć lat upłynęło od śmierci matki, a cały czas ten przepędziła Adelaida w zupełnem odosobnieniu. Była to zbyt nagła zmiana, zbyt dotkliwe przejście od życia wielkomiastowego, od zbytku do ubóstwa.

Bystry umysł Adelaidy objął nagle całą tragiczność położenia. Widziała ona w tym względzie dalej od ojca, który wzrok miał zasłoniony Rubensowemi mrzonkami.

Boleść wielka rozdarła pierś Adelaidy. Cała teorya jej wychowania straciła nagle grunt, na którym oprzeć się miała. Pozostała jej tylko ta nadzieja, że mogła świetnie pójść za mąż i dawny lustr domu nanowo odświeżyć.

Aby jednak świetnie pójść za mąż, potrzeba się świetnie światu okazać, potrzeba wyjechać na szerszą arenę życia, słowem potrzeba majątku, pieniędzy.

Tych zaś nie było, a natomiast była z każdym dniem coraz większa nędza.

Adelaida z rozpaczą w sercu patrzała nieraz, jak cała służba pałacu czekała niecierpliwie starego Burskiego, który do miasta pojechał, aby od żydka za sprzedaną furę drzewa pieniądze odebrać i za nie żywności na dzień dzisiejszy kupić.

Była księżniczka zaciskała usta z bolu na taki widok, a z piersi zbolałej wyrywał się wtedy okrzyk: bogactwa

bogactwa... koniecznie bogactwa! bo bez niego jesteśmy mniej niż żebrakami.

Teorya arystokracyi była rzeczywiście w bardzo złym stanie. Przewodzić nie było komu, a kupić sobie satelitów nie było za co. Nie mogąc więc wyższości swojej nad zwykłymi śmiertelnikami zewnętrznie okazać, to jest nie mogąc świata olśnąć ostentacyjnem życiem, cofnięto się w więzienne komnaty pałacu i zerwano zupełnie z światem otaczającym.

Pan Albert czekał wytrwale, aż znajdzie Rafaela lub Holbeina, ale czego czekała Adelaida?

Adelaida czekała, ale sama nie wiedziała, czego. Wprawdzie wykwintna jej wyobraźnia karmiła ją samemi exotycznemi barwami, ale barw takich blisko niej nie było.

Kobieta wielkiego świata ucisza codziennemi fraszkami każdą głośniejszą strunę serca lub duszy, gdy za głosem tej struny iść nie może lub nie chce.

Długa jednak samotność równa wszystkie kobiety tego świata, bo odbiera im fraszki, któremi się zabijają.

W osamotnieniu serce śmielej się odzywa, a często nawet odnosi zwycięstwo nad mrzonkami głowy.

Adelaida żyła sześć lat w osamotnieniu; czyż podobna, aby w tym czasie rozbolałe serce nie ozwało się zwykłem kobiecem pragnieniem, nie zażądało od niej wzruszeń, jakiemi każda kobieta żyje?..

Ale przez sześć lat nie widziała Adelaida nikogo, któryby mógł sprawić takie wzruszenie serca. Edmund był pierwszym mężczyzną, którego w tym czasie obaczyła, i z którym dłużej rozmawiać mogła...

Zdaje się, że mimo wszelkich teoryi życia, jakie sobie przyswoiła, rozmowa z Edmundem zbudziła w niej kobietę, jaką jest i była od stworzenia świata

Adelaida po odejściu kuzynka długo w nocy spać nie mogła. Czuła, że jej serce mocniej bije, ale nie uwierzyła, aby Edmund temu był winien.

— To rozdrażnienie — mówiła do siebie — nic więcej. Mówiłam o naszem smutnem położeniu, ubóstwie... ach, on jest także ubogi!... Gdyby on był bogaty...

I odwróciła się od światła księżycowego, aby się jak najprędzej uspokoić.

Uspokojenie jednak nie przychodziło tak łatwo. Nie przyszło nawet i nazajutrz, gdy kilku żydków o jakiś dług drobny upominało się, a w pałacu nie było ani złamanego szeląga!

— Ubóstwo, ubóstwo nasze jest największem naszem nieszczęściem, i to mnie tak rozdrażnia — mówiła do siebie, biorąc na szyję sznur pereł orleańskich i zakładając na palce pierścienie z brylantami — dlaczego dopuścił Bóg na nas tak wielkie ubóstwo...

Serce biło jej ciągle niespokojnie. Chciała ten niepokój gdzieś za sobą zostawić, chciała się z nim rozstać, chociażby z jaką ofiarą.

Wyszła do ogrodu pomiędzy drzewa i kwiaty. Ale drzewa i kwiaty, owe arcydzieła ręki Boga, który także i kobietę stworzył, powiększały jeszcze bardziej ten niepokój serca, tę dziwną strunę, która tam ozwała się tak nagle.

Adelaida uciekła z ogrodu.

Weszła do pokoiku, w którym mieszkała i umarła jej matka. Tu jeszcze gorzej było. Niepokój serca wzmógł

się i rzucał jej przed oczy jakieś dziwne, tak dziwne obrazy!..

Z pokoju matki przeszła do sali tak zwanej rycerskiej. W tej sali wisiały portrety antenatów, same twarze wąsate, w zbrojach i złotolitych kontuszach. Ludzie ci szli niegdyś na czele społeczeństwa, mieli w narodzie znaczenie i zachowanie, pałace, zamki i dostatki.

Adelaida szła od jednego do drugiego, a serce jej zaczęło trochę uspokajać się. Było jej jakoś lepiej i lżej w tem towarzystwie ludzi z żelaza i złota.

Czwartego dnia, gdy Edmund z wózka zeskoczył i do ogrodu wraz z swemi marzeniami dążył, miała Adelaida twarz spokojną, jakby z białego marmuru wykutą. Koło niej jak młody aniołek z zwiniętemi skrzydełkami postępowała Olga.

Gdy Edmund się przybliżył, podała mu Adelaida spokojnie rączkę alabastrową; Olga zrywała tymczasem kwiatki.

Edmund patrzał z uwagą na Adelaidę. Jej twarz była posągowo piękna, ale też i posągowo zimna. Nie było w niej ani śladu wzruszenia, o jakiem marzył Edmund przez całą drogę.

— Folwark mój — rzekł śród rozmowy z wyrazem nieukontentowania — zaczyna mi być nieznośnym! Czy wierzysz kuzynko temu?

— Wierzę — odpowiedziała spokojnie Adelaida — a nawet mam dla ciebie już gotową radę. Ożeń się.

— Ożenić się? — powtórzył ciekawie Edmund.

— Tak jest, ożenić się, bogato! — zimno wyrzekła Adelaida.

— Bogato?

— Bogato, jak tylko można! Brylanty nasze potrzebują złotej, grubej oprawy!

Gdy Adelaida te słowa wymawiała, miała twarz uśmiechniętą, a na ustach jakąś piosnkę wesołą.

— Jabym dała panu inną radę — ozwała się Olga z kwiatkiem w ręku, uśmiechając się naiwnie.

— Jaką radę? — z cierpkim uśmiechem zapytał Edmund.

— Niech się pan zakocha! — cicho wyszepnęła Olga, i zaczęła z kwiatka listki obrywać.

— Jeżeli ten dziurawy obraz nie będzie Holbeinem, to już w stare obrazy przestanę wierzyć! — ozwał się nagle za nimi głos niespodziewany.

Wszyscy obejrzeli się z przestrachu.

Był to pan Albert w wytartym oliwkowym surducie, który uśmiechając się do swoich marzeń, zapomniał nawet przywitać się z gościem swoim.

Na szczęście Edmund tego nie spostrzegł.

ROZDZIAŁ V.

Gdyby jaki poczciwy diabeł kulawy, jak to się ongi działo, zerwał nam z małego domku ekonomskiego, który jak grzyb do pałacu przypierał, dach już i tak mocno nadpsuty, byłby nam otworzył widok dosyć trudny do zrozumienia.

Było to wieczorem, już po odjeździe Edmunda.

W ubogiej izdębce, na prostej ławie siedział stary człowiek z założonemi na krzyż rękami. Słabe światło łojowej świeczki oświecało ubogie sprzęty, tu i ówdzie bez ładu porozrzucane. Przed wypłowiałą dreliszkową sofką kulał stół prosty, o trzech nogach, otoczony kilkoma krzesłami, z których lepszą odzież już dawno zdarto. Na ścianie wisiał obraz Chrystusa, kupiony przed laty na odpuście Kalwaryi Pacławskiej. Artysta ludowy nie szczędził kolorów jak najjaskrawszych, aby majestat boży przedstawić jak najświetniej. Po obu stronach Chrystusa wisiały dwa inne obrazy, jak się zdaje pędzla tegoż samego artysty, wyobrażające Matkę Boga i z obnażonemi ramionami Magdalenę, z dyscypliną w ręku na znak pokuty.

Te były wybitniejsze ozdoby ściany, inne składały się z misternych tkanek pajęczyny i ciemnych smug, idących regularnie z góry na dół, utworzonych ściekiem

wody, która przez dziurawy dach obficie podczas deszczu spływała. Podłoga była ułożona z prostych desek, gdzieniegdzie wygniłych, przez co tworzyły się zagłębienia, w których psy i koty składały kości niedogryzione.

Postać siedzącego człowieka mogła wybornie służyć artyście za model człowieka, walczącego z pierwszemi potrzebami życia. Wychudły, zżółkły, zgarbiony we dwoje siedział na ławie pod oknem. Twarz jego, przez tydzień niegolona, miała wszelkie przymioty szczotki; koszula gruba, z pokręconym kołnierzem, otwierała się na piersiach, odsłaniając brunatne, mocno opalone ciało. Wysokie juchtowe buty podobne były do małych sanek wielkomiastowych, w których wybornie mogłyby usiąść dwie osoby. Ręce grube, z wystającemi żyłami, uzupełniały ten obraz malowniczy, chociaż w dzisiejszem pojęciu mody nie bardzo wybredny.

Obok starego ekonoma, na małym stołku, siedziała kobieta, z pozorami wielkiego świata, i w prześliczne loczki konsztownie ubraną głowę tuliła do wyszarzałego kubraka swego sąsiada.

Światło łojowej świeczki łamało się kunsztownie w mieniących fałdach jedwabnej sukni, która tworzyła dziwny kontrast z tem wszystkiem, co ją otaczało. Cała postać, ruch, poza tej kobiety okazywały, że areną jej życia jest salon wielkoświatowy. Wszystko tam było malownicze, trochę naturalne, trochę wystudyowane, ale w całości ładne i ujmujące.

Gdybyśmy w tej postaci kobiecej nie poznali Olgi, córki Burskiego, trudnoby nam wytłumaczyć taką scenę. Tak bowiem dziwny był kontrast między ojcem a cór-

ką, tak niepodobni do siebie byli oboje! Wychowanie zrobiło to.

Stary Burski miał zeschłą łzę na opalonej twarzy. Patrzał w oczy Olgi z jakiemś uczuciem, którego trudno było nazwać. W źrenicach było rozczulenie, na czole dwa fałdy gniewne.

— Cóż to się stało — rzekł odgarniając jej złote loczki z białej skroni — cóż to się stało, żeś sobie ojca przypomniała? Tydzień cały nie byłaś w tej izdebce, której powietrza obawiasz się, abyś go nie zaniosła we fałdach sukni jedwabnej na komnaty pałacowe! Hej, mój mocny Boże, gdyby to nieboszczka Elżbieta widziała!.. ale nie, lepiej, że nie widzi! Wypłakałaby oczy, że jej dziecko odebrano, od serca wydarto i w czci innych bogów wychowano! Ja to pojmuję. Ja sam wstydzę się, że jestem ojcem twoim; a są chwilę, w których nawet wolałbym, abyś umarła! Sprawiłbym ci pogrzeb, postawił nawet aniołka z kamienia na grobie, płakałbym, gorżkobym płakał za ukochanem dzieckiem mojem, ale wiedziałbym, że już umarło, że go nie mam! O tak... czyż ja wiem, że mam córkę, mam dziecię moje?..

Płacz tłumiony dał się słyszéć z piersi Olgi.

— Nie rozdzieraj mi serca, ojcze — odparła łkając — bo jemu już i tak nie wiele brakuje, aby pękło! Czyż cię nie kocham przywiązaniem córki, czyż nie czujesz po mych pocałunkach, że jesteś mi ojcem ukochanym?...

— Ty mnie kochasz, to prawda... ale gdy cię widzę na krużganku pałacu, otoczoną gośćmi pałacowymi, wtedy bije mi krew do twarzy, bo przechodząc popod krużganek, lękam się, aby kto z gości nie wskazał palcem na mnie i nie rzekł:

Oto ojciec tej pięknej damy, która wygląda jak księżniczka, a jest tylko córką... Wierzaj mi, wtedy radbym umrzeć i nie zawadzać ci na świecie; możeby ludzie zapomnieli, kto był ojcem twoim, możeby ci przebaczyli, że się urodziłaś w ubogiej izdebce.

Duże dwie łzy spłynęły po opalonej twarzy Burskiego.

Olga zaszlochała głośniej. Przycisnęła rękę ojca do serca i rzekła:

— Nie chciej memu wychowaniu złorzeczyć ojcze, ono może tylko dla ciebie być pociechą i nadzieją, że na stare lata nie będziesz potrzebował żądać od ludzi miłosierdzia. W marzeniach moich zajmujesz zawsze pierwsze miejsce.

— O czemże marzysz?

Po twarzy Olgi przeszedł nieznaczny rumieniec. Spuściła oczy i milczała chwilę.

— Marzysz o zamążpójściu — mówił dalej ojciec — ale mnie się zdaje, że to marzenie nie wiele ci przyniesie. Gdybyś była została w izdebce mojej, gdybyś była od kucharza nauczyła się smacznie gotować, od ogrodnika sadzić dobre warzywa, zresztą czytać i pisać od bakałarza i organisty, uroda twoja przyciągnęłaby nie jednego lepszego oficyalistę, a może nawet główny leśniczy, który się w mieście z panną kamieniczną ożenił, byłby zapukał do drzwi moich i ciebie przed ołtarz poprowadził! Wtedy rzeczywiście miałbym u ciebie chleb łaskawy na stare lata moje, strugałbym szabelki dla waszych dzieci, lub uczył w lesie strzelać wnuka... a dzisiaj —

Olga podrzuciła głowę do góry.

— Wychowanie moje — odpowiedziała z pewną dumą — pozwoli mi w najgorszym razie zarobić tyle, ile żona leśniczego tobie ojcze daćby nie mogła!

Burski posunął się gniewnie na ławie.

— Cóż to — zawołał szorstko — czy myślisz, że należę do tych ojców, którzy dzieciom swoim na to dają lepsze wykształcenie, aby potem ssać ich krew i soki jak pasożyt? Czyż mam naśladować Mikołaja Dziembę, chłopa z Masłówki, który na to syna dawał do szkół, aby potem, gdy dochrapał się małej pensyjki, pójść do niego z matką i trzema ciotkami, i zamiast grochu i kapusty jeść flaki i wieprzowinę ze śliwkami? Biedny chłopiec chciałby się ożenić, a tak cały swój dochód, za który ośm godzin przy stole pisać musi, zjadają mu rodzice i ciotki!.. Nie, takiej spekulacyi z dzieckiem swojem nigdybym nie robił! A zresztą cóż chcesz robić? Chcesz uczyć cudze dzieci? Widziałem ja te biedne stworzenia po wielkich dworach! Prędzejbym wziął torbę na plecy i rękę do ludzi wyciągał, niżeli w ten sposób grosz zarobiony przez dziecko moje przejadał!

Olga patrzała zamyślonem okiem przed siebie.

— A nawet — mówił dalej Burski — gdybyś spotkała ludzi godnych i wyrozumiałych, którzyby pracę twoję ocenić potrafili, nigdybym nie widział w tem szczęścia twego. Szczęście kobiety nie zależy na tem, że siada do stołu, zastawionego pysznemi potrawami, że ma szaty drogie i z ludźmi wyżej położonymi może bawić się i rozmawiać. Każda kobieta wolałaby za to wszystko mieć skromne cztery kąty izdebki, a w tej izdebce kochającego małżonka i kochaną rodzinę. Czyż zniósłbym w takim razie,

abyś zarabiając na chleb nauczycielstwem, wyrzekła się dla mnie prawdziwego szczęścia swego?..,

— A gdybym do tego zmuszoną była? — pocichu wyszepnęła Olga i przyłożyła rękę do serca.

— Wtedy — szybko odrzekł Burski — wziąłbym kij do ręki, poszedłbym w świat za oczy, abym ani kęsa tego chleba nie skosztował, na który dziecko moje zarabia.

Olga smutno spuściła głowę.

— Źle, bardzo źle się stało — mówił dalej Burski — że nieboszczka matka twoja umierając oddała cię do pałacu. Nad sierotami Bóg czuwa, możeby i mnie był dopomógł. A tak dzisiaj tylko jedna mara opanowała duszę moję. Gdybym wygrał na loteryi (stawiam co tydzień), lub wykopał skarb jaki z ziemi... wtedy uciekłbym ztąd z tobą o północy, jechałbym siedm dni i siedm nocy bez przerwy, ażbym gdzieś zajechał, gdzie mnie ludzie nie znają, gdzieby nie wiedzieli, że ojciec twój był prostym człowiekiem!.. Tam kupiłbym dobra jakie lub kawał ziemi, kazałbym felczerowi ściągnąć z siebie całą skórę ekonomską, skórę opaloną i popękaną, a gdyby natomiast odrosła biała i cienka, ubrałbym ją w drogie szaty, a stępając z góry i dmuchając przed siebie, udawałbym pana z panów! Wtedy brat sąsiad, poczuwszy grosz w kalecie, przyjechałby do ciebie w karecie, i zostałabyś jego najukochańszą małżonką. Takie szczęście miga mi czasem przed oczyma, i nie trwożę się wcale, że wraz z tem szczęściem pojawia mi się ów czerwony, malowany diabeł, któremu nasz pan w pałacu tyle atencyi wyświadcza. Zdaje się, że i jego trapi ta sama zmora co mnie, tylko innemi drogami idziemy.

W drogach naszych mamy chyba tyle wspólnego, że w końcu spotkamy się zawsze — przed diabłem!

— Cóż znowu, ojcze, o diable mówisz? — ozwała się Olga — jest to tylko obraz, a nic więcej!

— Obraz, obraz! — powtarzał powoli stary Burski — czemże jest życie nasze, czemże nasze nadzieje, czem wszystko, jeżeli nie obrazem? A któż temu winien, jeżeli zamiast anioła namalują mu na tym obrazie diabła?

W tej chwili otworzyły się drzwi, a do izdebki wszedł stary lokaj w wytartej liberyi i oznajmił Oldze, że Adelaida powołuje ją do siebie.

Olga zerwała się ze stołka. Przykre uczucie przebiegło jej twarz, gdy lokaj poufale do ojca się zbliżył, w ramię go uderzył i tabaki zażądał.

Po wyjściu lokaja wstał Burski i rzekł z westchnieniem:

— Idź, córko, na komnaty pałacu. Ten sam drągal, który mnie ma za coś niższego od siebie, poda tam tobie na srebrnej tacy, w białych rękawiczkach, szklankę wody zdrojowej, którą ja czasem ręką czerpię!.. Idź tam poić się wonnem powietrzem, a ja tutaj w tej wilgoci będę tymczasem marzył o skarbach zaklętych, chociażbym w marzeniu mojem miał się spotkać z diabłem czerwonym, malowanym lub żywym!

Olga ucałowała jeszcze raz ręce ojca i furnęła z wilgotnej izdebki na pierwsze piątro pałacu.

ROZDZIAŁ VI.

Z izdebki do komnaty Adelaidy był spory kawał drogi. Potrzeba było przejść przez dziedziniec, wyjść po dwudziestu kilku schodach na piątro i przebyć drugi korytarz. Prócz tego trzeba było wstąpić do swego pokoiku, poprawić włosów i spojrzeć na twarz, czy tam nie ma śladów łez lub innych przebytych wrażeń w wilgotnej izdebce.

Wszystko to wystarczało aż nadto, aby w główce wprawnej do marzeń przebyć całą przestrzeń rozmaitych urojeń, jakiemi zazwyczaj karmi się dusza kobiety.

Olga odebrała wychowanie i naukę prawie równą z Adelaidą. Wychowanie to, jak zazwyczaj u nas, działało głównie na wyobraźnię i rozwinięcie tego, co nazwano uczuciem. Był to więc niejako kierunek literacko-artystyczny, jaki zazwyczaj w naszem wychowaniu przeważa.

Obie kobiety stosownie do swego usposobienia i stanowiska spożytkowały to wychowanie.

Adelaida, skierowana wcześnie przez matkę na drogę kunsztownych kombinacyi i chłodniejszych obliczeń, przyjęła wychowanie i naukę za pospolite środki, które ją miały do założonych celów doprowadzić.

Olga w krainę wiedzy i nauki weszła z naiwną ciekawością, postępowała raźno za cudownemi widokami

otwierających się przed nią nowych horyzontów, i stanęła w końcu na pewnem wywyższeniu, zkąd wiele pięknych rzeczy widziała, ale zkąd ani na dół się spuścić, ani wyżej postąpić nie mogła. Ponieważ w nauce i sztuce stawiano jej zawsze przed oczy pewne ideały, przylgnęła więc duszą do barw idealnych, i niemi odtąd się karmiła.

Książki, które czytywała, powiadały jej zawsze, że kobieta jest ideałem życia, że za tym ideałem dążą wszyscy mężczyźni, że stosownie do tego ideału są mniej lub więcej szczęśliwi, co w dalszem znaczeniu stanowi kapitał społeczeństwa.

Olga od najmłodszych marzeń pracowała nad sobą, aby być takim ideałem. Co tylko mogło ten ideał ubrać w powabne szaty, co tylko mogło mu dodać pewnego, wypróbowanego uroku, wszystko to starała się nabyć i w sobie zgromadzić.

Pełna takiego idealizmu główka wierzyła zapalczywie w potęgę kobiety, któraby umiała się wznieść do wymarzonego ideału. Kobieta, mająca urok ideału, była u niej królową, przed którą otwierało szczęście swoje zawistne podwoje, przed którą zginało wszystko kolana, bez względu na stan i wyznanie.

Z niewypowiedzianym zapałem przyswoiła sobie wszystkie idealniejsze działy wychowania kobiecego. Grała, spiewała, malowała jak artystka. Stosownie do tego idealistycznego kierunku jej umysłu, przybrała cała jej postać odpowiednią powierzchowność. Złote, w naturalne kędziorki uwite włosy odbiegły z czoła wtył głowy, aby odsłonić piękne skronie, na których drzały piękne światełka przelatujących myśli i marzeń kobiecych. Duże, szafirowe oczy

przybrały wyraz zadumania, jak to widzimy w madonnach najsławniejszych mistrzów włoskich. Ruchy jej były okrągłe i wdzięczne jak ruchy dziecka, które żadną sztuką nie psuje swoich naturalnych poruszeń. Każda jej poza była malownicza, w każdym kroku można było podziwiać wdzięk i urok niepospolitej kobiety.

Gdy w zwierciedle siebie ujrzała, mogła być zupełnie zadowoloną. Widziała tam obraz pięknej, pełnej wdzięków kobiety, zbliżonej wielce do ideała, o jakim często w książkach czytała.

Widząc się w gronie rówieśniczek swoich, mogła bez żadnej próżności powiedzieć sobie, że je przymiotami kobiecemi przewyższa, jak tego dowody miała w licznem nadskakiwaniu młodych i starych, i we frazesach, któremi dla niej szafowano.

Wszystko to złożyło się razem, aby w jej duszy wyrobić wiarę, że kobieta tylko podobać się musi, a reszta jest tylko konsekwencyą tego podobania. Że zaś podobać się może, utwierdziły ją w tem niektóre drobne sukcesy w salonie za granicą, chociaż do tych sukcesów nie przywiązywała żadnej wagi.

Wierzyła więc, że jej szczęście ominąć nie może, że prędzej czy poźniej spotka człowieka, na którym takie wrażenie sprawi, że od niej już się nie oddali. Rozumie się, że ten człowiek będzie zawsze stosownym do jej wychowania, że to nie będzie ani leśniczy, ani rewizor od straży skarbowej, o którym marzył stary Burski.

W takich marzeniach nie pominęła nigdy ojca. Cieszyła się, że będzie mogła dostatkami swemi wyrwać go

z dzisiejszej pozycyi, przebrać go w lepszą odzież i powoli zasymilować z sobą.

Wprawdzie stan rzeczy w pałacu, odosobnienie od świata i ludzi, którzy w skład jej marzeń wchodzili, pokrzyżował trochę te marzenia, ale nigdy ich nie wykreślił. Przeciwnie, sześcioletnia samotność spotęgowała tylko te marzenia, i nachyliła je zupełnie do granicy rzeczywistości. Ponieważ dotąd żadnej walki z tą rzeczywistością nie stoczyła, ponieważ nie zadrasnęła jeszcze serca swego o wystające zdradliwe skały tej rzeczywistości, była przekonaną, że w życiu rzeczywistem można takie same proste drogi odbywać, jak w marzeniach nadpowietrznych.

Jedynym powodem, że dotąd marzeń swoich nie zrealizowała, było podług jej przekonania osamotnienie, był brak zupełny zetknięcia się z światem rzeczywistym.

Marzyła więc sobie, jak każda w ustroniu dojrzewająca dziewica, że gdyby tylko można w świat szerszy wyskoczyć, gdyby można było pojechać do wód, za granicę, lub na karnawał do stolicy, możnaby bardzo łatwo kogoś obaczyć, któryby się w złocistych loczkach i zgrabnej figurce zakochał, i którego możnaby nawzajem pokochać.

Że się to dotąd nie stało, winna była samotność.

Otóż właśnie w tej dobie spotęgowanego pragnienia i marzeń najgorętszych, w tej nieustannej walce snów i marzeń po nocach bezsennych, zjawił się w pałacu gość niezwykły, który choć w ogólnych zarysach podobny był do tych, o których marzyło jej serce.

Stary Burski przestraszyłby się marzeń córki, gdyby mu kto o nich powiedział. Wiadomo jednak, że kobiety

więcej mają odwagi w marzeniach, niżeli mężczyźni, a doświadczenie stwierdza, że więcej kobiet niższego urodzenia dobiło się mężów nawet ze sfery panujących, niżeli mężczyznom w tych samych warunkach udało się ze sfer wyższych wykradzenie Sabinek.

Zresztą kobietom dostępniejsze są warunki, jakich od nich wymagają wogóle mężczyźni. Uroda, wdzięk, wykształcenie, talent — oto wszystko, co zdobi kobietę. Tym sposobem kobieta z dolnych warstw społeczeństwa może nawet niekiedy przewyższyć kobietę wielkiego świata, a wtedy dla jej marzeń nie ma granic, bo czuje słuszność, że tak samo mogłaby odegrać rolę księżnej, jeżeli książę mógłby się w niej zakochać.

Nie było więc w tem nic dziwnego, jeżeli Olga na widok Edmunda puściła wodze niewinnym, skrytym marzeniom; wszak te marzenia mogły stać się wieczną tajemnicą i z nią razem umrzeć! Czyż to która bądź kobieta nie miewała podobnych marzeń, nie marzyła o jenerale, pomimo, że poźniej poszła za wachmistrza?

Tym skrytym poruszeniom serca stanęło jednak coś w drodze. Olga miała obok siebie Adelaidę.

Gdyby Adelaida jej marzenia podzielała? Pierwszy ten szkopuł przebyła Olga szczęśliwie. Tyle nasłuchała się od Adelaidy, że jej wielkich, niezmiernych bogactw potrzeba, aby na stanowisku swojem żyć odpowiednio, a Edmund miał tylko mały folwark, któryby nawet w rachunek marzeń Adelaidy nie mógł wchodzić! Adelaida nie mogła się tutaj z nią zejść w marzeniach.

Biorąc jednak rzeczy z drugiej strony, któż może kiedykolwiek ręczyć za serce swoje, może być pewnym,

że ułożone w głowie planiki nie rozwieją się na odgłos struny sercowej? Edmund mógł się każdej, nawet wybrednej kobiecie podobać, stosunek jego do Adelaidy jako krewnego ułatwiał mu wiele, bardzo wiele; cóżby w tem było dziwnego, gdyby Adelaida po pewnej walce z marami przodków swoich, rzuciła się w objęcia ubogiego kuzyna i przed ołtarzem z nim uklękła?

A niebezpieczeństwo to było bardzo prawdopodobne. Już pierwszego wieczora, gdy serce Olgi na widok Edmunda napełniło się jakiemś przyjemnem uczuciem, uczuła równocześnie obawę, że marzenia mogą być stracone. W istocie na to zakrawało. Edmund rozmawiał mile z Adelaidą, wpatrywał się w nią długo i z uwagą, a na nią patrzał tylko wtedy, gdy jaką odpowiedź jej dać musiał.

To oczywiste niebezpieczeństwo spotęgowało jeszcze jej pragnienia. Z każdą chwilą biło żywiej jej serce, jej pierś podnosiła się tłumionem westchnieniem, bo zdawało jej się, że zaczyna krążyć nad przepaścią.

A to krążenie nad przepaścią już samo przez się jest dla kobiety taką roskoszą!..

Druga wizyta Edmunda dodała jej więcej otuchy. Wprawdzie zaraz na wstępie powiedziała mu Adelaida, aby się ożenił bogato; ale to mógł być tylko zręczny zwrot ze strony Adelaidy, aby kuzynek od niej niczego się nie spodziewał.

Pobieżny ten domysł Olgi stwierdził Edmund następnem swojem zachowaniem się. Nietylko że po tych słowach od Adelaidy zupełnie się oddalił, ale nawet z pewną ostentacyą cały wieczór rozmawiał z Olgą, podawał jej kwiatki i robótkę, wracając ciągle do tematu rady, jaką mu dała, mówiąc, aby się zakochał.

Mogła to wprawdzie być niewinna demonstracya przeciw kuzynce, która przyjęła go z twarzą tak zimną, podała mu do uścisku rękę, z której wiało zimno marmuru; a może to była drobna walka podjazdowa, wydana kuzynce za jej srogą radę i zimne obejście się. Olga jednak nie mogła wyrzec się choćby chwilowego szczęścia swego. Przyjęła z bijącem sercem pierwsze zbliżenie się Edmunda, i starała się rozwinąć przed nim wszystkie bogactwa swojej duszy, które w tych latach samotnych nagromadziła.

Jakiekolwiek były pierwsze zamiary Edmunda, gdy do Olgi z pewną ostentacyą się zbliżył, po dwugodzinnej jednak rozmowie pożegnał się z nią z pewnem przyjemnem wzruszeniem, z jakiem się z nią wcale nie witał.

Nic więc dziwnego, że Olga po wyjeździe Edmunda zapragnęła izdebki ojca, że całowała ręce jego w jakiemś dziwnem rozczuleniu. Ona temi pocałunkami chciała mu udzielić swoich marzeń i rojeń, bo słowami wypowiedzieć ich jeszcze nie mogła.

Gdy stary Burski nad jej przyszłością utyskiwał, chciała już zwierzać mu się z marzeń swoich, ale słowa utknęły gdzieś w pół drogi, i zamiast nich wyszły inne o zarobku kawałka chleba nauczycielstwem.

Kiedy więc teraz wyszedłszy z izdebki ojca do komnaty Adelaidy się zbliżyła, tysiączne myśli i marzenia przemknęły przez jej piękną główkę, a były jakoś tak ciężkie, że ją trochę na lewe ramię pochyliły.

Adelaida siedziała na kozetce, oparta o poręcz. W dali, na stole świeciła się lampa, jedwabną zasłoną przyćmiona. Przymocowana do stołu leżała cytra, na której lubiła grywać Olga. Właśnie tę część stołu oświecał księżyc przez

duże otwarte okno, a lekki podmuch przeciągu powietrza poruszał stalowe struny, które odzywały się głucho, jakby na nich grały duchy snujące się po promnieniach księżyca.

Gdy Olga do pokoju weszła, ujrzała cytrę oświeconą światłem księżycowem. W dali, w pół cieniu siedziała Adelaida, piękna i nieruchoma jak posąg z białego marmuru.

Olga obawiała się zapytać, poco ją wołać kazała. Rozmarzone serce zatrwożyło się, aby Adelaida czegoś nie odrzekła, coby je śród marzeń nagle zatrzymać mogło.

Nie pytając więc, po co ją woła, siadła Olga na krześle przy cytrze, założyła żelazny pierścień na palec i wzięła kilka akordów. W pełnem świetle księżyca wyglądała jak pokutująca księżniczka w zaczarowanym zamku. Jej duże źrenice patrzały z pod długich rzęs na siedzącą w milczeniu Adelaidę, która zdawała się jej nie widzieć.

Dźwięk struny stalowej obudził ją.

— Daj dzisiaj pokój graniu — rzekła głosem suchym i bez dźwięku — mów o czem ze mną.

Olga z uwagą patrzała chwilę na mówiącą. Twarz Adelaidy wyrażała głębokie zamyślenie, a marszczące się od czasu do czasu czoło znamionowało jakąś walkę wewnętrzną. Marszczeniu czoła odpowiadał ruch ust odpowiedni.

Jednej rzeczy obawiała się Olga, obawiała się zwierzenia. Gdyby Adelaida zwierzyła jej się nagle z marzeń swoich serdecznych, gdyby rzuciwszy się jej na szyję, wyznała bez ogródki, że uczuła miłość dla Edmunda, i od niej jako od przyjaciółki zażądała, aby się wraz z nią tem szczęściem cieszyła? Jak przykrą byłaby rola Olgi! Cóżby jej wtedy odpowiedzieć mogła? Cóżby zrobiła z własnem marzeniem?

Ze zręcznością właściwą kobietom postanowiła Olga skierować rozmowę do rzeczy jak najbardziej oddalonych od jej marzeń, z pomiędzy nich wybrać najwięcej poziome, a nawet trywialne, i tym sposobem zniżyć nastrój umysłów do pogadanki rodzinnej, która wszelką rolę na koturnie wyklucza.

— Nie uwierzysz Adelo — rzekła z uśmiechem — jak mnie dzisiaj ubawił Anatol, gdy ojciec zażądał poraz drugi kotletów, które on tymczasem już spożył naprędce, obawiając się Szymusia, który czyhał na nie!... Czyś to spostrzegła?

Marmurowe czoło Adelaidy zmarszczyło się.

— Zazdroszczę ci — odpowiedziała z ironicznym uśmiechem — że ty z dnia dzisiejszego nic nie zapamiętałaś, jak tylko kredensowy obrazek o zjedzonych kotletach!

Twarz Olgi lekko przybladła.

— Cóż innego miałam zapamiętać? — zapytała zcicha, a głos jej drżał, jak stalowa struna cytry.

— Szczęśliwą jesteś — mówiła dalej Adelaida — że poprzestajesz na drobnych rzeczach codziennego życia! Czemże są te rzeczy, które tylko z dnia na dzień mogą życie nasze utrzymać? Przecież człowiek nie jest gąsienicą, której liść zielony wystarcza póty, póki go nie zje zupełnie!

Olga głowę spuściła na piersi. Przeczuwała, że tok rozmowy zbliża się do rzeczy bardzo poważnych, między któremi dzisiejsza wizyta Edmunda mogła stanowić przedmiot główny. Po chwili ozwała się smutno:

— Ach tyle złudzeń doznajemy na wyżynach życia, że lepiej może nie sięgać tak wysoko.

— Złudzenia — odpowiedziała żywo Adelaida — mogą

tylko być tam, gdzie są szczęśliwe marzenia! Gdzie zaś tych marzeń nie ma, gdzie być nie mogą... gdzie są wprost niemożliwe, chociażbyśmy czasem ich pragnęły, tam złudzenia nie masz, bo ono tam być nie może!

Adelaida powstała przy tych słowach i zaczęła chodzić po pokoju. Olga patrzała na nią z niepokojem.

Słowa Adelaidy uderzyły Olgę. Były wypowiedziane z jakąś ukrytą namiętnością, wychodziły z ust nie bez walki wewnętrznej, zostawiały w głębi duszy coś, co miało pozostać tajemnicą.

Sercem kobiecem przeczuła Olga niebezpieczeństwo. W ten sposób odzywająca się Adelaida musiała w głębi serca coś czuć, z czemś walczyć, coś ukrywać z całą siłą. Niepokój, z jakim przechodziła się teraz po pokoju, zdradzał rozdrażnienie wewnętrzne, którego ukryć nie mogła.

Cóżby to mogło być innego, jeżeli nie wrażenie jakiego doznała, rozmawiając dzisiaj z Edmundem.

Tak myślała Olga i zasmuciła się. Ona z nią równą bronią walczyć nie mogła.

— Mówisz, kochana Adelo — wyszepnęła zcicha jakby sama siebie uniewinnić chciała — mówisz, że jest pewna granica, gdzie marzenia nasze są wprost niemożliwe... w tem nie zgadzam się z tobą. Kiedyż bowiem zawisły marzenia od woli naszej? Czyż nie unoszą one nas mimo naszej woli, czyż nie stawiają nas często na takich wyżynach życia, z których nazad już wrócić nie możemy?

— Wierzę ci — odpowiedziała Adelaida chodząc ciągle po pokoju — wierzę ci, że marzenia mogłyby nas porwać na roskoszną wyżynę, z której powrót byłby albo niemożliwy, albo zbyt bolesny!.. Ponieważ jednak koniec końcem

wrócić trzeba do naszej codziennej rzeczywistości, więc trzeba zawsze tę rzeczywistość mieć przed oczyma, a wtedy żadne, chociażby najroskoszniejsze marzenia nie są w stanie unieść nas z sobą.

Tu uderzyła Adelaida drobną nóżką o podłogę, jakby się chciała przekonać, czy rzeczywiście stąpa jeszcze po ziemi, czy złowieszczy demon marzenia z sobą jej nie porywa...

Zadowolenie, które w tej chwili zarysowało się na twarzy Adelaidy, okazywało jasno, że ten zły demon był już zwalczony, że niefortunne jego skrzydła już od niej odbiegły.

Jakby zmęczona tą walką lub upojona zwycięstwem rzuciła się na kozetkę i oparła piękne czoło o poręcz.

— Marzyć szczęśliwie — mówiła jakby do swoich myśli — byłoby słodko, bardzo słodko, gdyby nie żelazna ręka rzeczywistości! A rzeczywistość ta zawsze mnie rozdrażnia!

— Widzę, że jesteś rozdrażniona! — szepnęła Olga.

— Wierzaj mi, nic, zgoła nic innego nie rozdrażnia mnie, jak tylko zawsze jedno i to samo! A to jest: że siedzę w tej chwili tu, w komnacie pałacowej, zamiast tam, patrz, zamiast tam!

Adelaida powstała, zbliżyła się do okna i wskazała ręką na małą, bielejącą się chatkę wieśniaczą, która jak białe widmo majaczyła w dalekiej, światłem księżyca oświeconej dolinie.

Olga przystąpiła do okna i oparła rękę na białem ramieniu Adelaidy. Adelaida mówiła dalej, jakby do własnych myśli:

— Dziwna ironia losu. Tam z tej chatki ubogiej patrzy może w tej chwili biedny mieszkaniec na jasno oświecone okna pałacu i zazdrości mu jego szczęścia... podczas gdy my ztąd zazdrościmy mu wzajem jego swobody, z jaką za szczęściem swojem iść może. Nie krępują go żadne względy, żadne prawa, żadne obowiązki!..

— Do czego to wszystko odnosisz? — zapytała Olga, położywszy i głowę na ramieniu Adelaidy.

— Do szczęścia człowieka!

— Najwyższem szczęściem jest — miłość!

— Jak dla kogo!

— Jakto? Gdyby serce twoje...

— Gdyby serce moje domagało się miłości, tobym wtedy przeszła wszystkie inne rubryki życia, a gdyby one z tą miłością się nie zgadzały, nakazałabym sercu — milczenie!

— I serce mogłoby zamilknąć?

— Musiałoby zamilknąć, bo jego szczęściem nie są mydlane bańki marzenia, ale zaspokojenie tego wszystkiego, czego życie od nas i nasze stanowisko wymaga.

— O miłości mam inne wyobrażenie.

— Miłość jest to urocza, czarodziejska lampa, którą stawiamy na stole salonu. Kunsztowne jej światło będzie stracone, jeżeli nie będzie miało w salonie co oświecać, lub oświeci jaskrawo stare połamane rupiecia, świadki nędzy i ubóstwa!.. Taka lampa razi nas wtedy, stokroć lepsza ciemność, chociażbyśmy całe życie w tej ciemności przepędzić miały!..

Olga wyprostowała się i odrzekła:

— Inaczej pojmuję miłość. Nie jest ona ani kandelabrem sześcioramiennym, ani lampą chińską, kunsztownie wyrzeź-

bioną, ale jest poprostu płomykiem, który tak samo daje światło salonowi, jak łuczywo ubogiej chatce. Wtedy stosownie do płonącego ogniska grupuje się wszystko. Otóż według mego zdania, miłość jest środkowem ogniskiem życia, wkoło którego całe nasze życie się urabia i grupujc. Urobić sobie jednak naprzód całe życie, i potem do tego gotowego już życia szukać owej kunsztownej lampy, którą miłością nazywasz, to znaczy utrudniać sobie drogę do szczęścia, a nawet często zrzec się go wcale. Miłość nie czeka nas w pewnem, upragnionem przez nas oddaleniu, spotykamy ją nagle śród życia, a znalazłszy musimy wszystko do niej zastosować, siebie i całe życie nasze. Wtedy będzie ona prawdziwą, nie będzie rezultatem kunsztownych naprzód obliczeń, jak n. p. w skutek dobrze wyrachowanych kółek maszyny.

— Jesteś zapamiętałą idealistką!

— Wierzę, że całe urządzenie świata zasadza się na ścisłych obliczeniach chemii, matematyki i geometryi, ale żadna z nich świata nie stworzyła. Zastosowanie miłości do życia może być rozmaite, ale sama ona jest czemś nieujętem, nieokreślonem, nikt nie wie, gdzie się zaczyna a gdzie kończy. Kto jej prawa zaprzecza, ten prędzej czy poźniej gorżko to odpokutuje.

Adelaida odsunęła się od Olgi przy tych słowach i z uwagą patrzała na nią. Twarz Olgi była ożywiona, oczy błyszczały blaskiem nadzwyczajnym.

Olga spostrzegła badawczy wzrok Adelaidy. Zarumieniła się i lekko głowę pochyliła na piersi.

— Jesteś dzisiaj w niezwykłem usposobieniu — rzekła Adelaida — nie wiem, co ci dało powód do tego.

11

— Twoje słowa, kochana Adelo—cicho wyszepnęła Olga.

— Dla czegoż moim słowom nadajesz tyle wagi?

— Bo one oderwały się od czegoś, co ukrywasz przedemną.

— Jabym przed tobą miała co ukrywać?

— Posądzam cię o to.

— Nie rozumiem cię.

Olga odetchnęła pełną piersią, jakby odwagi nabrać chciała, odpoczęła chwilę i rzekła rzucając się jej na szyję:

— Zasmuciła mię myśl, że ty coś przedemną ukrywać możesz. Czy ty nic nie ukrywasz?

— Nic nie ukrywam — spokojnie jak posąg odpowiedziała Adelaida — mogę ci wszystko powiedzieć.

— Czy w tych dniach nie uległaś jakiemu wrażeniu?

— Nic nie zaszło, coby na mnie sprawiło jakie szczególne wrażenie.

— Czy Edmund...

Adelaida rozśmiała się z ironią, usta jej zadrżały.

— Cha, cha, cha! Czyś sądziła, żem się zakochała? Czyżby to być mogło, abym bez względu na moje położenie szła za pierwszem, lepszem światełkiem, które nam naszę samotność oświeci? Czy to zresztą być może... nie, to być nie może, w żaden sposób nie może! Edmund jest prawie bez żadnego majątku, a ja —

— Więc nie mogłabyś go kochać?

— W ten sposób, jak ty miłość pojmujesz, nigdy!

Olga zacisnęła teraz na szyi Adelaidy ręce swoje, uściskała ją i ucałowała z uczuciem gorącem.

— Za co mię tak serdecznie całujesz? — zapytała z uśmiechem Adelaida.

— Za to... że jesteś dla mnie otwartą i szczerą przyjaciółką — odpowiedziała rozpromieniona Olga.

— Przecież sama to mogłaś przewidzieć — mówiła Adelaida dalej — Edmund będąc sam niebogatym, musi kogoś szukać z majątkiem znacznym...

Tych słów nie słyszała już Olga. Lekkie skrzypnięcie drzwi w oddalonych pokojach dało się słyszeć, przerywając nagle rozmowę.

Adelaida wzięła Olgę za rękę, i obie cicho, na palcach zbliżyły się do pobocznego pokoju, przez który szło się do tak zwanej galeryi obrazów.

Drzwi do tej galeryi były na pół otworzone. Adelaida zbliżyła się do tych drzwi.

W głębi dużego pokoju stał staruszek w oliwkowym surducie ze świecą w ręku. Na ścianach wisiały olbrzymie stare obrazy, pomiędzy któremi najjaskrawiej odbijał diabeł w czerwonych szatach.

Staruszek smutno obszedł cały pokój dokoła, patrząc po obrazach. Najdłużej zatrzymał się przy malowanym diable. Diabeł kontent był z tej admiracyi, bo zęby wyszczerał i uśmiechał się do niego.

— Patrz, to mój ojciec! — rzekła półgłosem Adelaida do Olgi — przyśnił mu się zapewnie Rubens lub Rafael, i wstał, aby swój sen sprawdzić. Niestety, to był sen tylko!.. Biedny, on marzy, że jutro lub pojutrze znajdzie Rafaela lub Rubensa... czy wiesz, do czego zmierzają jego marzenia? On myśli, że na tej drodze przyjdzie znowu do bogactwa!.. Biedny! Czyż mogłabym lekkomyślnym krokiem z mojej strony zostawić go w tem ubóstwie?.. Nigdy! Nigdy!

Zdawało się, że w tej chwili czerwony diabeł otworzył szerokie usta swoje i powtórzył jej słowa: Nigdy, nigdy!

I Oldze zdawało się, że echo złośliwe powtórzyło te same słowa, gdy jakieś roskoszne marzenia przebiegły jej przez serce.

Starzec powolnym krokiem oddalił się z galeryi, zamknąwszy drzwi za sobą. Adelaida i Olga w milczeniu wróciły do pokoju z księżycem i cytrą na stole.

ROZDZIAŁ VII.

Po tej scenie i rozmowie w pokoju z księżycem i cytrą, płynęły w pałacu dni na pozór spokojne i jednostajne.

Na folwarku zaczął się także nowy tryb życia powoli porządkować. Wszystko wracało z długiego letargu do życia, jakie zazwyczaj nadaje całemu gospodarstwu nowy właściciel i gospodarz.

Generalny pełnomocnik Edmunda, Mirski, był tutaj nadzwyczaj czynny. Więcej jednak, jak to widać było, zatrudniał się zewnętrzną stroną gospodarstwa, jeździł wiele po sąsiedztwach i miasteczkach, szukając niby środków i odpływu przyszłej produkcyi.

Jakkolwiek ruchliwość i plany Mirskiego zdradzały nadzwyczaj obszerny zakres gospodarki, uderzało jednak, że w dworku folwarcznym pozostawiano prawie wszystko w dawnym stanie, jakby na długi, stały pobyt tutaj bynajmniej nie liczono. Wszystko, cokolwiekbądź nawet robiono, miało na sobie cechę tymczasowości. Stare meble pozbierano ze strychu, pozbijano i sklejono, jak się dało. Stolarz z małego miasteczka uzupełnił resztę. Nie było tam mowy o jednakowym garniturze, o nowych fasonach ani modnem pokryciu. Stare jasionowe łóżko przypominało wiek prababuni, sofka i krzesełka, pokryte włosienną

tkaniną, miały prostotę spartańską. Ściany, wapnem wybielone, były wprawdzie czyste i dawały wiele światła, ale raziły jednostajnością barwy. Całą ozdobą tych ścian był ładny perski dywan, rozwieszony nad łóżkiem. Na tym dywanie zgromadził nowy dziedzic wszystko, co miał najlepszego. Była to broń rozmaitego gatunku, pałasze, dubeltówki, pistolety różnego kalibru i dwa kindżały misternej roboty, pochodzenia widocznie wschodniego.

Całe to mieszkanie wyglądało raczej na kwaterę żołnierską, niżeli na przybytek agronoma. O nowożytnym komforcie nie było tam ani mowy. Zdawało się, że nowy właściciel nie uważał tego domku za stałe mieszkanie swoje, ale raczej za stacyą swoich dalszych losów.

Jeszcze więcej pozoru tymczasowego obozowiska nadawał całemu temu domowi pokoik Mirskiego, pełnomocnika i ekonoma nowego dziedzica. Nie było tam nic, zgoła nic, coby jakąkolwiek wygodę mieszkańca przypominało. Prosty siennik leżał przy ścianie nakryty kocem węgierskim, a koło niego stało stare krzesełko o trzech nogach, ze świecą włożoną w szyjkę kamiennej bańki z wody mineralnej.

Domowa służba, składająca się z kucharki, furmana, który zarazem był lokajem, i kilku parobków, była tego przekonania, że Edmund ma gdzieś inne dobra, a tutaj tymczasowo zagościł, aby gospodarstwo jako tako w ruch puścić, które po wieloletnej dzierżawie było bardzo zaniedbane.

W tem mniemaniu utrzymywały służbę różne rzeczy, które się działy na folwarku. Ekonom Mirski robił codziennie jakieś wycieczki w okolicę i do miasteczek, zwoził

nawet w czasie nieobecności dziedzica różne osoby do dworu, traktował je strawą i napitkiem, i długo rozmawiał o interesach. A gdy Edmund z pałacu do domu wrócił, wtedy zę stoczkiem w ręku wchodził do niego i przy drzwiach zamkniętych zdawał mu, jak się zdawało, raport ze swoich codziennych czynności.

Uderzało to wprawdzie niektórych ze służby, że Mirski tylko wtedy miał gości, gdy dziedzica w domu nie było, ale tłumaczono to sobie bardzo naturalnie, że każdy oficyalista najczęściej wtedy gości swoich raczy, gdy dziedzica w domu nie ma.

Edmund patrzał na to wszystko obojętnem okiem, czy raczej tego wszystkiego nie widział lub widzieć nie chciał.

Często jednak był rozdrażniony, i zdawało się, jakby go jakaś gorączka paliła. Spraw gospodarskich słuchał głuchem uchem, parobkom dawał często odpowiedzie niestosowne, lub pytał się o rzeczy, o których już dawno zapomniano.

I to wytłumaczono sobie w sposób bardzo prosty. Powiedziano sobie, że dziedzic codziennie do pałacu jeździ i że prawdopodobnie chce się tam ożenić.

Edmund rzeczywiście codziennie bywał teraz w pałącu, bo jakoś czuł tego potrzebę. Po każdej konferencyi z Mirskim był mocno rozdrażniony, jakby miał w sobie trawiącą gorączkę. Wtedy najczęściej nie spał w nocy, rano wychodził bez śniadania na pola i długo chodził po błocie i lasach, jakby był głęboko nad czemś zamyślony. Czoło jego wyniosłe wtedy dopiero rozjaśniało się, gdy kazał konie zaprzęgać i do pałacu jechał.

Przy takiem życiu, pełnem niepokojów, upragnioną była mu atmosfera pałacu. Zdawało się, że wszystkie niepokoje zostawiał za progiem tego czarodziejskiego zamczyska, gdzie go czekała dowcipna i mile szeleszcząca rozmowa z kuzynką, i gra na cytrze po mistrzowsku wykonaną przez Olgę.

Edmund był teraz rzeczywiście w usposobieniu wyjątkowem. Wiadomość tego, co w najbliższej przyszłości stać się miało, budziła w jego duszy ciągły niepokój i wszystkie jej struny trzymała w ustawicznem naprężeniu. W takim stanie budzą się wszystkie siły człowieka i dochodzą do wysokiej potęgi. Każde wrażenie odbywa się inaczej, uderza silniej, niżeli w stanie normalnym. Im niebezpieczniejszą jest sytuacya, tem silniejszą żądza użycia tego wszystkiego, co nam zwykle życie dać może.

Edmund w najbliższej swojej przyszłości widział pewną metę, poza którą była straszna ciemność, czarna, nieprzebita opona. Co mogło być za tą oponą? nie mógł odgadnąć. Mógł być dzień jasny i słoneczny, ale mógł być także cmentarz i cisza grobowa...

Ta niepewność budziła w nim życie podwójnie, a wraz z tem życiem odzywały się podwójnie wszystkie struny duszy i serca.

Był to stan dla wrażeń bardzo przyjaźny, a takich wrażeń doznał Edmund zaraz na wstępie w pałacu.

O swojej kuzynce już dawno słyszał, że jest rzadkiej piękności. Znał ją dzieckiem, i czasem choćby tylko dla rozrywki umysłu, starał się odtworzyć jej rysy i wyobrazić ją sobie taką, jaką jest dzisiaj. Jakkolwiek wyobraźnia pochopną jest do idealizowania tego, czego pragniemy,

widok jednak Adelaidy zostawił daleko za sobą wszystkie owe konterfekty, które sobie był potworzył w wyobraźni.

Adelaida więc już zaraz na wstępie sprawiła na nim wrażenie korzystne. Rozmowa jej, w której odsłoniła przed nim bolejące serce, dokonała reszty. Edmund wrócił do domu zamyślony i długi czas nie mógł się uspokoić.

Druga wizyta zdarła mu trochę złudzenia. Adelaida wydała mu się zimną artystką, która otruwszy się z rozpaczy i umarłszy, powstaje z martwych, aby klaskającej publiczności za aplaus podziękować. Tak o niej myślał wtedy, gdy mu dała do poznania, że jest biedny, radząc mu bogate ożenienie się. Ale ta myśl była tylko skutkiem pierwszego bolu, jaki poczuł; bo gdy do domu wrócił i nazajutrz o pałacu pomyślał, zdawało mu się, że Adelaidzie krzywdę wyrządził, i że słowa jej mogły być przypadkowe, bez żadnej ukrytej myśli. A gdy nad tem dłużej się zastanowił, przyszedł do przekonania, że właśnie te słowa były dla niego bardzo wiele znaczące, bo wyrażały ni mniej ni więcej, jak tylko skargę zbolałego serca, że ona może dla niego nie jest dosyć majętną.

Gdy w ten sposób sobie rzecz wytłumaczył, pospieszył Edmund z trzecią wizytą i z dobrą nadzieją. Nadzieja ta jednak nie odnosiła się do otrzymania natychmiast ręki Adelaidy, bo o tem Edmund w tej chwili nie myślał. Chciał poprostu kochać i być kochanym. Takiego uczucia potrzebował teraz koniecznie, bo ono dopełniało mu te siły, jakich w tej chwili wymagało od niego życie, postawione na tej wyżynie. Resztę pozostawiał przyszłości.

A gdyby takie uczucie był znalazł, jakże byłby szczęśliwym! Miałby powiernika niepokojów swoich, które

go trapiły, a które rzucały nań światło tak piękne! On byłby temu powiernikowi wszystko powiedział, byłby mu odmalował jaskrawemi barwami swoję niepewną przyszłość, pełną niebezpieczeństwa i groźnych obrazów, a wtedy uczułby na swojej piersi szybko bijące serce powiernika, i słuchałby tego bicia z taką roskoszą, z takiem zachwyceniem!..

Adelaida i teraz nie chciała być tym powiernikiem. Zimna i piękna, jak posąg z marmuru stała przed nim, pozwalała mu zachwycać się misterną draperyą szat swoich, okrągłością ramion i prześlicznym profilem twarzy swojej, ale serce jej milczało, a usta umiały tylko dowcipnie do niego przemawiać.

Edmund czuł przyjemność przy niej, słuchał jej rozmowy pełnej uroku i świetności, i zdawało mu się, że prędzej lub poźniej rozgrzeje się piękna Galatea, i zimny, piękny marmur stanie się kobietą. Czwarta, piąta i szósta wizyta przeminęła, a cudowna Galatea stała jeszcze ciągle na postumencie, na którym ją artysta ustawił.

Zrazu, jakby dla podrażnienia kamiennej kobiety, przysuwał się Edmund do Olgi, rozmawiał z nią długo, a nawet prosił o zagranie na cytrze.

Adelaida przyjmowała to wszystko obojętnie. Słuchała razem z Edmundem gry Olgi ze znudzoną miną królowej, dla której to wszystko się dzieje. Ani jej przez myśl nie przeszło, że właśnie w tej chwili królewskie hołdy za nią odbiera Olga, i że takie hołdowanie może się z czasem dla jej korony stać niebezpiecznem. Zdawało się, że była tak pewną siebie, iż podobnego niebezpieczeństwa nawet widzieć nie mogła. Wiedziała dobrze, czem jest dla Ed-

munda, a to jej wystarczało, bo sama nie chciała być mu czemś więcej.

— On mnie kocha — mówiła nieraz z uśmiechem do siebie — ale z takiej miłości cóż może być? Nie mogę być jego żoną, bo nie ma takich warunków, jakich koniecznie potrzebuję.

Być kochaną, jest czasem dla kobiety zupełną roskoszą, chociażby nawet sama nie kochała, ale do uzupełnienia tej roskoszy potrzeba zawsze trochę sofisteryi.

On mnie kocha — mówi panna, która bez miłości za mąż idzie — jest zacny i poczciwy, czyż to nie wystarcza?

Adelaida nie potrzebowała nawet takiej sofisteryi, bo za Edmunda nie wychodziła za mąż. Wprawdzie drgnęło jej serce w pierwszym dniu zaraz, ale powiedziała mu, że takie uczucie nie wchodzi w plan jej życia, i serce przekonane takim dowodem zamilkło. Nie byłoby to może nastąpiło, gdyby zaraz potem nastała dawna cisza grobowa, dawna jednostajność życia w pałacu. Możeby to serce nie dało się uciszyć, może rozpoczęłoby walkę z głową, i kto wie, czy po niejakim czasie nie byłoby nad nią odniosło zwycięstwa. Ale życie w pałacu miało teraz pewną rozmaitość. Edmund przyjeżdżał codzień, codzień rozmawiał z Adelaidą, przechadzał się po ogrodzie, a potem u wspólnego stołu pił herbatę. Jego codzienne wizyty nie mogły nic innego oznaczać, jak tylko, że się w niej kocha, że ją adoruje, że bez niej żyć nie może.

Sprawiało to Adelaidzie pewną przyjemność, bo widziała, że poza rezygnacyą swoją nie straciła jednak tego człowieka. Dalej ponad tę przyjemność nie myślała Adelaida, bo była pewną, że z jej strony nic a nic jej nie obowiązuje

że w razie potrzeby może nawet z zdziwieniem odrzucić możliwe pretensye Edmunda, utrzymując, że nie tylko zachowaniem swojem nie dała mu otuchy do tych pretensyi, ale nawet wręcz mu oświadczyła, że nie będąc bogatym, nie może o nią się kusić, ponieważ ona także bogactwa potrzebuje.

Taką subtelną sofisteryą uspokoiła się Adelaida, i przyjmowała prawdopodobne uczucie Edmunda z roskoszą kobiety, która przecież nikomu nie może zakazać, w niej się kochać, chociaż go sama nie kocha, i wyraźnie nawet dała mu to do poznania.

Ubezpieczywszy więc swoje sumienie, miała Adelaida chwilową rozrywkę, w której najmniejszego przewinienia nie widziała. Poszła ona w tym względzie za przykładem wielu kobiet, które nawet się dziwią, jeżeli ludzie takie postępowanie za złe im biorą.

Adelaida przyjmowała kuzynka zawsze z uśmiechem pewnego zadowolenia, bo ten kuzynek przynosił jej serce, które ją kochać miało; ściskała go trochę inaczej za rękę, niżeli to zwykle się dzieje, ależ on był jej kuzynkiem, a w takim razie wiele rzeczy inaczej się robi. Często nawet, jakby przez roztargnienie, dając komuś trzeciemu jakąś odpowiedź, zatrzymała jego rękę w swojej ręce, i trwało to czasem dosyć długo.

Gdy wiedziała, o jakiej godzinie przyjedzie, ubrała się na tę godzinę daleko staranniej, i dłużej niżeli zwykle wpatrywała się w weneckie zwierciadło. Jej poza na kozetce była czarująca, jej ruchy, gdy przez salę przechodziła, równały się wdzięcznym ruchom natchnionego tańca, spoj-

rzenia ciemnych oczu miały zawsze tyle życia, ile na codzienną potrzebę zazwyczaj nigdy nie szafowały.

Wszystko to zwyciężało, przyciągało, podbijało; tylko usta, zimne, marmurowe usta miały wprost temu wszystkiemu zaprzeczyć. Była to gra roskoszna, która drażniła, ale na którą nic zgoła się nie stawiało, i żadnego obowiązku nie było do zapłacenia przegranej.

Jeżeli Edmund złudzony czasem tem, co widział, z jakiem słowem się odezwał lub zachowaniem się swojem chciał odpowiedź wywołać, wtedy stawał nagle przed nim kamienny posąg Adelaidy i mroźnem zimnem zmazywał wszystkie jego marzenia.

Kilkakrotnie w ten sposób odprawiony zbliżył się Edmund w inną stronę, chociaż to czynił więcej instynktem zranionego serca, niżeli z planu z góry powziętego.

Olga przyjęła gościnnie zbliżającego się i umiała go przytrzymać. Miała dla niego tyle łakoci, tyle cacek nazbierała sobie ze swoich wędrówek idealistycznych, umiała na cytrze zawsze tę aryą zagrać, o której on w tej chwili myślał, i o tem wcząć rozmowę, co właśnie grało w jego duszy, że Edmundowi jakoś nie źle z tem było, i coraz częściej szukał u gościnnej sąsiadki pociechy, jakiej mu piękny ale zimny posąg odmówił.

Adelaida nie przywiązywała do tej pociechy wielkiej wagi. Olga była wprawdzie jej przyjaciółką, towarzyszką życia, ona ją kochała i mogła nawet wiele dla niej zrobić, ale w stosunku do siebie uważała ją za coś tak małego, jakby tutaj nic nie stanowiła i była tylko jej przyczepką. Nie powstało więc żadne podejrzenie w jej duszy, że Olga mogłaby z czasem zwrócić adoracyą Edmunda na siebie i

wziąć jej to jedyne szczęście, które jej po rezygnacyi innych uczuć zostało.

Jednakże na horyzoncie tego jasnego światka zaczęły się uwydatniać jakieś małe, nieznaczne chmurki, z których powoli tworzyły się brzydkie, niemiłe chmury.

Adelaida spostrzegła, że dla Edmunda coraz więcej traci uroku. Nie tylko, że coraz mniej z nią rozmawiał, ale w rozmowie nawet był zbyt krótki, i widocznie skracał ją dlatego, aby do Olgi się zbliżyć, czy ona grała czy malowała.

Jakieś przykre niezadowolenie zbudziło się w duszy Adelaidy. Poraz pierwszy w życiu spostrzegła, że obok niej może być jeszcze inna kobieta, która jej rolę tak samo odegrać może.

Kobietą tą była Olga. Zrazu uczuła Adelaida jakieś dziwnie nieprzyjaźne uczucie dla Olgi, oskarzając ją o niewdzięczność. Wszak ona stała się tylko przez jej dobrodziejstwo tem, czem jest dzisiaj, bez tego dobrodziejstwa byłaby może szwaczką lub kucharką, a najwięcej żoną leśniczego, jak o tem marzył stary Burski. W pierwszym gniewie poczytała jej nawet to za zbrodnię, że Edmunda przygarnęła do siebie, chociaż sama przecież względem niego nie miała żadnych planów.

Po pierwszym odpływie tego gniewu, który nie wiedzieć z jakiego wypłynął źródła, Adelaida spokojnie zastanowiła się nad sobą. Najprzód nie umiała sobie wytłumaczyć tego gniewu.

— Zkąd mi się wziął ten gniew? — mówiła do siebie — przecież w Edmundzie się nie kocham, przecież wyraźnie

mu powiedziałam, że żadnej nie może sobie robić nadziei!.. Nigdy go nie kochałam, nawet nie marzyłam o tem... dlaczegoż mam Oldze brać za złe jej zachowanie się, jakby była moją rywalką?.. Dla czegoż tak boleśnie bije mi serce, jeźli pomyślę nad tem?.. Nie, tego nie pojmuję, to jest coś chorobliwego we mnie. Być może, że za mało spałam tej nocy, a wczoraj piłam zbyt mocną herbatę. Nie może być nic innego. Wszak żadnego rozsądnego powodu nie mam do gniewu, do tego przykrego uczucia, jakiego doznaję... A zresztą o cóż się niepokoję? Czyż to wszystko jest już prawdą, co mi się wydaje? Czy Olga rzeczywiście przyciągnęła do siebie Edmunda, czy to tylko jest pozór błahy? Cóż ztąd wynika, że czasem słucha, gdy gra, lub patrzy, gdy maluje? Może to być tylko prosta ciekawość, lub zwykła grzeczność, a Edmund jest tak dobrze wychowany, tak jest zawsze grzeczny i uprzejmy nawet dla starej klucznicy! Nie, to być nie może, to tylko mi się przywidziało. A zresztą gdyby nawet i tak było, gdyby Edmund rzeczywiście upodobał sobie Olgę, (co jednak żadnych poważniejszych skutków mieć nie może), gdyby rzeczywiście czuł dla niej jakąś przelotną skłonność, cóż to mnie tak bardzo może obchodzić? Czegoż to ma mnie rozdrażniać i dla Olgi źle usposabiać?

Po tym monologu rozśmiała się Adelaida i zanuciła wesołą piosnkę. Olga, która w drugim pokoju malowała, zawtórzyła jej, i zrobił się z tego prześliczny duet, w którym dwa dźwięczne głosy razem się zlały, jakby wychochodziły z jednej duszy, z jednego serca.

Spiewając zbliżyła się Adelaida do Olgi i położyła rękę na jej ramieniu. Olga odłożyła na bok paletę, wy-

kręciła do niej głowę i podała jej swoje piękne, różowe usta, które Adelaida szczerze i gorąco ucałowała.

Nie wiedziała Olga, że ten pocałunek był wynagrodzeniem za krzywdę, którą jej przed chwilą wyrządziła towarzyszka życia.

Mimo jednak tego gorącego pocałunku, mimo wszelkich sofizmatów, na jakie wysilała się Adelaida, zaszła w jej usposobieniu dosyć widoczna zmiana.

Przedtem nigdy nie miała ochoty grać na cytrze. Teraz okazała wielką skłonność do tej cichej, melancholijnej gry, i prosiła Olgi, aby ją niektórych melodyj nauczyła. A były to te same molodye, których najczęściej słuchał Edmund.

Po cytrze zapragnęła także wrócić do malowania, chociaż ten talent już dawno zaniedbała. Olga musiała także i w tem jej dopomódz. Wspólnemi siłami ustawiono sztelugę w gabineciku Adelaidy, i urządzono stosownie do tego duże okno pałacowe, zasłoniwszy je do połowy z dołu. Adelaida przyrządziła sobie do tego zatrudnienia stosowny kostium, w którym było jej bardzo do twarzy.

Grała więc na cytrze i malowała jak Olga. Mimo to już w pierwszych tygodniach nie była z tego zadowolona. Czy talent jej nie dopisywał, czy cytra inaczej odzywała się pod palcami Olgi, czy farby inaczej układały się na obrazie towarzyszki, dosyć, że po wielu próbach poczęła znowu coraz więcej zaniedbywać te talenta.

Zdaje się, że powodem do tego był znowu Edmund. Gra bowiem Adelaidy na cytrze i jej pozowanie na artystkę przy sztelugach nie sprawiło na nim pożądanego wrażenia. Widocznie więcej rad przebywał przy Oldze, gdy

grała lub malowała, niżeli przy Adelaidzie, gdy to samo robiła.

Adelaida czuła, że Edmund przestał ją adorować i zajęty był teraz Olgą. Dla Olgi chodził do pałacu, a ona była tylko pozorem, jakoby odwiedzał krewnych. Nanowo wzbudził się gniew w jej sercu, a wzbudził się z daleko większym impetem niżeli pierwej.

O co jej właściwie chodziło, nie wiedziała sama, ale czuła całem sercem, że to ją gniewa i oburza.

W tym gniewie stała się podejrzliwą i zaczęła Olgę śledzić.

Olga wydała jej się teraz jakąś inną. Była zawsze rozpromieniona, spiewała często i spiewała tak czystym i śmiałym głosem, jakiego dawniej nie miała. Była nieraz wesołą aż do roztrzepania, a śród wesołości stawały jej nagle łzy w oczach, co dla kobiecego serca Adelaidy stanowiły dowód niezbity, że w duszy Olgi odbywa się coś nadzwyczajnego.

W celu pochwycenia czegoś okiem, siadywała Adelaida na kozetce niby w książce zaczytana, podczas gdy Edmund z Olgą rozmawiał. Jej oczy wybiegały często ponad brzegi książki, a chociaż rozmowa dwojga zakochanych miała zawsze granice wszelkiej przyzwoitości, mogła Adelaida wiele dojrzeć, co ją mocno niepokoiło.

Często udawała zmęczenie i wolała w altanie, dzikiem winem obrosłej, pozostać, niżeli towarzyszyć Edmundowi i Oldze w przechadzce. Czyniła to dlatego, aby zakryta liściem winogradu mogła lepiej śledzić rozmawiających i przechadzających się po szerokiej alei.

Takie drobne podstępy rozdrażniały ją coraz więcej.

Widziała, jak się oboje do siebie nachylali, jak sobie podawali kwiatki, jak przy tem podawaniu (tak się jej wydawało) ściskały się ich ręce, a nawet raz coś zaszło między nimi, czego sobie wytłumaczać nie mogła. Olga odsunęła się nabok i drobną rączkę podniosła do góry, jakby grozić chciała, a Edmund tak wyglądał pokornie, jakby błagał o przebaczenie.

Takie spostrzeżenia nie dawały jej pokoju, i burzyły krew dawniej tak spokojną. Nie mogła sypiać po nocach, straciła apetyt, stała się małomowną i opryskliwą, a nawet po dwóch tygodniach znacznie zeszczuplała i zbladła.

Tysiąc razy na dzień pytała siebie, dla czego to się dzieje, dla czego wogóle tyle interesuje się tą sprawą, osób trzecich?.. ale nigdy nie mogła sobie dostatecznie na to odpowiedzieć.

Wreszcie nieśmiało zbliżyła się do swego serca i zapytała pocichu: Może ja go kocham?

— Nie, to być nie może — odpowiadała prędko, jakby się lękała pozostać mu dłużną odpowiedzi — nie, to być nie może, w żaden sposób nie może!..

Ale raz zapytane serce, powtarzało ustawicznie jednę i to samę odpowiedź, chociaż go już wcale nie pytano. A odpowiedź była jakaś dziwna, napół roskoszna, napół bolesna.

— Miałażbym go rzeczywiście kochać? — pytała znowu, i znowu zaprzeczała jak najuroczyściej.

Nikt nie spostrzegł walki, jaką obecnie toczyła z sobą Adelaida. Była to walka Adelaidy, urodzonej z Taidy Anuncyaty***, ze zwykłą kobietą. Zwykła kobieta domagała się czegoś od niej, czego Adelaida jej dać nie mogła.

Walka z każdym dniem stawała się boleśniejszą,

w końcn doszła do takich rozmiarów, że Adelaida zdawała się ustępować miejsca zwykłej kobiecie.

Ale to miejsce zajęła inna kobieta. Trzeba więc było naprawić złe, co się zrobiło, i zajęte stanowisko napowrót zająć.

Adelaida zdecydowała się po kilku nocach bezsennych to zrobić. Miała skuteczną broń do tego, i tej broni postanowiła użyć. Wytłumaczyła sobie, że przytem nic złego nie robi, gdyż bierze tylko w posiadanie to, co dawniej już do niej należało, a co jej tylko odebrano podstępem. Była to więc tylko rewindykacya, a nic więcej.

Pewnego dnia, w którym słońce okryte szarą mgłą nie tak bardzo gorącem dokuczało, przyjechał Edmund wcześniej, niżeli zwykle, i wprost o pana Alberta zapytał.

Było w tem zapytaniu coś wyjątkowego. Edmund bowiem miał zwyczaj pytać się najprzód o panie, gdyż pan Albert, ślęczący nad staremi obrazami, uważany był powszechnie za zero.

Adelaida stała w otwartem oknie i słyszała to zapytanie. Poczuła jakąś obawę, bo to zapytanie obiecywało jej coś nadzwyczajnego.

— Na cóż mu mego ojca, jeżeli dotąd nigdy go nie potrzebował? — zapytała siebie, a serce jej ścisnęło się przeczuciem.

Przytomna w każdej sytuacyi uznała Adelaida, że tu nie ma czasu do tracenia. Jeżeli jest jakie niebezpieczeństwo, to trzeba szybko przeciw niemu wystąpić.

Zarzuciła lekką, przezroczystą chustkę na białe ramiona, które z pod obsłony wyglądały jeszcze zalotniej, i zbiegła drobnym krokiem po kamiennych schodach.

— Ach! chér cousin! — zagadnęła, jakby go dopiero obaczyła — z jakąż dobrą nowiną tak wcześnie?

— Mam interes do pana Alberta — sucho odpowiedział Edmund.

— Przepraszam cię, kochany Edmundzie, ale teraz widzieć ojca nie możesz, aż za małą pół... godzinkę. Tymczasem może przejdziemy się po ogrodzie; właśnie chciałam tam iść, bo dzień jest łagodny i słońce nie pali.

Edmund zgodził się na propozycyą Adelaidy, ale nie okazał przytem żadnego żywszego wzruszenia. Białe, przezroczystą chustką przysłonione ramiona zarumieniły się z powodu przegranej. Edmund nawet na nie nie spojrzał.

Adelaida szybkim krokiem wyprzedziła Edmunda i pobiegła najkrótszą ścieżką do ogrodu. Edmund zwolna postępował za nią.

Gdy się przed altaną oboje razem złączyli, zaproponowała Adelaida wypoczynek w altanie.

Była to jedna z tych dawnych altan powieściowych, w których zazwyczaj odgrywają się sentymentalne sceny pomiędzy zakochanymi. Gęste liście winogradu przysłaniały znajdujących się wewnątrz od widoku świata, a romantyczne półświatło dodawało niespodzianych wdzięków każdej choćby najpospolitszej twarzy.

Tego wszystkiego nie potrzebowała Adelaida. Była dzisiaj w dziwnem rozdrażnieniu, a to rozdrażnienie podwyższało tylko jej wdzięki. Ciemne oczy błyszczały jak pochodnie, twarz blada ożywiła się zachwycającym rumieńcem.

— Od niejakiego czasu — zaczęła z długiem wejrzeniem — jesteś, kochany Edmundzie, podobny do człowieka, który w głowie waży ciężkie myśli. Czy to prawda?

Wzięła go za rękę i zatrzymała ją.

— Odgadłaś, kochana siostro — odpowiedział Edmund spokojnie.

— Tajemnic mam wiele — spokojnie mówił Edmund— ale te przedewszystkiem nie do mnie należą. Nie mogę więc z nich nic ci udzielić, chociażby to wielką ulgę sprawiło sercu memu, gdybym miał takiego powiernika.

Adelaida podniosła białą rękę i położyła ją na ramieniu Edmunda. Twarz jej zbliżyła się do jego twarzy.

— Mówisz, że nie masz powiernika — mówiła głosem dziwnie wibrującym — czyś zapomniał o naszej rozmowie pierwszego dnia na balkonie? Czyż nie zwierzyłam się wtedy tobie z wszystkiego, a cóż w zamian dostałam?

Oczy Adelaidy padały głęboko w duszę Edmunda.

— Niczego odemnie nie chciałaś!—krótko odpowiedział Edmund.

— Przecież kobieta bierze tylko to, co się daje, ale sama nie narzuca się, nie żąda, nie pragnie!... Zdziczałeś od niejakiego czasu, trzeba, aby ktoś — otrzymał władzę nad tobą!

— Właśnie myślę o tem, aby komu część mojej udzielności ustąpić.

— Zazdroszczę tej osobie.. o gdybym nią sama być mogła!

— Musi ona w każdym razie do ciebie być tak podobną, jakbyście razem się chowały.

Białe czoło Adalaidy przebiegła lekka chmurka.

— Jeźli tak — odrzekła szybko — to bardzo łatwo skreślę ci jej konterfekt! Czy ją poznasz?

— Czekam!

— Najprzód musi to być osoba wysoko ukształcona,

subtelnych uczuć, aby umiała poznać i ocenić to, co stanowi prawdziwy smak prawdziwej damy wielkiego świata!

Edmund uśmiechnął się i kiwnął głową. Adelaida mówiła dalej:

— Zabierając ci całą przyszłość twoję, powinna ci wnieść swoję przeszłość nieskazitelną, w której ani ty nie dojrzałbyś plamki, ani twoi nieprzyjaciele.

— Czyż nie podzielisz ich ze mną? — zapytała z uśmiechem czarującym, któremu również towarzyszył ruch ramion białych.—Czyż dla kochającej Adeli masz tajemnicę?

— Nie rozumiem, co nazywasz przeszłością kobiety?

— Wszystko, co się do niej odnosi. Życie, urodzenie, wypadki familijne, koligacye, stosunki rodzinne...

— Któżby dzisiaj wybór tak sobie utrudniał?

— Przecież nie chciałbyś zapomnieć, coś winien sobie, coś winien nazwisku, które nosisz?

— Cóż ztąd wypływa?

— Ztąd wypływa, że wybór twój może tylko paść na osobę, której stanowisko w hierarchii społeczeństwa równa się przynajmniej twemu. Inaczej wykroczyłbyś przeciw sobie i całej familii.

Edmund poczerwieniał na twarzy.

— Zostawiam ci twoje wyobrażenia — odparł z goryczą — ale pozwól mi, że ja mogę mieć inne. Najbliższy czas pogruchoce nam te zabawki dziecinne, a tymczasem chciałbym wszystkie herby i klejnoty rodzinne sprzedać za kilka chwil prawdziwego szczęścia!

Adelaida zbladła i zacisnęła usta.

W tej chwili z poza klombu róż i nasturcyj wychyliła się Olga i w zgrabnych podskokach zbliżała się do nich z jakąś piosnką na ustach.

Na jej widok pokraśniał Edmund, a oczy jego zagrały dziwnym ogniem. Odwrócił się od Adelaidy i postąpił kilka kroków ku ścieżce, którą zbliżała się Olga.

Przy Oldze zapomniał o panu Albercie, a gdy sobie po dwóch godzinach przypomniał, odpowiedział Anatol, przysłany przez Adelaidę, że hrabia jest trochę cierpiący i bardzo pięknie przeprasza.

Pan Albert rzeczywiście idąc za zdaniem Adelaidy, która twierdziła, że jest chory, położył się do łóżka.

ROZDZIAŁ VIII.

Na drugi dzień zajechała na dziedziniec pałacowy czterokonna kareta z herbami na drzwiczkach. Na wysokiem koźle siedział strzelec w podróżnym mundurze, obok stangreta w sutej liberyi.

Stary Anatol pospieszył jak mógł najprędzej, aby znakomitemu gościowi drzwiczki otworzyć. Adelaida usłyszawszy turkot powozu, zbliżyła się do okna.

Z karety wysiadł niewielki człowiek, w podróżnej jedwabnej czapeczce, utykając na jednę nogę. Powoli wsparł się na barkach strzelca i Anatola i wszedł na schody. Adelaidzie wydało się, że był garbaty.

Gdy Anatol zadyszany kartę wizytową przyniósł, wyczytała na niej Adelaida nazwisko dalekiego sąsiada, który prawie nigdy w kraju nie mieszkał. Nazwisko to należało do rodu, sięgającego wyżyn społeczeństwa.

Adelaida uprzedziła ojca, który właśnie jakiś obraz przemywał, a nim staruszek gąbkę na bok odłożyć zdołał, stał już gość przed nim, wyciągając do niego rękę.

Adelaida mogła mu się teraz dobrze przypatrzéć. Był to człowiek sporo nie młody. Mógł liczyć około lat sześćdziesięciu, albo przynajmniej tak wyglądał. Resztki płowych włosów, o których nie można było wiedzieć, czy

były siwe, czy taki naturalny miały kolor, okrążały wąskim paskiem wypukłą łysinę, na której ostro odznaczały się spojenia czaszki. Takiegoż koloru wąsy i znacznie już siwe faworyty okazywały, że był zwolennikiem mody angielskiej. Twarz nie miała żadnej barwy, podobna do włosów, pomarszczona była w liczne zmarszczki. Mimo to miała wyraz przyjemny i cechowała człowieka, który miał ładne wykształcenie i spory zasób inteligencyi. Nie był co się zowie garbatym, jak to z góry wydało się Adelaidzie, ale miał jednę łopatkę wyższą, wskutek czego prawe ramię było także podwyższone. Niestosowny do figury długi tułów opierał się na cieńkich, małych nóżkach, którym osobno nie można było odmówić ładnych kształtów. Na jednę nogę utykał.

Pan Albert przywitał z dworską etykietą znakomitego gościa, którego córce nazwał hrabią Wojciechem.

Pan Wojciech wydobył złotą lornetkę, przypatrzył się Adelaidzie i niektórym obrazom, mówił trochę z Adelaidą i panem Albertem o sztuce, o galeryi drezdeńskiej, coś o drodze niewygodnej i pogodzie, a zakończył Wiedniem, gdzie dłuższy czas teraz przebywał.

Gdy służba pałacu, takim nadzwyczajnym wypadkiem wystraszona, napowrót do spokojnych legowisk swoich powróciła, obejrzał się pan Wojciech ostrożnie naokoło i ozwał się do pana Alberta:

— Pozwolisz, panie Albercie, że pomówię z tobą o ważnej rzeczy, nie mamy bowiem wiele czasu do stracenia.

Pan Albert wyprostował się i ciekawie spojrzał na gościa. Był pewny, że tenże przynosi mu wiadomość o nowo odkrytym Rubensie lub Rafaelu.

Adelaida podniosła się, aby rozmawiających zostawić sam na sam. Pan Wojciech jednak łagodnie przytrzymał ją za rękę.

— Zostań pani z nami, być może, że zażądamy od niej pomocy — rzekł do niej z uśmiechem światowego człowieka.

Adelaida została; ogarnęło ją dziwne uczucie. Pan Wojciech odczyścił należycie lornetkę i zaczął:

— Wiem, kochany sąsiedzie, że żyjesz tutaj zajęty sztuką, i prawdopodobnie nie wiesz, co się wkoło ciebie dzieje.

Adelaida zarumieniła się i wstrzymała oddech. Sądziła, że to coś będzie do Olgi się odnosić. Ale pan Wojciech prędko wyprowadził ją z błędu.

— Piękną jesteś, pani, z tym rumieńcem, jak archanioł Gabryel — rzekł z galanteryą — ale bez tego rumieńca możesz pani także panować nad nami, jak nad swymi niewolnikami. Zaręczam pani, że rozmową moją nie dotknę bynajmniej owych srebrnych nitek serca kobiecego, o których mówią, że wydają tylko wtedy czarowne dźwięki, gdy się do nich żadna obca ręka nie zbliża. Bądź pani spokojną.

Adelaida odpowiedziała coś w swojej obronie, a pan Wojciech mówił dalej zwrócony do pana Alberta:

— Zapewne panu nie wiadomo, że od niejakiego czasu szerzy się w kraju ruch, o którym dzisiaj nic pewnego powiedzieć nie można.

Pan Albert szeroko otworzył oczy, aby pana Wojciecha lepiej rozumieć. I Adelaida okazywała niezwyczajną ciekawość, bo jeszcze nie pozbyła się swego przeczucia.

— Trudno z pewnością orzeknąć — mówił dalej pan Wojciech — kto ten ruch wywołał, ale wiemy mniej więcej, kto go podtrzymuje. Wprawdzie nie rzucam ja tutaj na nikogo kamieniem. Być może, że pewni ludzie w błędach swoich mają motywa szlachetne; być może, że mając jakiś dobry cel przed oczyma, nie widzą, że dążą wprost do czegoś przeciwnego, bo w takich rzeczach największą rolę odgrywa — złudzenie. Ale bądź co bądź, fale tego ruchu otaczają nas coraz więcej, ściskają nas i zmuszają albo do walki odpornej albo do poddania się im...

W obszernej komnacie była teraz cisza grobowa. Pan Albert poraz pierwszy usłyszał, że coś wkoło niego się dzieje, o czem mu się ani śniło. Adelaida wzdrygnęła się, bo niektóre ciemne słowa Edmunda stanęły jej teraz jasno przed oczyma.

— Czyż mianoby na kraj nowe nieszczęście sprowadzać? — zapytała z ciężkiem westchnieniem. — Któż są ci ludzie, którzy ster wypadków biorą w swoje ręce? Czy zna ich historya i karty Rzeczypospolitej?

— Otóż złote słowa powiedziałaś pani — odpowiedział pan Wojciech — całe nasze nieszczęście, że podobne roboty robią się pociemku, a my głównych robotników nie widzimy! Że do podobnej roboty śród ciemności przymiesza się nie jedna nieczysta ręka, o tem wątpić nie można, a za to wszystko my odpowiadać musimy.

— W takim razie musiałbym moję galeryą może do Wiednia wysłać? — wtrącił ze smutkiem pan Albert.

Pan Wojciech spojrzał po lichych płótnach, rozwieszonych po ścianach, i uśmiechnął się ironicznie.

— Zdaje się, że do takiej ostateczności nie przyjdzie —

odparł z łagodnym uśmiechem — ale zawsze trzeba myśleć o gorszem, aby nas złe nieprzygotowanych nie zaskoczyło.

— Masz słuszność, kochany sąsiedzie — odpowiedział pan Albert — w każdym razie każę obrazy włożyć do pak i starannie pozabijać, aby na pierwszy znak niebezpieczeństwa można je do Wiednia lub do Węgier wyprawić.

Na twarzy pana Wojciecha malowało się nieznaczne politowanie.. Spostrzegła to Adelaida.

— Mój ojciec jest niezmiernie przywiązany do swoich obrazów — rzekła z błagalnem wejrzeniem — o nich śni i marzy w nocy, a we dnie rozkoszuje patrząc na nie.

— Jeszcze raz powiadam — odpowiedział pan Wojciech — że rzeczy prawdopodobnie tak daleko nie zajdą, chociaż ostrożność nie zawadzi. Przedewszystkiem trzeba ten ruch, który się obecnie odbywa, mieć na oku.

— Możeby posłać o tem wiadomość do naczelnika obwodu? — wtrącił nawiasem pan Albert, patrząc żałośnie po swoich obrazach.

— Zdaje się — odparł szybko pan Wojciech z lekkiem zmarszczeniem czoła — że władza wie lepiej od nas o wszystkiem. Jej zadanie jest inne, a nasze inne. Ona może tylko karać winnych, a naszym obowiązkiem jest nawracać winnych na drogę rozsądku wtedy, gdy władza ich jeszcze dosięgnąć nie może...

— Cóż poradzimy, jeźli nic nie wiemy? — zapytał pan Albert.

— Mogę sub secreto udzielić panu wiadomości, że w najbliższem sąsiedztwie... liczącem się do familii..

— Edmund! — wyszepnęli naraz ojciec i córka, i obejrzeli się z trwogą po obszernej komnacie.

— Pst! — dodał pan Wojciech i położył palec na ustach.

Długi czas trwało grobowe milczenie.

— Zkąd jemu przyszło mieszać się do demagogów! — ozwał się w pocie czoła pan Albert — takiego rodu i pochodzenia!

Adelaida odetchnęła pełną piersią, bo właśnie w tej chwili wiadomość o Edmundzie związała ze swoją myślą, która ją dzisiaj tak bardzo niepokoiła.

— Można to sobie wytłumaczyć — powoli ciągnął pan Wojciech — historya każdego przewrotu w społeczeństwie wyświeca to jasno. Są w najwyższych warstwach każdego społeczeństwa ludzie, którzy dla tytułów swoich nie mają podstawy materyalnej, jednem słowem, zubożeni. Ci ludzie szukają jakiejś karyery i czepiają się wszystkiego, coby ich znowu na wierzch wynieść mogło. Ponieważ zaś stare, historyczne imiona w warstwach niższych nigdy, a nawet i podczas przewrotu, swego uroku nie tracą, więc nic łatwiejszego ludziom owych nazwisk, jak dostać do ręki sterownictwo i rangę naczelników. Każda historya przewrotów społecznych liczy wiele takich nazwisk, które potem figurują na wysokich posadach nowego porządku rzeczy. Ta jest tajemnica, że ludzie odmiennych zasad przechodzą do przeciwnego sobie obozu i przyjmują jego godła za swoje.

— Czyżby to być mogło? — zauważała Adelaida w głębokiem zamyśleniu.

— Jeżeli ktoś coś chce zrobić koniecznie — odpowiedział pan Wojciech — to nigdy nie przedstawi mu się ono tak jaskrawo, jak innym. Znajdzie w sobie dogodne motywa, i

będzie wobec własnego sumienia tak czystym, jak biały, wielkanocny baranek z masła.

— Czyżby Edmund w samej rzeczy? — podjęła znowu Adelaida.

— Edmund prawdopodobnie mniema teraz o sobie, że jest bohaterem najczyściejszej wody, bo może nie widzieć w gruncie rzeczy prawdziwych motywów.

— On nie byłby zdolnym do tego.

— Faktem jednak jest, że otoczyli go ludzie, którzy wyzyskują jego pozycyą i nazwisko dla swoich założonych celów.

— Nigdybym nie uwierzyła...

— Widziałem ja podobnych jemu ludzi, którzy, aby przypodobać się nowym swoim sojusznikom, żenili się z szwaczkami lub kochankami, wypierając się tym sposobem krwi swojej.

Adelaida pobladła. Ostatnie słowa pana Wojciecha zbudziły w jej głowie dawne myśli i obawy, nadając im jeszcze więcej prawdopodobieństwa.

— Czy sądzisz Adelo — rzekł ojciec po odjeździe gościa do zamyślonej córki — czy sądzisz, że w tych pakach drezdeńskich zmieszczę wszystkie moje obrazy?... Widzę, że o tem myślisz!...

ROZDZIAŁ IX.

Adelaida była teraz zamyślona, ale o pakach i obrazach wcale nie myślała. Wszystkie jej obawy, które dotąd wydawały jej się nieprawdopodobnemi, przybrały teraz zupełnie inny kierunek.

Pan Wojciech odsłonił jej rzeczy wielkiej wagi, ale one nie miały w tej chwili dla niej wielkiego interesu. Patrzała na nie okiem kobiety, resztę pozostawiła innym. Szukała w nich tylko dowodu, że jej obawy mogą się spełnić. I taki dowód znalazła.

Pierwiej wydało się jej nieprawdopodobnem, aby Edmund w rzeczywistym jakim zamiarze zbliżał się do Olgi. Dzisiaj wyjaśniło się jej to zbliżenie. Edmund przeszedł do innego obozu, otoczony był ludźmi tegoż obozu, a ci ludzie może nawet w widokach swoich podniecili w nim żądzę ożenienia się z córką Burskiego.

Takim wydał jej się dzisiaj romans Edmunda z Olgą, a serce jej uderzyło boleśnie. Nie tylko bowiem chodziło tutaj o Edmunda, ale chodziło o nią samę, bo teraz dopiero poczuła wyraźnie, że Edmunda kochać może.

Olga wystąpiła teraz przed nią w jaskrawych barwach szczęśliwej rywalki.

Widok rywalki rozpalił w jej sercu całą namiętność leżących tam odłogiem uczuć i nabawił ją niezwykłej go-

rączki. Czuła wewnątrz płomień, który ją trawił; łzy mimowolnie cisnęły się jej do oczu, chociaż przedtem nigdy nie płakała; a gdy z wielkiego znużenia powieki zamknęła, tłoczyły się przed nią dziwne mary, wyrzucające jej, że sama pozbyła się szczęścia swego.

Dziwna rzecz, że w tych skrytych a tak gorących pragnieniach ani na myśl jej nie przyszło, że Edmund nie jest bogaty, że według planów jej życia, nigdyby za niego pójść nie mogła. Wszystkie te akcesorye ludzkie znikły jej teraz z przed oczu; ona pragnęła tylko człowieka, człowieka, który niedawno ją adorował, a teraz opuścił.

Adelaida nie wiedziała, co się z nią dzieje. Nie mogła siebie poznać, nie przypuszczała nawet, aby to wszystko na jawie się działo, aby nie było tylko snem ułudnym. To nie była ona, jakaś inna kobieta czuła i bolała za nią; a gdy nad tą boleścią się zastanowiła, uznała, że nie jest ona bez pewnej roskoszy, że jest daleko przyjemniejszą nad chłodny, martwy spokój.

Zrazu powzięła myśl, aby Oldze otwarcie o swoich cierpieniach powiedzieć, aby rzucić się jej na szyję, albo nawet do nóg upaść i błagać o zwrot serca, które miało do niej należyć.

Gdy się bliżej nad tem zastanowiła, spostrzegła, że droga taka jest wprawdzie dramatyczną, ale do celu nigdy nie prowadzi. Żadna kobieta nie zrezygnuje z szczęścia swego, jeżeli to szczęście stało się potrzebą jej życia. Przeciwnie, usiłowanie podobne może tylko tem więcej zacieśnić węzły miłości i wznieść ją do wyższej potęgi.

Droga ta była zła. Trzeba było szukać innej.

Adelaida postanowiła przemówić zimno do rozsądku

Olgi. Postanowiła wyrozumować jej spokojnie, że podobne marzenia do szczęścia nie prowadzą. Miała nawet w zapasie wiele znanych przykładów, któremi chciała dowieść Oldze, że takie zamążpójście w nierównych warunkach staje się prędzej czy poźniej źródłem niewyczerpanem boleści i nieporozumień na całe życie.

Po bliższem obejrzeniu tego planu, zarzuciła go także. Wiedziała bowiem, że żadne, choćby z największem namaszczeniem wypowiedziane kazanie, nie nawróci nigdy ludzi roznamiętnionych, i to jeszcze w chwili, w której ta namiętność dochodzi do najwyższego stopnia. Przeciwnie byłoby to tylko tem większą dla nich podnietą.

Jakaż więc była inna droga?

Po długim namyśle wróciła znowu do Edmunda. Edmund może dałby się przekonać, możeby uległ wreszcie wrażeniu, jakieby na nim sprawić mogła czarująca jego wybawicielka, a wtedy łatwiejsza byłaby sprawa z opuszczoną Olgą, która prócz łez nie miała żadnej innej broni.

Było to jednak dzisiaj niemożliwem. Edmund nagle gdzieś wyjechał i tylko małą karteczkę przysłał do pałacu, że prawdopodobnie cały tydzień w podróży zabawi. Karteczka ta nie miała dla pałacu żadnej racyi, bo Edmund nie miał obowiązku opowiadać się tam, gdzie wyjeżdża i kiedy wróci. Był to tylko zręczny sposób zawiadomienia Olgi o tem, dla której ta kartka w gruncie rzeczy była przeznaczona.

Nieobecność więc Edmunda nie pozwalała myśléć o jego nawróceniu, ale sprzyjała właśnie innemu planowi.

Jedna bowiem tylko droga pozostała teraz dla Adelaidy, a droga ta prowadziła poza Olgę i Edmunda. Nieobecność Edmunda bardzo temu sprzyjała.

Drogi podobne, poza plecyma innych prowadzące, nie zawsze są moralne. Już sama ich natura wskazuje, że kryjąc się przed okiem świata, nie prowadzą do dobrego.

Jakiekolwiek mogły być wyobrażenia Adelaidy, jakiekolwiek namiętności zbudziły się nagle w jej sercu, dotąd starannie jakąś filozofią życia chłodzonem, grunt jej duszy był czysty i szlachetny. Nie mogłaby ani na chwilę zawahać się opuścić drogi, któraby prowadziła do czegoś, co się zazwyczaj potępia.

Jeżeli więc do działań swoich wybrała drogę skrytą, musiała w każdym razie ta droga być dobrą.

Są ludzie, którzy źle czynią, chociaż o tem wiedzą, że to jest złe. Są jednak i tacy, których sumienie jest bardzo tkliwe, którzy przed każdym krokiem swoim starannie radzą się tego sumienia i póty nic nie zrobią, póki wszelkim wymaganiom moralnej swojej istoty nie uczynią zadość.

Do tych ostatnich należała Adelaida. Już sama idea wyższości w społeczeństwie, prawem urodzenia nakazywała jej trzymać się zawsze na wyżynach moralności. A była to dodatnia strona jej wyobrażeń.

Gdy więc pewna myśl co do Olgi do głowy jej przyszła, zapytało się nagle jej sumienie, czy to jest godziwe?

Odpowiedź taka jest nader trudna. Trudno bowiem w takim razie rozróżnić prawdziwych rozumowań od sofismatów, które rozumowi podsuwa jakakolwiek bądź namiętność.

Adelaida odpowiedziała sobie.

Według tej odpowiedzi, droga, którą obecnie szła Olga, nie była dobrą. Olga w zaślepieniu swojem tego nie

widziała, bo nie mogła widzieć. Potrzeba więc było jakim niewinnym podstępem wyrzucić ją z tej drogi, i to w ten sposób, aby jej już nigdy znaleźć nie mogła.

Miłość Edmunda i Olgi, rozumowała dalej Adelaida, może być tylko dramatyczną, ale do szczęścia ich nie prowadzi. Edmund jest prawie ubogim, ale ma kapitał przeszłości rodowej, ma tytuł, za który mógłby dostać nie tylko serce kobiety, ale także i znaczny posag. Dzisiejsza zaś jego sielanka może być ładną w obrazku powieściowym, ale w życie przeniesiona staje się dla niego wielkiem nieszczęściem. Tego nieszczęścia nie widzi teraz Edmund, a dzisiaj jego stosunki oślepiają go tem więcej i nie dopuszczą nigdy, aby na czas przejrzał. Również i Olga idzie ślepo w przepaść. Być może, że chwilowo jest Edmund nią zajęty, ale po uspokojeniu się rozgorączkowanej pierwszej namiętności, odsłoni się jej smutny widok życia rzeczywistego, który dla niej będzie tylko katuszą. Wtedy obaczy, że cięży żelazną kulą u stóp męża, że wyrwawszy go z jego sfery, nie zastąpi mu sama tego wszystkiego, co tamta sfera mu dać może, że w końcu jakby za karę będzie musiała patrzéć na ukryte i jawne cierpienia męża, żałującego, że się dał szałowi porwać.

Taki obraz widziała teraz Adelaida przed sobą i wierzyła, że jest prawdziwy.

Stosownie do tego obrazu uważała teraz za swój święty obowiązek, przeszkadzać wszelkiemi siłami i środkami, aby do tego nie przyszło, chociażby nawet w pierwszej chwili nie była przez Olgę i Edmunda dobrze zrozumianą.

Gdy nad tem dłużej jeszcze pomyślała, wyprostowała się pewnem uczuciem szlachetnem, jakby była bohaterką.

Że przy tem bohaterstwie ona i dla siebie coś zrobić może, o tem prawie nie myślała w tej chwili. Ona adorowała teraz siebie, że w taki sposób umie się dla swoich bliźnich poświęcić. Czy to były rozumowania, czy proste sofizmata, jakiemi zły adwokat złej sprawy broni, nad tem nie zastanowiła się teraz.

Wzięła dużą ćwiartkę welinowego papieru i zaczęła pisać list długi i szeroki.

List ten był pisany do brata pana Alberta, który w Warszawie ożenił się z córką bankiera.

Adelaida donosiła w tym liście drogiemu stryjaszkowi, że rodowi ich, który tak długo przetrwał bez skazy i zmazy, zagraża teraz wielkie nieszczęście. Pisała, że jeden blizki członek tego rodu powziął nieszczęśliwy zamiar ożenienia się z osobą nader nizkiego urodzenia. Rzuciłoby to wielką plamę na czysty dotąd lustr domu, i starożytny herb zniżyłoby do poziomu zwyczajnych ludzi. Byłoby to dla wszystkich wielkiem nieszczęściem, a sam pan Albert, jej ojciec, nie przeżyłby tego ciosu. Całe jednak to nieszczęście dałoby się odwrócić, gdyby tę sprawę sprowadzono do kwestyi pieniężnej. Zdaje się, że kilka tysięcy złr. załagodziłoby tę sprawę i członkowi wspólnego rodu rozwiązałoby ręce do innego losu, na jaki sobie słusznie zasłużył.

Gdy Adelaida ten list pisała, zatrzymywała się często śród pisania, jakby jej jaki ból wewnętrzny dojmował. Czasem odłożyła pióro i z czołem zmarszczonem patrzała czas niejaki przed siebie. Zdawało się, że jej brak było

wyrazów, że budowie stylistycznej stawało coś na przeszkodzie. Na jej twarzy widać było natężenie, a wkońcu wystąpiły nawet dwie duże czerwone plamy.

Była to właśnie niedziela. Zazwyczaj jechano w tym dniu z pałacu przed południem do miasta na nabożeństwo. Cieszyła się z tego służba, bo wtedy mogła także być w mieście i w kościele. Stary Anatol w takim razie smarował wąsy i włosy, i zaczesywał się starannie, jak przystało na lokaja, który trzymając książki do modlenia stał w kościele zaraz obok kolatorskich ławek, i przeto powszechną na siebie zwracał uwagę.

Smarowanie jednak włosów i wąsów było dla Anatola rzeczą tak wielkiej wagi, że tylko dla należytego efektu swego państwa to robił. Gdy bowiem dla niepogody lub jakiej innej przyczyny do miasta na mszę nie jechano, Anatol w takim razie zaniedbywał powyższych kosmetyków.

Dzisiaj zaglądał kilka razy do budoaru Adelaidy, czy jakich przygotowań do wyjazdu nie obaczy, ale dotąd nic się nie dowiedział. Zasięgał nawet języka od panny służącej, ale i ta nic nie wiedziała, bo Adelaida dotąd nie kazała się ubierać. Panna służąca była nawet w złym humorze, bo wiele liczyła na dzisiejszy wyjazd do kościoła, chcąc się tam w nowej sukni okazać, jaką darowała jej panna Olga. Nawet stary stangret, który, korzystając z kilkogodzinnego pobytu w mieście, zawsze wracał do pałacu jakiemś tajemniczem szczęściem rozpromieniony, nie mógł się nigdzie dowiedzieć, czy dzisiaj pojedzie się do kościoła, czy nie.

Adelaida była zajęta pisaniem i nikogo nie przypuszczała do siebie. Kilka razy zmieniała papier i pióro.

Gniewała się na pannę służącą, że jej przeszkadza, a nawet ulubionego kotka swego za drzwi wypędziła.

Nim jeszcze zaczęty nanowo list przepisać zdołała, otworzyły się drzwi od galeryi obrazów, a do budoaru wszedł pan Albert w wytartym oliwkowym surducie.

— Czy sądzisz, Adelo, że to wszystko dobrze się zakończy? — rzekł do niej ojciec widocznie zakłopotany.

Adelaida ściągnęła brwi i czas niejaki patrzała przenikliwie na ojca.

— Nie wiem, o czem ojciec myśli! — odpowiedziała krótko.

— Zdawało mi się, że ty o tem samem myślisz w tej chwili.

— Czyż koniecznie mamy o jednej i tej samej rzeczy myśléć?

— Zdaje mi się, że mamy sprawy wspólne — z lekką chmurką na czole odrzekł pan Albert i zbliżył się do biórka, na którym leżał list niedokończony.

Adelaida zręcznie nakryła list białą ćwiartką.

— Spodziewam się, że myśli swoich przedemną ukrywać nie będziesz! — dodał z pewnem nieukontentowaniem.

— Niechże mnie ojciec o nie zapyta! — odparła Adelaida wstając z krzesła.

— Wszak zgóry już pytałem, co myślisz o dziwnych zamiarach Edmunda?

Jeszcze jaśniej wystąpiły dwie czerwone plamy pod oczyma Adelaidy.

— O zamiarach Edmunda? — powtórzyła urywanym głosem — o zamiarach Edmunda? Cóż właściwie sądzić mogę o jego zamiarach?

— Mogą one być w gruncie bardzo szlachetne.

— W szale bez myśli nie widzę nigdy szlachetności! — szybko przerwała Adelaida.

— Nie przeczę temu... gdzie jednak jest szał, tam może nastąpić opamiętanie.

— Mylisz się ojcze — namiętnie odrzekła Adelaida — każdy szał musi przebyć pewien proces, i wtedy dopiero następuje opamiętanie, gdy ten proces się skończy. A to w każdym razie następuje zapoźno, bo wtedy, gdy się wszystko skończy.

Pan Albert zadumał się głęboko.

W takim razie — rzekł po chwili — będzie Edmund wiele winien; szkoda tak pięknego nazwiska.

— Edmund winien, to prawda — odparła Adelaida — ale daleko winniejszą jest ona!

— Ona? — powtórzył z zadziwieniem pan Albert. — Ona? co za ona? O kimże mówisz? Ja mówię o tem, o czem wczoraj.

Adelaida zarumieniła się. Czerwone plamy pod oczyma posiniały.

— Poplątał mi się język z wielkiego zmartwienia — odpowiedziała szybko — bo to, o czem wczoraj pan Wojciech nam mówił, mocno mię martwi.

— Nie tylko o tem chciałem z tobą mówić, o czem pan Wojciech wczoraj mówił, ale jeszcze o czemś innem, co nas najbliżej obchodzi!

Adelaida zmarszczyła brwi. Na jej twarzy był wyraz natężonej uwagi.

— Co nas bliżej obchodzi, powiedziałeś ojcze?

— Tak, co nas bliżej obchodzi, co nas samych dotyczy, co dom nasz...

Pan Albert zrobił tu giest tragiczny i zamilkł. Adelaida spuściła oczy ku ziemi i zamyśliła się.

— Dom nasz jest już i tak nad przepaścią — wymówiła ponurym głosem — a gdyby jeszcze do tego...

— Dołączył się skandal!

— Rzeczywiście byłby to skandal —

— Żeby własny ród sam siebie zabijał!

— Tem zabijają się wszystkie rody!

— Przecież nie wszystkie spiskują?.. Dzisiaj mówisz ze mną niezrozumiałym językiem.

— Być może, żeśmy się zrazu nie zrozumieli — żywo z ironicznym uśmiechem odpowiedziała Adelaida — ale temu nikt nie winien, jak tylko Edmund, który nam tyle zmartwienia sprawia!

— Jeszcze nas każe wszystkich cichaczem w nocy wymordować! Do tego odnosiłem powyższe słowa moje!

— Każe nas wymordować? Co też ojciec mówi!

— Co mówię? Nie wierzysz? Czy ty nie wiesz, że jakobini i hajdamacy...

— Ależ on nie jest ani jednym ani drugim!

— A pocóż w nocy dokoła mur ogrodowy objeżdża? Szymek widział go przed dwoma dniami, jak objechał w nocy trzy razy ogród i pałac dokoła, a potem na pagórku stanął i w okna pałacu z godzinę patrzył! Co, czy to nie jest szpiegowstwo? Czy nie patrzy, zkąd najlepiej z chłopami na pałac uderzyć?

Mimo ściągniętych brwi zaruszały się usta Adelaidy ironicznym uśmiechem nad tym przestrachem staruszka.

— Już te codzienne wizyty jego — mówił dalej pan Albert—te konszachty ze służbą, te szepty z Olgą, o czem mi także Szymek wiele opowiadał, a fraternizowanie ze starym Burskim, wszystko to...

— Wszystko to jest tylko płonną marą, mój ojcze — uspokajała Adelaida—jakkolwiek Edmund w coś się wdał, nigdy jednak nie zrobi tego, o co go, ojcze, posądzasz!

— Dałby Bóg, dałby Bóg!.. Czy sądzisz, że obrazy moje będę mógł wysłać do Wiednia?

Adelaida uspokoiła staruszka, który odkrząkując z jakąś lepszą otuchą wrócił do swojej galeryi, zkąd go na chwilę wystraszyły myśli o mordach i hajdamakach.

Adelaida wróciła do pisania listu.

Na progu okazała się teraz Olga w zupełnem ubraniu.

— Czy dzisiaj nie pojedziemy do kościoła? — zapytała zapinając swobodnie rękawiczkę.

— Do kościoła? — powtórzyła zgryźliwie Adelaida — wszak widzisz, że list piszę. Zresztą nie ma już czasu do ubrania się.

— Pojadę sama z panną służącą.

— Zaczekaj chwilkę... dam ci list na pocztę.

Olga położyła parasolkę na krześle, a przeszedłszy się kilka razy po pokoju, zatrzymała się przy oknie.

Dzień był pogodny, gorący. Z okna było widać całą dolinę, ubraną w błękitne ramy gór i ustrojoną w zielone drzewa i trawy. Na niebie przesuwały się białe chmurki, lekki wietrzyk chłodził skwar słońca.

Olga patrzała na dolinę w zamyśleniu. Po dolinie wiły się drogi i ścieżki, po tych drogach i ścieżkach błądziły koleją szafirowe jej oczy. Zapewnie myślała w tej

chwili o Edmundzie, zgadywała, którą drogą pojechał, a którą wróci... myślała nawet, że ta dziczka tam na wzgórku to wózek, na którym on jedzie...

Pióro żelazne Adelaidy zaskrzypiało, a Olga ocknęła się.

— Czemu ci pióro tak przeraźliwie skrzypi? — zapytała z uśmiechem od okna.

— Papier nierówny — odpowiedziała Adelaida i pisała dalej.

Olga zwróciła się znowu do okna. Coś ją tam ustawicznie ciągnęło. Widok nieba bożego i żywa gorąca natura miały w tej chwili więcej uroku dla niej od rzeźbionych i wyzłacanych arabesków biórka, na którem pisała list Adelaida. Cóż bowiem może jej dobrego powiedzieć to biórko, misternie rzeźbione? a tam w tym przestworze światła, w tym szerokim widnokręgu można pomieścić tyle marzeń, tyle uczuć! I znowu daleki tuman kurzu rzucił jej obraz Edmunda przed oczy. Może to on tam jedzie! Może tylko chciał mię trochę zmartwić, pisząc, że cały tydzień zabawi? I uczuła roskoszne bicie serca na samą myśl, na twarzy uczuła gorący rumieniec, i byłaby z uczucia jakiejś nadzwyczajnej radości głośno zaspiewała, ale nagle od biórka uderzył ją jakiś jęk boleści.

— Cóż ci to? — zapytała szybko.

— Upiekłam się pieczętując list — odpowiedziała Adelaida, kładąc na liście adres.

Olga zbliżyła się teraz do biórka.

— Czy daleko pójdzie ten list? — zapytała pochylając się przez ramię Adelaidy. — Do Warszawy?

— Do Warszawy... Pamiętaj, abyś go nie zgubiła; oddasz go sama na pocztę.

— Sama? — żartobliwie zapytała Olga — czyż to co tak bardzo ważnego?

— Jest tak ważny, jakby o twoje własne szczęście chodziło! — odpowiedziała również żartobliwie Adelaida; a duże, czerwone plamy znikły w tej chwili z jej twarzy

Olga ucałowała serdecznie przyjaciółkę a zwracając się od progu — rzekła z uśmiechem:

— Czy mam się modlić za ciebie?

— Jak ci się podoba — zimno odpowiedziała Adelaida.

Tymczasem miał już stangret włosy i wąsy należycie wysmarowane, a panna służąca zarumieniona nadzieją nadzwyczajnego efektu, czekała na Olgę niecierpliwie przy stopniu dorożki.

Stary Burski czekał także przy swoim domku i przemyśliwał nad tem, czyby dzisiaj nie mógł się z córką zabrać do kościoła usiadłszy bodaj na koźle. Cofnął się jednak nagle do domku, gdy ujrzał jedwabną, ciemnoszafirową suknię Olgi, a wziąwszy kij do ręki, puścił się ścieżką do miasta piechoto.

ROZDZIAŁ X.

List, który Olga własnoręcznie na pocztę oddała, stanął za dwa dni w Warszawie i został podczas śniadania bratu pana Alberta na srebrnej tacy podany przez lokaja.

Bogaty stryj przeczytał list Adelaidy, pomyślał nad nim trochę, potem roześmiał się i na bok go odłożył. Sięgnęła po tem po niego stryjanka, córka bankiera, bardzo piękna kobieta, przeczytała go z małym grymasikiem na różowych ustach i także odłożyła. Grymasik córki rozciekawił starego bankiera, który za niemem przyzwoleniem zięcia wziął list także do ręki.

Stary bankier, którego ojciec miał dystrybucyą cygarów i kolekturę loteryi, czytał list z wielką uwagą, zmarszczył czoło z należytą powagą i zapytał zięcia i córki dla czego z takiem lekceważeniem ten list przyjęto. A gdy ani zięć ani córka prócz przelotnego uśmiechu na to żadnej odpowiedzi dać nie chcieli, skrzywił się stary bankier i rzekł do dzieci, że takiej sprawy lekceważyć nie można. Czystość rodu, mówił do dzieci, jest wielkim kapitałem, a kapitału tego nie można lekkomyślnie roztrwaniać. Ponieważ nazwisko, które jego jedynaczka nosi, również i jego obowiązuje, więc chętnie ze swojej strony uczyni tę drobną ofiarę, jakiej od niego familia ma słuszne prawo wymagać.

Zięć i córka nie mieli nic przeciw temu, a stary bankier z wielkiem zadowoleniem zapięczętował w dużą kopertę kilka tysięcy rubli, wycisnąwszy pierwej na niej firmę swego domu.

Za pięć dni nadeszły te pieniądze do pałacu, do rąk Adelaidy, która zajmowała się administracyą całego domu.

Gdy Adelaida ten list otrzymała, uderzyła jej krew do głowy, i na chwilę dostała takiego zawrotu, że nie wiedziała, co się z nią dzieje. Przez tydzień rozmyślała nad tem, co zrobiła, i chociaż w gruncie była przekonaną, że zrobiła dobrze, jednak przychodziły czasem takie chwile, w których życzyłaby sobie, aby jej list żadnego skutku nie odniósł.

Zkąd jej takie życzenie przychodziło, nie mogła odgadnąć. Siliła się, aby to życzenie czemś umotywować, aby sobie stworzyć nowe argumenta przeciw temu, co zrobiła, ale dokonać tego nie mogła. To niewyraźne poruszenie duszy, które jej cały plan cofnąć nakazywało, wzięła poprostu za głos egoizmu ludzkiego. Groziła jej bowiem przez wykonanie tego planu utrata Olgi, jedynej towarzyszki samotnego życia, do której od lat kilkunastu już się była przyzwyczaiła. Otóż tą obawą wytłumaczyła sobie dzisiejsze poruszenie duszy, i postanowiła w interesie Olgi być wyższą nad egoizm swego serca.

Postanowienie to jednak nie odbyło się bez bolesnej walki. Siedm dni i siedm nocy potrzeba było walczyć z różnemi natrętnemi myślami i poruszeniami duszy, które z jej planem nie chciały się zgodzić. Do tego Olga dziwnym sposobem teraźniejszem zachowaniem się swojem budziła w niej jakieś uczucia, które jej wykonanie planu utrudniały.

Czy to było skutkiem nieobecności Edmunda, czy serce kochającej dziewicy nie mogło przeto na kogo innego przelać wszystkich swoich czułości, dosyć, że Adelaida stała się teraz ofiarą rozczulonej aż do szaleństwa prawie Olgi, i musiała z zimną krwią znosić uściski i pocałunki, które właściwie należały się komu innemu.

Adelaida zrozumiała to, wiedziała komu te uściski i gorące pocałunki przeznaczone były, mimo to musiała ulegać wrażeniu ciepła, które się z przepełnionego serca Olgi wydobywało. Czuła ten ożywczy płomień w jej pocałunkach, czuła go w jej szalonych uściskach. Jej własne serce rozgrzewało się tem płomieniem i wzajemnem biciem oddawało jej to szczęście. W takim razie bolesną była dla niej myśl, że biedna Olga ani przeczuwa, co się za nią dzieje, że te szafirowe oczy zajdą kiedyś łzami, a te gorące ramiona zastygną w zimny marmur...

I wtedy przychodziło jej do głowy, że może list jej pożądanego skutku nie odniesie, może tym sposobem plan się jej nie uda, a tak sam wypadek rzeczy uspokoi jej sumienie.

Co raz częściej przychodziła jej ta myśl do głowy, pieściła się nawet nią jak myślą dobrą, i byłaby nawet wszelką odmowę ze strony stryja heroicznie zniosła, gdyby tak się stało.

Ale zły jakiś demon usłużył jej w tej chwili, z Warszawy nadszedł list i pieniądze.

Słusznie więc uderzyła jej krew do głowy, bo ta krew wyszła z serca, chciała teraz wszystko zmazać, co się tam urodziło. Było to jednak już zapoźno. Przed nią leżały pieniądze, cóż było z niemi zrobić? Czyż można

było obrócić je na inne cele? Cóżby dawca tych pieniędzy powiedział, gdyby mu kto doniósł, że podany w liście powód był tylko zręcznym fortelem wyłudzenia kilku tysięcy rubli dla własnej potrzeby? Można mu było je odesłać, w takim razie kompromitowałoby to jej pozycyą i stosunek do Olgi.

Do odwrotu było już zapoźno. Pieniędzy potrzeba już było użyć w tym celu, w jakim przysłane były. Był to już fakt, a faktu tego nie można było cofnąć.

Na szczęście przyszły teraz Adelaidzie w pomoc jej wyobrażenia o życiu i szczęściu. Wszystkie argumenta, które przed tygodniem do tego kroku ją popchnęły, zjawiły się znowu przed nią w zdwojonej potędze.

Wyrozumowała sobie, że to przecież szczęście Olgi stanowi, chociaż w pierwszej chwili nie wiedziałaby o tem, że postępowanie takie jest godne prawdziwej bohaterki.

Adelaida wyprostowała się, wzięła list z pieniądzmi i weszła do pokoju ojca.

Przygarbiony staruszek siedział w oliwkowym surducie przy stoliku, i patrzał przez lupę na miniaturę malowaną na kości słoniowej.

Adelaida stała jakiś czas za plecyma ojca, i smutna patrzała na jego twarz pomarszczoną, na której malowała się żądza wynalezienia Rafaela lub Rubensa.

Dotknęła go lekko ręką.

— Nie mogę dobrze złożyć tego monogramu — rzekł do niej ojciec — chociaż widocznie malowany jest na tym krzaku...

— To liść paproci! — odpowiedziała Adelaida z westchnieniem.

— Paproć... paproć, to szczęście mówią ludzie.

— Jeśli dla nas to szczęście nie świta — mówiła z powagą Adelaida — to trzeba przynajmniej zająć się szczęściem cudzem.

Rzekłszy to usiadła Adelaida na krześle i położyła przed sobą na stoliku list z pieniędzmi.

Pan Albert ujrzał pięć pieczęci i ciekawie spojrzał na córkę.

— Przedewszystkiem chciałabym — rzekła Adelaida — ażeby ojciec z uwagą mnie wysłuchał. Chodzi tu o rzecz nie małej wagi.

— Słucham cię, moje dziecię — odparł pan Albert, i miniaturę wraz z lupą położył na stole.

Adelaida milczała chwilę.

— Czy nie zastanowiłeś się kiedy, ojcze, nad Olgą? — zapytała po niejakim czasie z twarzą zarumienioną.

— Nad Olgą? — powtórzył staruszek z widoczną niechęcią, bo był pewny, że mowa będzie o jakich starych obrazach.

— Tak jest, nad Olgą. Zdaje mi się, że to jest naszym obowiązkiem, myśleć o niej.

Pan Albert poskrobał się w głowę.

— Nie wiem, do czego zmierzasz.

— Olga jest córką Burskiego. Gdyby jej nieboszczka matka nie była wzięła z domu ojca, gdyby była ją Burskiemu zostawiła, byłaby dzisiaj może żoną leśniczego lub gorzelnika, byłaby szczęśliwą i zadowoloną ze swego losu.

— Prawda, prawda; cóż ztąd wypływa?

— Ztąd wypływa, żeśmy ją z zakresu jej szczęścia

wydarli, żeśmy jej dali wychowanie nad jej stan, zrobiliśmy z niej damę wielkiego świata, która się słusznie swego pochodzenia i ojca wstydzi.

— Nigdy tego u niej nie widziałem.

— Trudno, aby to wszystkim okazywała, lecz kto chce widzieć, ten obaczy. Czyż Burski nie ucieka zawsze, gdy Olga w towarzystwie naszem się bawi, a ktoś z gości nas nawiedzi? Czyż wtedy i Olga nie kieruje w taki sposób rozmową, aby oczy gościa od swego ojca odwrócić? Jestto bardzo naturalnie; ona przy ojcu, a ojciec przy niej, jest sprzecznością.

Pan Albert milczał. Patrzał w tej chwili ukradkiem na córkę, i oliwkowy swój surdut porównywał w duchu z okazałym rannym strojem Adelaidy.

— Ojciec jest zawsze ojcem — rzekł pocichu.

— O to nikt spierać się nie będzie — mówiła dalej Adelaida — ale w stosunkach towarzyskich, w życiu z ludźmi, ma ojciec dla córki takie same obowiązki, jak córka dla ojca.

Zmarszczki na twarzy pana Alberta zagłębiły się jeszcze więcej. Czuł wyrzuty sumienia, że te słowa córki i do niego się stosują. I on dogadzając chwilowej fantazyi, której ostatecznym celem był tylko on i żona jego, ale nie córka, tułał się po zagranicy, bo tam nie przeczono mu przywłaszczonego tytułu, ale nie myślał o dziecku swojem, któremu przez marnotrawstwo świat zawiązał. Gdyby Adelaida miała dzisiaj ten posag, który on wziął za żoną swoją!

Westchnął biedny staruszek i cichym głosem odpowiedział: — Ojciec dla swego dziecka zawsze ma najlepsze

chęci. Któż może odgadnąć, kiedy te chęci nie są szczęśliwe?

— Szczęśliwy, kto może swemi chęciami kierować, choć w takim razie trafia go tem większa odpowiedzialność.

— Odpowiedzialność, mówisz? jestto wyraz srogi!

— Właśnie w tem zależy cała kara tej odpowiedzialności, że ten wyraz jest srogi i boli.

Pan Albert ciężko westchnął.

— Inaczej przedstawia się rzecz — mówiła dalej Adelaida — gdzie tej odpowiedzialności nie ma.

— Gdzie tej odpowiedzialności nie ma! — powtórzył bez myśli pan Albert i zadumał się.

— Burski przecież nie jest odpowiedzialnym za to, że się nie urodził z tytułem i nie odziedziczył milionów! — mówiła dałej Adelaida z cierpkością.

— Któż tego żądał kiedy od niego? — nieśmiało zapytał pan Albert, bawiąc się połą oliwkowego surduta.

— Tego od niego nikt nie żądał — z ironią mówiła Adelaida — bo nie wszyscy mają obowiązek przodowania drugim.

— Prawda, prawda — cicho szeptał pan Albert.

— Nie wszyscy odziedziczają tytuły i majątki, aby niejako stać na świeczniku społeczeństwa.

— Słusznie, słusznie!

— Takiego przywileju nie wyrzeka się przecież nikt dobrowolnie.

— Tak, tak!

— Wyjąwszy, jeźli przez własną winę upadnie z wyższego szczebla, pozbywszy się gruntu pod nogami...

— Adelaido! Nie wiem, do czego to wszystko zmierza..

— Wtedy bowiem dopiero ludzie z niższej warstwy zajęliby słusznie nasze stanowisko...

— Cóż to ma do rzeczy, o której chciałaś mówić?

— To miało dowieść, że Burski właściwie nic nie zawinił względem swojej córki, że obecnie na niższym szczeblu od niej stoi, ale my zawinili, że ją zbyt wysoko podnieśliśmy, nie bacząc na to, gdzie ojciec stoi.

— Alboż to poraz pierwszy się wydarza, że dzieci wyżej od rodziców stoją? Czyliż codziennie nie ma przykładów?

— Trzeba tu coś rozróżnić. Dzieci wychodzą wyżej od rodziców, bo taki jest ruch społeczeństwa. Dobijają się lepszego od rodziców stanowiska i lepszego chleba. Inaczej ma się rzecz z kobietą. Córka, nie odbiega prawie nigdy sfery swoich rodziców. Jeżeli się to kiedy stanie, to należy do wyjątków. Córka odbiegająca wychowaniem i nauką rodziców, może tylko to robić dla lepszego kawałka chleba, ale szczęścia właściwego na tej drodze nie znajdzie. Może w najlepszym razie zostać nauczycielką, a ten chleb twardy nie zastąpi jej nigdy szczęścia, własnej rodziny.

— Przecież Olga...

— Olga wychowaną jest na damę wielkiego świata. Myśmy rzucili ją w ten świat, do którego ona nie należy. Ona widzi dzisiaj anormalne swoje położenie, boleje nad tem, ale odmienić go nie może.

— Cóż my jej możemy poradzić w tej mierze?

— My jej radzić nic nie możemy, ale powinniśmy się mieć na baczności, aby za tę krzywdę jej wyrządzoną nie spadła na nas kara zasłużona.

— Kara zasłużona? Co za kara?

— Myśmy ją wyrwali z jej sfery, ona może przeto kogoś nam wziąć z familii.

Pan Albert rzucił się na krześle.

— Cóż tam znowu mówisz? — zapytał z niezwykłą energią.

— Czyż ojciec tego nie widzisz?

— Co mam widzić? Nic nie widzę!

— Przecież Edmund...

— Edmund? — powtórzył pan Albert i wstał z krzesła.

Przeszedł się kilka razy po pokoju. Adelaida patrzała za nim z uwagą. Twarz miała znużoną, oczy przygasłe. Widać, że ta scena zmęczyła ją niemało.

Pan Albert chodził niejakiś czas po pokoju. Potem zatrzymał się, potarł ręką po czole i rzekł:

— Teraz mi coś świta w głowie. Szymek opowiadał mi...

— Ojciec wziąłeś to za zwiady muru i pałacu, z której strony miał Edmund szturm przypuścić z chłopami do naszego próżnego skarbcu.

— Wiesz, że nieraz nawet śniło mi się o tem.

— A to było tylko krążenie wkoło ukochanej...

— Głupstwo, nie ma o czem mówić!

— Dla czego ojciec nazywa to głupstwem? Czyż Olga zasłużyła sobie na to, aby to głupstwem nazwać?

— Dla tego nazwałem to głupstwem, bo wiem z doświadczenia, że takie amory kończą się płaczem jednodniowym z jednej strony, a dobrym sygarem z drugiej.

Adelaida potrząsła głową. Pan Albert rozgrzany mówił dalej:

— Alboż to pierwszy i ostatni romans podobny z biedną panienką? Alboż to Edmund nie wie, kim jest, i jakie

względem familii swojej ma obowiązki?.. Nie, nigdy temu nie uwierzę, aby miał się tak daleko zapomnieć...

— Zastanawiałam się bliżej nad tem. I ja tak myślałam jak ojciec, ale byłam zmuszoną te myśli porzucić. Edmund jest dzisiaj w stanie wszystko zrobić, bo nie jest dzisiaj panem swojej woli i zimnego zastanowienia. Ojciec wiesz, jaką rolę wziął teraz na siebie, i jacy ludzie go otaczają. Ci ludzie mogą go pochnąć we własnym interesie swoim...

— Nie mów dalej! Byłoby to wielkiem nieszczęściem! On jest prawie biedny...

— Milczeniem nie odwrócimy nieszczęścia.

— Trzeba się z nim rozmówić.

— Mówiłam już z nim zdaleka... Nie da sobie ani słowa powiedzieć. Mówił, że wszystkie herby i klejnoty rodzinne odda za kilka chwil szczęścia!.. Chciał iść do ojca i prawdopodobnie wyznać swoje zamiary... Szczęściem, że coś mu przeszkodziło, że wyjechał...

— A jak wróci?.. Mój Boże, otóż gotowe nieszczęście! A śniło mi się tej nocy, że ten diabeł czerwony, który mówiąc nawiasem niezawodnie jest Michała Anioła, chociaż monogramu dotąd nie znalazłem... że ten diabeł czerwony...

— Tutaj trzeba coś radzić.

— Radzić, cóż chcesz radzić? Jakaż rada?

— Radę tę ułatwił nam stryj August — wyrzekła zwolna Adelaida, kładąc rękę na liście z pieniędzmi.

— August... kochany August! Zkądże on się dowiedział?

— Uważałam za stosowne, coś mu o tem nadmienić.

— Zacna córko! Ty więcej czuwasz odemnie...

— Otóż stryj August przysłał w tym celu kilka tysięcy rubli...

— Kilka tysięcy rubli?... Cóż chcesz rublami robić?

— Chcę po części wrócić Oldze to szczęście, któreśmy jej nielitościwie zabrali, wychowując ją na wielką stopę.

— Czyż to się da rublami załatwić?

— Burskiemu trzeba dać sposób polepszenia swojej pozycyi i zbliżenia się przeto więcej do córki.

— Jakże chcesz to zrobić?

W tej chwili ozwały się przez otworzone drzwi z pokoju Adelaidy melancholijne akordy cytry, a do nich zwolna mieszał się cichy, sympatyczny spiew Olgi.

Adelaida poczuła gorąco na twarzy. Wstała, zamknęła starannie drzwi od galeryi, a przysunąwszy krzesło swoje do krzesła ojca, zaczęła z nim cicho rozmawiać.

Rozmawiała długo, tak prawie długo, jak trwała piosenka Olgi.

ROZDZIAŁ XI.

Stary Burski był właśnie w jednym z owych paroxyzmów, w którym już mieliśmy sposobność go widzieć.

Skazany na samotność, bo córki nie mógł przez cały dzień mieć przy sobie, rozrywał się nieustanną pracą, chodząc po polach i lasach. Najgorzej dawała mu się czuć niedziela. W niedzielę, dawnym obyczajem, spoczywała wszelka robota, a nawet wszystkie sprawy gospodarskie. Nie wolno było nawet porachunku robić, ani nawet ze służbą nad czemś się naradzać. Taki zwyczaj święcenia dnia bożego zaprowadzono od dawnych czasów.

Gdy więc nadeszła niedziela lub święto jakie, stary Burski był bliskim rozpaczy. Wszystkie jego uzasadnione i wymarzone zgryzoty stawały wtedy przed nim i żądały od niego, aby się z niemi rachował.

Stary ekonom odpędzał te zgryzoty jak mógł od siebie. Odpędzał je pacierzem, krzyżem świętym, skrytym płaczem albo kieliszkiem wódki. Czasem skutkowały te specyfika, ale często nie pomogły, a wtedy był Burski bliskim rozpaczy, i nieraz nawet zamyślał obwiesić się na wystającym ze ściany haku, na którym niegdyś za życia nieboszczki żony wisiał zegarek z kukułką.

Najczęściej w tej ostatecznej chwili, jakby anioł zesłany z nieba na ratunek, zjawiała się Olga, a stary

Burski czując jej uścik gorący, zapominał o haku i płakał z radości, że mu Bóg dał taką córkę. Gdy jednak bliżej nad tą córką pomyślał, gdy dłuższy czas w nią się wpatrywał, uczuł biedny, że właśnie ta biedna córka jest powodem, że o haku myślał.

On ją pastradał, gdy była dzieckiem, a gdy znowu do niego przyszła, już nie mógł być dla niej ojcem w całem znaczeniu tego słowa. Zdawało mu się, że ona mu łaskę wyświadcza, nazywając go jeszcze czasem ojcem swoim, i starał się ze swojej strony, aby ta ofiara własnego dziecka jak najrzadziej się powtarzała. On czuł sam, że to dziecko jego zanadto go odbiegło, że już zą niem nie zdąży, choćby gorzał z pragnienia.

W takim razie widział czarną przyszłość Olgi, widział ją na łaskawym chlebie, który w gruncie nie jest smaczny, widział na łasce drugich, bo zacny a pracowity człowiek nie odważy się podać ręki takiej pani na całą drogę żywota.

Ten rak pożerał ustawicznie wnętrzności jego, i wcale się dziwić nie trzeba, jeźli nieraz w szaleństwie wzywał złych duchów, aby mu odkryły skarby zakopane, za co im obiecywał własną duszę w wieczyste posiadanie.

Ponieważ pragnienia takie zakopanych skarków przychodziły mu najczęściej w niedzielę podczas nieszporów, to też żaden ze złych duchów nie mógł przyjść o tej porze, w której po domach bożych modlono się i spiewano.

Przyszedł jednak ktoś do niego i silnie we drzwi zapukał.

Burski zerwał się z ławki, bo jakkolwiek życzył sobie rozmówić się z złym duchem, jednak zmieszał się niemało, gdy usłyszał gwałtowne pukanie.

Był to stary Anatol, w wytartej liberyi. W zażyłości z Burskim uderzył go silnie po ramieniu, chciał nawet to samo w kark powtórzyć, gdy tenże mu się wymknął i kilka kroków przed nim obronną zajął pozycyą.

— Prędko na górę! — zawołał Anatol podnosząc wytarty rękaw do powały.

— Cóż tam znowu? — odfuknął Burski — dziś niedziela! Przecież ten dzień ma człek dla siebie.

Anatol był już na schodach pałacu. Mrucząc zdążał Burski za nim powoli, odkrząkując i prostując swój ubiór.

Na pierwszem piętrze czekał na niego uroczyście pan Albert. Nawet oliwkowy surdut miał teraz połysk uroczysty, zapożyczony od zachodzącego słońca, które przez zapylone szyby rzucało złote swoje promienie.

Gdy Burski swego pryncypała w tak uroczystym nastroju ujrzał, zapomniał o swoich umartwieniach, a wyprostowawszy się stanął nieruchomie przy progu.

Pan Albert miał minę wielkiego dyplomaty. Patrzał czas niejaki na Burskiego, który spocił się pod tym wzrokiem, bo przypomniał sobie, że wczoraj pozwolił biednej wdowie ze wsi wziąć sobie powaloną sosenkę z lasu.

Otóż tę sosnę widział teraz w oczach pana Alberta.

— Jak długo służysz tutaj? — zapytał z powagą pan Albert, nie spuszczając z niego oczu.

— Dwadzieścia sześć lat i trzy miesiące! — odpowiedział Burski, czując mrowie po całem ciele.

— To spory kawał życia! Służyłeś wiernie...

— Wiernie, jak Bóg widzi... wyjąwszy tę wczorajszą sosenkę, którą wiatr powalił...

Burski był teraz usposobiony do złożenia generalnej

spowiedzi, zaczynając od końca. Ponieważ spowiedź taka pokrzyżowałaby plany pana Alberta, wypuścił więc historyą wczorajszej sosny lewem uchem i przerwał staremu słudze:

— Gdy się mysz do kościoła dostanie, to musi czasem liznąć łoju z lampy... mniejsza o to; ale powiedz mi, czy pomyślałeś kiedy o twojej starości?

Burskiemu stanęły łzy w oczach.

— Czyż ja już nie stary? — zapytał miłosiernie.

— Tak, starym jesteś, ale możesz być jeszcze starszym, a wtedy zdałby się jaki ciepły kącik.

Burski machnął ręką i spuścił głowę na piersi.

— Na cmentarzu! — wyszepnął zcicha.

Pan Albert przestraszył się tego słowa. Postąpił krok wtył i oparł się o biurko.

— Na cmentarz wszyscy pójdziemy — rzekł ponuro — ale kiedy jeszcze w piersi serce się kołace, to powinniśmy jeźli nie o sobie, to o dzieciach myśleć. Masz córkę, jakimże jesteś ojcem, jeźli o jej przyszłości nie myślisz?

Burski spojrzał na pana Alberta, jakby go nic nie rozumiał. Zdawało się prostaczkowi, że ojciec Adelaidy w taki sposób mówić nie może, że on coś innego chciał powiedzieć, tylko niejasno się wyraził.

— Czy mnie nie rozumiesz? — rzekł po chwili pan Albert. — Powiedziałem do ciebie, że każdy ojciec ma obowiązek myśléć o przyszłości swoich dzieci. Przecież trzeba tym dzieciom coś zostawić, coś im dać, tak samo jak myśmy od rodziców także coś wzięli.

Burski patrzał ciągle na pana Alberta. Obracał swoje cebulaste oczy z jednej strony na drugą, ale nigdzie nie znalazł konceptu do odpowiedzi. Jakiś zły duch szeptał

mu ustawicznie do ucha, aby wzajem pana Alberta zapytał, co on wziął, a co zostawi córce swojej?...

Odpędził jednak w sam czas pokusę i odparł:

— Gdyby dziecko moje było inaczej wychowane, możebym mu co zostawił, ale tak... tak jestem jak kurka, którą kaczęta wysiedziała. Czyż ona może pójść za kaczkami na wodę?..

Burski roztarł w oku łzę.

— Otóż właśnie chcę z tobą o tem mówić — odparł pan Albert — i cieszę się, że sam mi sprawę ułatwiasz.

Burski z uwagą spojrzał na mówiącego.

— Więc przyszłość twego dziecka nie jest ci obojętną?

— Gdybym tylko mógł się zdać na co temu dziecku!

— Przyszedłeś do tego przekonania, żeby lepiej było, gdyby córka twoja była została tam, gdzie się urodziła?

— Ach, wielmożny panie, o tem nie ma już co mówić!

— Prawda, że nie ma co mówić, bo się stało, a ja nawet sam sądzę, że się stało źle.

Burski pokiwał głową.

— Otóż to złe trzeba jakoś naprawić, a ja czuję obowiązek do tego.

— Na to nie ma rady!

— Rada się znajdzie, jeźli są pieniądze.

— Pieniądze?—powtórzył Burski i wpatrzył się w pana Alberta w tem mniemaniu, że zwaryował.

— Mam zamiar wynagrodzić twoję długoletnią służbę, jednak pod tym warunkiem, aby przez to otworzyć jaką lepszą przyszłość dla Olgi — wyrzekł uroczyście pan Albert.

Burskiemu stanęły w krąg oczy. Patrzał i patrzał, ale w tej chwili nic nie widział przed sobą.

— Chcę — mówił dalej pan Albert — abyś pozycyą swoję poprawił w ten sposób, żeby Olga stosownie do swego wychowania mogła wyjść za mąż.

Burski rozśmiał się dzikiem śmiechem.

— To być w żaden sposób nie może — odpowiedział ze łzami w oczach — ekonomskiej skóry nikt ze mnie nie ściągnie, a przecież Olga musi mieć ojca.

— A gdybyś naprzykład przyszedł do jakiejś wioski... wiosczyny... wioseczki — ciągnął powoli pan Albert.

Burskiemu uderzyła krew do twarzy. Posiniał cały podniósł do góry ręce kurczowym ruchem, a z krótkich popękanych palców wysunęły się ostre paznogcie, jak szpony u jastrzębia...

— Wioski.. wioszczyny.. wioseczki? — powtórzył z uśmiechem szaleńca, podczas gdy łzy jak groch kapały mu po twarzy — wiosczyny... wioseczki...

— Tak wioseczki, chociażby to był tylko tytuł dziedzica. Dzisiaj pozory znaczą bardzo wiele. Nikt nie patrzy na dno kieszeni, byle tylko kieszeń była. Ale bez kieszeni to wara wystawiać nos do ludzi!..

— Wioski.. wioseczki!.. powtarzał jakby w obłąkaniu Burski.

— Do córki dziedzica wioseczki mógłby nawet ktoś z waszecia przyjechać... nawet powozikiem.

— Powozikiem! — powtarzał Burski jakby bez myśli.

— A zresztą, kto wie, ktoby przyjechał... możeby przyjechał nawet...

— Cyt! — zawołał Burski i rozśmiał się — cyt, aby go nie spłoszyć! Nie trzeba płoszyć!

— Tylko we własnym interesie musisz jeden warunek wypełnić, bo bez tego cała sprawa upadnie.

Burski położył rękę na sercu na znak, że przysięga.

— Trzeba, abyś się ludziom zgubił. Abyś tak wyjechał, żeby śladu po tobie nie znaleźli. Musisz zatrzeć za sobą to wszystko, czem dotąd byłeś, aby się nikt o tem nie dowiedział. Wypłyniesz w oddalonych stronach nagle z ziemi jako człowiek nowy, i nikt nie powinien się turbować o twoję przeszłość. Inaczej córka twoja nie może być tem, czem być zasłużyła. Rozumiesz?

— Ściągnę skórę z siebie, aby mnie ludzie nie poznali, aby dziecku memu nie zagradzać drogi do szczęścia. Przepadnę, że ani leśniczy, ani gorzelnik nie będą wiedzieli, czy się powiesił, czy diabeł go porwał!

— Tak, tak... pod tym warunkiem, to jest pod warunkiem szczęścia twego dziecka, mogę ci to dać.

Tu wyjął pan Albert sporą paczkę banknotów, aż Burskiemu oczy na wierzch wylazły.

— Wielmożny panie — ryknął płaczem — a czemże ja na to sobie zasłużyłem! To miłosierdzie Boga przedwiecznego!...

— Tu masz wycinek z gazety, że na drugim końcu Karpat, na Beskidach, jest wioska, której tytuł dziedzictwa można nabyć za parę tysięcy, a reszta pozostaje przy ziemi... Nie jest to wiele, ale jesteś — dziedzicem!.. Rozumiesz? Dziedzicem!..

Jeszcze czas niejaki rozmawiał w ten sposób pan Albert ze starym Burskim, który coraz więcej od zmysłów odchodził z wielkiego szczęścia.

Dopiero po godzinie mógł Burski być we własnej izdebce, i tam pofolgować wezbranym uczuciom.

Zawołał Olgę, zamknął starannie sień, drzwi i okna, a nawet i komin zasunął.

Olga była przyzwyczajona do dziwactwa ojca, ale teraz uczuła jakąś trwogę.

Gdy Burski już szczelnie wszystko pozamykał, przystąpił do córki i krzyknął jej do ucha:

— Jestem dziedzicem!

Olga przestraszyła się. Burski mignął jej paczką banknotów przed oczyma.

— To dla twego szczęścia, moje dziecko — rzekł z rozczuleniem i rozpłakał się.

— Zkądże te pieniądze? — zapytała z trwogą Olga.

— Za dwadzieścia sześć lat służby wiernej! — odpowiedział ocierając oczy Burski.

Olga odetchnęła.

— Cóż mówił pan Albert? — zapytała.

— Mówił, aby kupić wioskę; ot tu masz kawałek gazety; mówił, aby to zrobić dla ciebie, bo inaczej nie możesz wyjść za mąż. A gdy będziesz córką dziedzica, to wtedy przyjedzie on w powozie...

Szkarłatny rumieniec wystąpił na twarz Olgi.

— Kto przyjedzie w powozie? — zapytała z bijącem sercem i położyła rękę na piersiach.

— Kto? — powtórzył w szale radości Burski — ty niby nie wiesz!.. Ten, co będzie... twoim... mężem — wyszepnął powoli do jej ucha.

Olga poczerwieniała jeszcze mocniej i zbladła.

— Któż o tem mówił? — zapytała po chwili z ciężkim oddechem.

— Pan Albert — szepnął jej znowu Burski do ucha.

Olga stanęła nagle rozpromieniona, ale stanęła nieruchoma jak posąg.

— To być nie może! — wyszepnęła zcicha, a przezroczysty zdrój łez wypłynął z jej oczu szafirowych.

— Zaklinam się na Boga i na nieboszczkę matkę twoję! — zawołał Burski i podniosł rękę do góry.

Olga wybuchła teraz głośnym płaczem.

— Płacz, dziecię, płacz! to łzy radości i szczęścia, one sprawiają ulgę zbolałemu sercu... płacz, bo trzeba wkrótce nam ztąd zniknąć, rozumiesz, dziecko, zniknąć.

— Jakto zniknąć? — zapytała szybko Olga.

— Pan Albert mówił, że ludzie są źli, a jak się komu do pięty przyczepią, to ich i diabeł nie oderwie. Otóż trzeba się od tych ludzi zgubić, daleko za nimi wypłynąć, wypłynąć dziedzicem, bez ekonomskiego batoga, aby tobie już nic nie mogli zarzucić, i aby potem mógł on przyjechać w karecie...

Olga rzuciła się na piersi ojca.

— A ja ci przysięgam, że potrafię być dziedzicem. Każę sobie felczerowi zdjąć skórę ekonomską, ubiorę się w pyszne sukno, i będę tak stąpał z góry, jak to panowie zwykli czynić...

— Ojcze, czy to tylko będzie dla mnie szczęściem? — szlochała Olga na piersiach ojca.

— Pan Albert wyraźnie... ale cyt o tem... wyraźnie mówił mi, że to tylko dla twego szczęścia robi, że inaczej nie mogłabyś być szczęśliwą... że są pewne przesądy... że nawet on nie mógłby przyjechać do ciebie, moja gołąbko!..

— Czyż on koniecznie tego potrzebuje?

— Jak cię kocham, że potrzebuje, bo każdy konkurent

woli wejść do dworu dziedzica, niżeli do domku ekonoma. Zaraz inna mina, inaczej ludzie mówią!..

Olga zwiesiła smutno głowę. Zaciężyła jej mocno w tej chwili, bo tyle myśli i marzeń zeszło się tam razem.

Cóż to wszystko znaczy? — pytała siebie. — Czyż to jest delikatny sposób pomocy, aby marzenia jej mogły się ziścić? Czyż to nie oczewista, że pan Albert dowiedział się o wszystkiem, i nie chąc ranić jej dumy, stara się w tak szlachetny sposób odsunąć niektóre konieczne przeszkody na drodze do jej szczęścia? Czyż to nie jest wyrafinowana delikatność, aby drugiemu dopomódz, a godności jego nie ubliżyć? Czyż to nie jest prawdziwa nić Aryądny, którą jej do ręki podano, aby z labyryntu uczuć swoich wyszła do mety?..

Przedtem widziała Olga wielkie przeszkody na drodze swoich marzeń, teraz dobroczynna ręka usuwała przeszkody, ale sama nie chce być widzianą.

Olga rozpłakała się po raz wtóry, ale były to łzy szczęścia i roskoszy. Dziękowała Bogu, że ludzie takimi stworzył, że w ich serca wlał tyle miłości, że czyniąc dobrze czynią to w ukryciu.

Postanowiła przyjąć ich miłość, ale przyjąć ją tak, jak ją oni dawali, potajemnie, nie obciążając jej długiem wdzięczności.

Ale dług ten zapisała głęboko w sercu swojem.

ROZDZIAŁ XII.

Od tej rozmowy ojca z córką upłynęły dwa dni, dni nieustannej gorączki i dziwnych wzruszeń.

Stosownie do warunków, postawionych przez pana Alberta, wybierał się Burski do wyjazdu z miejsca, w którém przeżył lat dwadzieścia sześć i kilka miesięcy.

Jakkolwiek prawdziwy powód wyjazdu ojca i córki miał dla wszystkich mieszkańców pałacu i oficyny pozostać tajemnicą, trudno jednak było staremu Burskiemu tego warunku w całem znaczeniu dopełnić. Wprawdzie leśniczemu i gorzelnikowi powiedział, że jedzie dla obięcia spadku po jakimś krewnym, wprawdzie i Moszko z karczmy na Rozstajnej podobną otrzymał odpowiedź, ale gdy propinator pałacowy dobrą wódeczką go poczęstował i jeszcze na zakąskę dał mu spory kawał piernika, Burski nie mógł wytrzymać, aby takiej gościnności nie odwzajemnić szczerością. Pociągnął więc żydka za pejsy do alkierza, wydobył z zanadrza paczkę banknotów i mignął mu tak zręcznie przed oczy, że propinator najmniej trzy razy tyle widział pieniędzy, ile ich było w rzeczywistości. Potem szepnął mu do ucha, że to dostał od pana Alberta, aby dla Olgi wieś kupić.

Propinator wziął się za brodę i pomyślał nad tem

chwil kilka. Wiedział o każdym groszu, który do pałacu wpływał, a nawet było to w jego interesie o tem wiedzieć. Zkąd się nagle taka sumka wzięła? Jaki był prawdziwy powód wyszafowania tych pieniędzy? Dlaczego dano je do rąk ekonoma, gdy w pałacu była wielka bieda?

Były to dla niego pytania, na które nie umiał odpowiedzieć. Pytania te miała dopiero pochwycić kiedyś opinia publiczna i na nie odpowiedzieć.

Tymczasem przygotowania do wyjazdu były dla całej służby pałacowej nierozwiązaną zagadką. To, co stary Burski opowiadał półgębkiem, nie odpowiadało ciekawości, która całą sprawę chciała widzieć jasną i przezroczystą. Nawet Anatol dał Burskiemu kilka poufnych szturchańców, aby coś od niego wydusić; ale Burski tym razem tak odważnie brwi nasrożył i wszelką podobną poufałość sobie wymówił, że stary lokaj musiał się cofnąć na swoje przedpokojowe stanowisko.

— Czy ty wiesz, do kogo mówisz, stary błaźnie? — krzynął mu Burski tak niespodzianie do ucha, że w niewytłumaczony dotąd sposób zdjął przed nim czapkę i dwa kroki odszedł od niego.

Olga opuszczała pałac z wilgotnemi oczyma, ale z wesołym uśmiechem na ustach. Jakaś skryta myśl paliła się w jej oczach i mimo łez zaschłych dodawała im blasku nadzwyczajnego.

Wkoło niej działy się rzeczy, które doskonale pojmowała i rozumiała.

Zaraz po rozmowie z ojcem pobiegła do Adelaidy i rzuciła się jej w ramiona, aby uściskiem bez słów powiedzieć jej, że już wie o wszystkiem.

Adelaida cofnęła się od tego uścisku. Zimny, obojętny uśmiech zaigrał na jej twarzy.

— Nie rozumiem cię — rzekła do niej — i nie wiem, jaki powód jest tej szalonej radości. Spodziewałam się, że uczujesz więcej żalu rozstając się ze mną...

Olga wybuchła teraz płaczem. Strumienie gorących łez polały się z jej oczu. Usta Adelaidy zadrgały, usiłowała uśmiechnąć się.

— Nie spodziewałam się takiego skutku żartobliwych słów moich — rzekła do niej odgarniając jej włosy z czoła — bo byłam przekonaną, że radość twoja z widoków szczęścia przygłuszy ból rozstania. Mnie to przystoją łzy takie, bo tobie otworzono drogę do szczęścia, a ja jeszcze tej drogi przed sobą nie widzę.

Twarz Adelaidy oblokła się smutkiem. Olga z całą namiętnością rzuciła się jej teraz na szyję.

— Będę się modlić do Boga, abyś i ty była szczęśliwa! — zawołała po namiętnym pocałunku.

Olga wierzyła w szczęście swoje. Ona czytała w oczach Adelaidy, że tam właśnie przesuwa się teraz obraz Edmunda, któremu jej dobroczyńcy ułatwiają do niej drogę w sposób tak szlachetny. Adelaida nie wspomniała jednak o tem ani słówkiem, ani nawet imię Edmunda nie przeszło przez jej usta, bo jakże mogło być inaczej?

Serce kobiety w pewnej fazie uczucia nie otwiera się przed nikim. Żadna, choćby najbardziej przyjaźna ręka nie dotknie się go wtedy, szanując wielką dobę wielkiego uczucia. Zwierzanie się z tem uczuciem przed trzecią osobą jest oznaką, że ten święty posłaniec nieba gotuje się do

wyjścia z chwilowego przybytku, lub że tam wcale nie przebywał.

Milczenie Adelaidy o Edmundzie, który według zdania Olgi był jedynym celem tej zmiany, uważała Olga za wysoką delikatność, i w sercu swojem była jej za to wielce wdzięczną. Jawne bowiem wytoczenie tej sprawy byłoby zawsze dla niej upokorzeniem. Powiedzianoby jej, że taka, jaką dziś jesteś, nie wystarczasz dla Edmunda. Trzeba, abyś pozycyą podniosła się wyżej do niego, a on uniknie wtedy skandalu, jakim w jego sferze jest podobne ożenienie się.

Myśl ta i tak była dla niej bolesną, a cóżby dopiero, gdyby ta sprawa była traktowana otwarcie?

W milczeniu więc Adelaidy i pana Alberta była wysoka wyrozumiałość, za jaką była im nadzwyczajnie wdzięczną. Tylko gorącemi uściskami i płaczem mogła z nimi mówić, mogła im okazać, że wié o ich skrytych intencyach. Półsłówka wypowiedziane przez ojca utwierdziły ją w tem mniemaniu, że to wszystko dzieje się, aby jej marzeniom nic w drodze stanąć nie mogło.

Tak sobie to wszystko wytłumaczyła Olga. Bolała wprawdzie na dnie duszy, że się rozstaje z domem, w którym się wychowała, ale na tem dnie duszy były także roskoszne marzenia przyszłości, które ten ból miarkowały. Na ustach więc Olgi, przez te dwa dni, obok łez świeżych i zaschłych był także uśmiech szczęścia, była nawet czasem wesoła piosenka.

Zdawało się Oldze, że jej tylko kazano teraz odegrać małą rolę, bo tego wymagała sytuacya, a po odegraniu tej roli zawiążą się napowrót dawne stosunki.

Była więc dosyć wesoła i nie ukrywała tego przed służbą. Zbierała się z całą spokojnością, i nie spodziewała się nawet teraz Edmunda, gdy po bliższem zastanowieniu się przyszła do przekonania, że Eumund o tej całej grze wie doskonale, i w tym zamiarze naumyślnie z domu odjechał, aby obecnością swoją nie psuć la mise en scene.

Żegnała się więc dosyć wesoło z tem wszystkiem, co jej tutaj dwudziestoletnie życie przypominało. Wszystkie pokoje, sprzęty, obrazy, a nawet czerwonego diabła pożegnała serdecznym pocałunkiem. Pożegnała kanarka i papugę, pożegnała ze smutkiem fortepian i to echo dla niej tak usłużne, które jej piosenki powtarzało nocną porą przy oświeceniu księżycowem. Ulubionej cytry nie żegnała, bo tę kazała Adelaida staremu Burskiemu zapakować i do kufra włożyć.

Stary Burski chciał tak ściśle dopełnić warunków swojej dotacyi, że zaraz na początku ułożył sobie plan zgubienia się ludziom. Chciał zaraz od najbliższych zacząć się gubić, od Anatola, leśniczego i Moszka z karczmy.

W tym celu ogłosił, że z pałacu rano po śniadaniu wyjedzie, a tymczasem zaraz po północy, przy świetle księżyca, postanowił wyruszyć.

I tak się też stało. Po herbacie, gdy służba na spoczynek się już udała, a w pokoju pana Alberta tylko Adelaida i Olga jeszcze czuwały, zajechał wózek Burskiego przed schody pałacowe, z których jak dwa duchy wyszły zakapturzone kobiety i w milczeniu na wózek siadły.

Była to Olga z wierną służącą. Na balkonie stała Adelaida jak zaklęta księżniczka czarodziejskiego zamku, i

w srebrnem świetle księżyca powiewała długą białą chustką.

Wózek zaturkotał cicho i zniknął w ciemnej alei.

Zaraz za aleą skręcił Burski na prawo.

— To polna droga! — szepnęła Olga z jakąś obawą.

— Wiem, moje dziecko — odparł przytłumionym głosem Burski — wiesz, że przedewszystkiem musimy.. zgubić się ludziom — chciał dodać, ale przez wzgląd na służącą musiał się powstrzymać. Olga jednak wiedziała, co chciał dopowiedzieć.

I dziwne wydało się Oldze to „gubienie się" starego ojca. Gdyby zbrodniarz uciekał od miejsca, gdzie zbrodnię popełnił, gdyby morderca chciał uniknąć widoku krwi, którą przelał nielitościwie, gdyby wreszcie złoczyńca, poczuwszy za sobą pachołków sprawiedliwości, chciał goniącym za nim trop zmylić: nie mógłby użyć większych środków ostrożności, jakich w wymarzonej swojej ucieczce używał teraz stary Burski.

Ucieczka Burskiego nie równała się ucieczce zbrodniarza. Ten ucieka tylko przed ręką karzącej sprawiedliwości — tamten uciekał... przed sobą!

Zaiste smutna, tragiczna ucieczka!

ROZDZIAŁ XIII.

Po wyjeździe Burskiego i Olgi zapanowała w pałacu taka atmosfera, jakby tam kto umarł.

Służba nie mogła sobie tak nagłego wyjazdu wytłumaczyć; a wnosząc, że powody do tego były nadzwyczaj ważne, w milczeniu patrzała na pana Alberta i Adelaidę.

Te milczące twarze były straszne, były nieznośne. Pan Albert zamknął się w swojej galeryi, ale Adelaida nie miała się gdzie zamknąć. Chodziła po budoarze, brała i odkładała książki, chciała grać lub spiewać, ale grać i spiewać nie mogła.

Jedyną jej pociechą w tem nagłem osamotnieniu mogło być wewnętrzne przekonanie, że zrobiła uczynek szlachetny. Ku takiemuż więc przekonaniu były teraz skierowane wszystkie władze jej duszy.

Wszystko, czemkolwiekbądź podpierała dawniej swoje rozumowania, zawezwała teraz na świadka przed swoje sumienie, i po dosyć bolesnej walce przyszła do przekonania, że to co zrobiła, było dla Olgi dobre.

Związek Olgi z Edmundem był wprost niemożliwym, a gdyby nawet Edmund jak bohater w powieści uwziął się z nią ożenić, w najbliższej przyszłości odsłoniłyby się im chmury nieszczęścia, których dzisiaj nie widzieli.

Gdyby przynajmniej Edmund był bogatym, to mógłby może sobie pozwolić tej fantazyi i za nią potem drogo zapłacić, kryjąc się po za granicą. Ale w takich okolicznościach, w jakich był dzisiaj, byłoby to dla niej i dla niego istnem zabójstwem!

Tak rozumowała Adelaida, i była pewna, że zraniwszy może zrazu jak chirurg serce Olgi, dała jej podstawę do prawdziwego szczęścia.

Argumenta szlachetne, chociażby były w stosunku do sumienia sofizmatami, mają tyle jeszcze uroku i siły, że mogą urojoną szlachetność zamienić w rzeczywistą.

Dla uspokojenia swego drażliwego sumienia szukała Adelaida szlachetnych pobudek w swojem postępowaniu.

I tak bawiąc się tą szlachetnością, przyzwyczajała się do niej coraz więcej, i stawała się w oczach swoich coraz więcej szlachetną.

O prawdziwym powodzie całego swego postępowania nie mogła nawet teraz pomyśleć. Nie myślała wcale o Edmundzie, nie myślała o jego miłości, bo na to obruszała się teraz cała jej istota. Myśl podobna byłaby teraz połamała kunsztowne rusztowanie, które wystawiła moralnie, aby siebie przed samą sobą usprawiedliwić.

To też gdy Edmund po trzech dniach przyjechał i cały rozgorączkowany wpadł do pałacu, Adelaida przyjęła go grzecznie, ale zimno.

— Gdzie Olga? — zapytał z niezwykłym wyrazem na twarzy.

— Gdzie teraz przebywa, nie wiem — odpowiedziała spokojnie Adelaida — bo Burski miał tam jechać, gdzieby się dowiedział, że jest co do kupienia.

— Jakto? I ty kuzynko mówisz to tak zimno, tak obojętnie?

— Obojętność, z jaką mówię, jest moją najwyższą zasługą w tym razie! Jestto dowodem, że nie mam egoizmu.

— Cóż nazywasz egoizmem?

— Egoizmem nazywałabym to, gdybym sobie życzyła, aby Olga na zawsze dla mojej przyjemności przy mnie została i całą przyszłość swoję mnie poświęciła.

Edmund słuchał ją z wyrazem, jakby nic nie rozumiał.

— Przecież zastanów się tylko, kochany kuzynie, jaką przyszłość mogła mieć przy mnie Olga? Wiesz, gdzie się urodziła, a wiesz, gdzie ją wychowanie postawiło. Przecież nikt z ludzi naszej sfery nie mógłby się z nią ożenić wtedy, gdy jej rodzony ojciec mieszka w izdebce ekonoma. A tak rozłączywszy się zemną, z ojcem, który służbę opuścił i kawałek pola nabędzie, łatwiej jej będzie znaleźć kogoś, który do niej się zbliży tem śmielej, że to już nie będzie atmosfera pałacu! Tutaj taki, za któregoby wyjść mogła, nie miał przystępu, a tam może łatwo o nią konkurować jaki mały dzierzawca lub oficyalista.

Edmund zagryzał usta aż do krwi. Spojrzał przeszywającym wzrokiem na Adelaidę. Twarz Adelaidy była spokojna, nie było na niej ani cienia żadnej przewiny.

Edmund przeszedł się kilka razy po pokoju. Adelaida wzięła tymczasem książkę do ręki.

— Jak to? — zawołał gniewnie Edmund — i ty w tej chwili... gdy ja... tu jestem, chcesz się zabawiać czytaniem?

— Bardzo naturalnie, jeźli ktoś zamiast rozmawiać ze mną, chodzi sobie po pokoju! — odpowiedziała chłodno Adelaida.

— Cóż będę rozmawiał, jeźli mi nie chcesz powiedzieć, gdzie jest Olga.

— Jesteś dzisiaj napastnikiem! Nie wiem, z kąd takie złe usposobienie z sobą przywiozłeś.

— Bóg świadkiem, że jechałem z innem usposobieniem!

— Cóż ja temu winna, że wobec mnie zmieniło się to dobre usposobienie w tak fatalne.

— Drażnisz mnie co raz więcej.

— Przecież nie rzucisz się na mnie z puginałem?

— Miałbym w istocie ochotę zamordować kogoś w tej chwili — z przymuszonym uśmiechem rzekł Edmund.

— Może i to niezadługo nastąpi! — odparła również z uśmiechem Adelaida — jak to się ojcu niedawno śniło!

— Co śniło się ojcu? — z zadziwieniem zapytał Edmund.

— Śniło mu się, żeś na czele chłopów wpadł do pałacu i wszystkich mordował.

Edmund groźnie spojrzał na Adelaidę.

— Czy się gniewasz na ojca za sen jego? — zapytała śmiejąc się Adelaida.

— Gniewam się na ciebie — odpowiedział Edmund — że to tak obojętnie wypowiadasz.

— Ah! Prawda! C'est le ton, qui fait la musique!

Adelaida roześmiała się tutaj srebrnym, czarującym śmiechem i poskoczyła do fortepianu, aby zdumiałemu kuzynkowi coś wesołego zagrać.

Edmund zrazu fukał się i dąsał, chodził niejakiś czas zamyślony po pokoju, a gdy stary Anotal do herbaty wszystkich zaprosił, wziął podaną przez Adelaidę rękę i do pokoju pana Alberta wyszedł.

Tym sposobem przeszedł Edmundowi pierwszy dzień nieobecności Olgi w pałacu.

Gdy póżnym wieczorem wrócił do domu, czekał go Mirski z tak ważnemi raportami, że aby go należycie wysłuchać, musiał wszystkie myśli swoje na te raporta skoncentrować.

W nocy gdy zasnął, zjawiła się przed nim Olga i wyrzucała mu, że tak mało myślał przez cały dzień o losie biednej, opuszczonej sieroty. Edmund tłumaczył się przed nią jak mógł, opowiedział jej całą swoję rozmowę z Adelaidą, opisał wszystkie szczegóły wspólnej z panem Albertem herbaty, przy której o niczem innem jak tylko o monogramach Rubensa i Rafaela rozmawiał, dodał jeszcze wkońcu ważne raporta Mirskiego, przed któremi wszystko inne ustąpić musiało. Olga przyjęła ze łzą to tłumaczenie się kochanka, pokiwała mu trochę rożowym paluszkiem i zaleciła poprawę.

Edmund chciał się szczerze poprawić, i w tym celu obudził się raniej niżeli zwykle, ale zaledwie oczy przetarł, już stał przed nim Mirski, aby go w ważnym interesie zabrać do miasteczka.

I tak przeminął dzień jeden, drugi i trzeci, a Edmund jeszcze nie miał czasu, aby sobie stosownie do zmienionej sytuacyi jakiś program ułożyć i nanowo do Olgi się zbliżyć.

Najmocniej to go uderzało, że Olga wyjeżdżając z pałacu nie zostawiła mu najmniejszej wiadomości o sobie.

Wprawdzie wiedział o tem Anatol, że Olga nim odjechała, miała z żydkiem pachciarzem jakąś krótką konferencyą, a potem widział na własne oczy w czapce żyda

liścik z niewyraźnym adresem do Edmunda. Ale pachciarz prawdopodobnie ten list zgubił, a Edmund nie miał teraz żadnego śladu, że Olga wyjeżdżając o nim pamiętała.

Martwiło go to i niepokoiło, ale nie mogąc sobie tego naprędce wytłumaczyć, postanowił przy najbliższym wolnym czasie dobrze i gruntownie nad tem się zastanowić. Nawałem bowiem spadły teraz na niego różne rzeczy, które uważał za obowiązki swoje pierwszorzędne.

Tymczasem poza nim zaczęła się ruszać opinia publiczna. Nagły wyjazd Olgi i Burskiego, i to wyjazd bez śladu, gdzie i dokąd, zaniepokoił niektórych ludzi, którym się zdaje, że muszą o wszystkiem wiedzieć. Ponieważ jednak o wszystkiem nie mógł nikt wiedzieć, zaczęto starannie zbierać materyały do uzupełnienia tego, o czem nie wiedziano.

Opinia publiczna ma w takim razie podziemne komunikacye, któremi wraz z kałem ulicznym sączy się także prawdziwa zdrojowa woda. Ponieważ jednak trudno jest wody od kału odłączyć, więc najczęściej to, co opinia daje, jest woni nieprzyjemnej.

Otóż najprzód dowiedzieli się ludzie, że między Olgą a Edmundem był stosunek miłośny. Liczne tego świadectwa pochodziły z ust służby pałacowej, która w takim razie jest zawsze nieomylną. Uzupełniając to mówiono dalej, że stosunek między Olgą a Edmundem nie podobał się w pałącu, mianowicie panu Albertowi, który wielce przestrzegał czystości starego rodu. A kiedy rzecz, jak mniemano, stała się już bardzo drażliwą, pan Albert użył nieobecności Edmunda, aby ten węzeł gordyjski przeciąć jednem zamachem. Zawołał więc córkę i ojca (niektórzy nawet powtarzali tę rozmowę) i zaproponował im pewną sumkę, jeźli sami ten nielogiczny stosunek zerwą bez skandalu.

Olga i Burski przyjęli propozycyą, schowali pieniądze i znikli z przed nosa zakochanego Donkiszota, śmiejąc się z niego śmiechem Sancho-Panzy, jeżliby mu przyszła ochota walczyć z wiatrakami.

Tak sobie opinia publiczna, bez żadnych względów ubocznych, wytłumaczyła całą tę sprawę. Były tylko drobne odcienia w zapatrywaniu się, ale ostatecznie wszyscy zgodzili się na jedno i to samo. Dziwnym sposobem mężczyźni stawali po stronie Olgi; twierdzili, że wyjeżdżając z pałacu płakała, że prawdopodobnie niesprawiedliwie z nią się obeszli; a po drugiej stronie grupowały się kobiety, które na biednej Oldze ani suchej nitki nie zostawiły. Utrzymywały uporczywie, że ona sama ofiarowane pieniądze do torebki schowała, aby sobie za nie gdzie męża kupić tak dobrze, jak swoje pretensye do Edmunda dobrze sprzedała.

Za kilka dni, gdy Edmund nieco od raportów Mirskiego się uwolnił, wpadły mu do ucha te wieści z wszelkiemi dodatkami prawdopodobieństwa.

Była chwila, że Edmund mógłbył pójść drogą bohatera. Z biciem serca wpadł do propinatora, który pieniądze miał widzieć u Burskiego, a pochwyciwszy go za pas szabasowy, omało co wnętrzności z niego nie wypuścił.

Przestraszony propinator pogmatwał niefortunnie to, co widział i wiedział, a chcąc ze strachu półgębkiem odpowiadać, wypowiedział rzeczy, które stokrotnie gorsze były od całej prawdy.

Edmund trącił żyda i puścił konie cwałem do pałacu.

W pałacu przyjęła go Adelaida spokojnym uśmiechem.

— Czy to prawda, że Burski otrzymał od was grube pieniądze? — zapytał z gorączkowym wyrazem na twarzy.

— Ojciec dał mu coś — krótko odpowiedziała Adelaida.

— Jak to? kilka tysięcy?..

— A cóż to jest za dwadzieścia sześć lat wiernej służby?

— Czy Olga wiedziała co o tych pieniądzach?

— Sądzę, że wiedziała.

— Czy to prawda, że wyjeżdżała z pałacu wesoła i spiewająca?

— Była dosyć wesoła. Czy spiewała, tego nie pamiętam.

— Anatol nawet mówił, że tańczyła po pokoju.

— Jeźli z Anatolem o tem rozmawiasz, to pocóż mnie się pytasz?

Adelaida odwróciła się tutaj od kuzynka i zbliżyła się do okna. Oparła się ręką i zadumana spojrzała w dolinę.

Edmund stał chwilę jakby bez przytomny. Główne podstawy tego, o czem ludzie mówili, były prawdziwe, ale czy wszystko było prawdziwe?

Nie, temu Edmund nie mógł uwierzyć. Serce tłukło mu się w piersi na samą myśl, krew uderzyła mu do głowy.

Nie, to być nie mogło, Olga nie mogła sprzedać go za paczkę banknotów, aby za to kupić sobie męża w lepszych warunkach! To źli ludzie tak wymyśleli, to być nie może.

Ale dla czegoż wyjechała bez pożegnania, nie zostawiwszy żadnej wiadomości po sobie? Dlaczegoż w tak tajemniczy sposób zatarto ślady za sobą, że ich w żaden sposób odszukać nie można?

Czasem ludzie tylko z niedołęstwa uwierzą w nieszczęście swoje, bo inaczej musieliby coś przedsięwziąć.

Edmund nie wierzył jeszcze teraz w nieszczęście swoje, nie wierzył, że Olga sprzedała go za paczkę banknotów, ale był już na drodze do tej wiary.

Ustawicznie szturmowały mu do duszy zapytania: dlaczego Olga odjechała, dlaczego na niego nie czekała, dlaczego wyjeżdżając była wesołą, że aż spiewała i tańczyła? Tak przecież kobieta nie robi, kobieta nie rozłącza się tak łatwo z tem, z czem wzrosła, nawet z kanarkiem i z papugą, z pieskiem i kotkiem.

Dlaczego to wszystko zrobiła Olga?

Pytania te stawały się coraz groźniejsze, a coraz słabszą była odpowiedź na nie.

Ludzie słabego umysłu nie lubią długo przebywać w sytuacyi dramatycznej. Męczy to ich siły niodołężne.

Edmund miał wiele dobrych i szlachetnych instynktów, ale wychowanie nie sformułowało tych w pewne zasady, jak się to zazwyczaj dzieje u ludzi jego kroju.

Cierpiał on w sercu wielką boleść, ale byłby może wdzięczny temu, ktoby go przekonał, że Olga rzeczywiście go sprzedała, i że w takim razie nie ma za czem tak bardzo rozpaczać.

Od chęci takiego przekonania do samego przekonania nie bardzo daleko. Przekonanie mogłoby go uspokoić, a brak tegoż zawieszał go między niebem a ziemią, wkładał na niego dosyć uciążliwe obowiązki walczenia z przeszkodami, a przedewszystkiem wytrwałości w tej walce.

Gdyby jeszcze ta walka przy nim się odbywała, ale szukać tej walki gdzie po bożym świecie, szukać jej prawie bez śladu, bez języka...

Być może, że takie myśli niedojrzały jeszcze w duszy Edmunda, być może, że jeszcze roznamiętnione serce nie przypuszczało tych myśli, ale Adelaida dostrzegła swem

okiem, że prędzej czy poźniej Edmund temi myślami swoje bohaterstwo zakończy.

— Cóż tam tak ciekawego widzisz w tej dolinie? — zgryźliwie zapytał Edmund — bo gniewało go, że Adelaida wobec jego wzruszeń była tak spokojną.

— Patrzę na potok — odpowiedziała spokojnie Adelaida — który tam z lasu z taką fantazyą wypływa, a pod naszym ogrodem tworzy brzydką kałużę.

— Cóż on temu winien, że mu położenie ziemi nie sprzyja?

— Prawda, rzeczy martwe zawisły od okoliczności, w jaki je przypadek rzuci.

— I ludzie podlegają tym samym prawom.

— Mylisz się kuzynku. Ludzie powinni panować nad okolicznościami. Tylko leniwi stosują się do prawa i niedołężni.

Edmund zacisnął zęby.

— Przecież nikt głową muru nie przebije! — odrzekł po chwili z goryczą.

— Mur trzeba z dala widzieć i pod niego nie przychodzić, jeźli kto ma słabą głowę.

— Nie wiem do czego kuzynka te słówka stosuje?

— Ćwiczę się w dialogu.

— Jesteś bez serca! — zawołał Edmund i tupnął nogą.

— A gdzież cię to serce twoje zaprowadziło? — rzekła Adelaida kładąc mu białą rączkę na ramieniu.

Edmund poczuł w oczach łzy. Widząc to Adelaida obróciła się szybko, aby tych łez nie widzieć, i usiadła do fortepianu. Zaczęła grać sonatę, którą zazwyczaj grywała Olga.

Edmund rzucił się na kozetkę. Wdzięczny był teraz kuzynce, że grała, bo miał czas pofolgować swemu sercu, które mu coś niedobrego obiecywało.

Serce to stawiało mu przed oczy różne wspomnienia tak niedawnych czasów.

Nie tak dawno jeszcze, jak w tym samym pokoju grała złotowłosa Olga, a z pod jej różowych paluszków tryskały tak niebiańskie tony!... Tam na stole leżała cytra, z tej cytry wychodziły nieraz jęki melancholijne, które tak słodko do duszy przemawiały...

Dzisiaj wszystko się zmieniło. Olga i szczęście jego gdzieś za górami; gdzież ich szukać? A zresztą czy warto uganiać za czemś, co nas samo porzuca?

Serce Edmunda spiewało mu teraz najpiękniejszą — elegią. Nad elegią nie umiał się wznieść!

Tymczasem sonata postępowała coraz dalej, akordy i tony rosły coraz więcej, coraz większy potok wypływał z pod palców Adelaidy, która nad tym potokiem melodyi i parafrazy panowała spokojna z twarzą zimną i nieruchomą...

W tej chwili otworzyły się drzwi od galeryi, i na progu okazał się pan Wojciech, a za nim pan Albert w oliwkowym surducie.

Adelaida zarumieniła się lekko i powstała. Edmund przerwał swoję elegią.

— Przepraszam — ozwał się z grzecznym uśmiechem pan Wojciech—przepraszem, żem przerwał sonata eroica.

— Pan jesteś muzykalny? — zapytała trochę zdziwiona Adelaida.

— Znam potroszę muzykę, a przedewszystkiem lubię

ją — odpowiedział pan Wojciech, a pomarszczona twarz starego człowieka wygładziła się przyjemnym uśmiechem.— Ale widzę jeszcze jednego amatora sonaty — dodał podchodząc do Edmunda i podając mu rękę.

Edmund ocknął się i uścisnął podaną rękę.

— Już to moja kuzynka wybaczy mi — odrzekł — jeźli się szczerze przyznam, że nie wiedziałem wcale, co grała w tej chwili!

— Prawda, prawda — odparł pan Wojciech — kto lubi burze i huragany, szum wody i łamot lasów, temu harmonijne tony nie przypadają do smaku.

Edmund spojrzał na pana Wojciecha trochę zdziwiony.

— Kuzyn nasz jest dopiero amatorem tych rzeczy — wtrąciła z uśmiechem Adelaida.

— Ach, nie ma nic gorszego jak amatorstwo — podjął pan Albert z oburzeniem — najmniej pięć lat życia straciłem dlatego, że tyle amatorów malowało obrazy. Cóżbym dał za jednego mistrza! A tu amator albo prosty wyrobnik! Wszystkie obrazy tak zwanych amatorów są obrzydliwe.

Edmund zmarszczył czoło i ozwał się:

— Stryj sprowadził rozmowę o amatorach na niewłaściwą drogę. Zdaje mi się, że pan Wojciech coś innego rozumiał, gdy te słowa wymawiał.

— Być może, kochany panie Edmundzie — odparł pan Wojciech z dobrotliwym uśmiechem — ale nie będziesz się za to gniewał na człowieka, który jest dwa razy starszy od ciebie.

Przy ostatnich słowach spojrzała Adelaida z uwagą na pana Wojciecha a potem przeszła oczyma na Edmunda, jakby ich porównywać chciała.

Edmund uśmiechnął się i ruszył ramionami.

— Już my się zrozumieli — zagadnął pan Wojciech podając mu rękę — ale to nie robi nas nieprzyjaciółmi.

— Zdaje mi się — odparł Edmund — że wszyscy jesteśmy w jednym obozie, różnimy się tylko barwą.

— A wierzaj mi, panie Edwardzie, że nie ma dla tegoż obozu większej klęski, jak kiedy sami swoi, rożniący się tylko barwą, między sobą bić się zaczną.

Edmnd zarumienił się.

— Winni są ci, którzy rozmaitość barw wprowadzają do obozu, na sposób autoramentów zagranicznych! — odpowiedział z rozdrażnieniem.

Pan Wojciech podstąpił ku niemu. Położył mu rękę na ramieniu i rzekł z uśmiechem doświadczonego człowieka:

— Znane mi jest prawo, panie Edmundzie, że młodzież z natury swojej musi się ruszać. Ale biada temu, kto ruch na nieznanej dobrze sile opiera! Siła ta może być albo za słabą, a wtedy łamie się i my wszyscy na dół upadamy, albo ma za wiele paliwa surowego, a wtedy może nastąpić zgubna dla nas wszystkich eksplozya.

Edmund myślał nad odpowiedzią czas niejaki.

— Domyślam się — odpowiedział po chwili — co pan masz na myśli, przemawiając do mnie w ten sposób. Ale mogę, co do mnie, temu wprost zaprzeczyć. Być może, że przez moich ludzi sięgnąłem na siebie jakie pozory, ale wręcz panu oświadczam, że za ludzi moich nie odpowiadam, chociaż im zupełną wolę zostawiam.

— Wierzę panu, i słowa honoru na to, coś powiedział, nie żądam.

Edmund zarumienił się. Spostrzegła to Adelaida.

— Zwracam uwagę panów — rzekła z uśmiechem — że jestem tutaj obecną, a rozmowa toczy się w sferze dla mnie niezrozumiałej i niemiłej.

— Najmocniej przepraszam — szybko ozwał się pan Wojciech, i mimo słabej nogi dosyć zręcznie podskoczył ku Adelaidzie—najmocniej przepraszam, że dopuściłem się tak ciężkiego grzechu. Ale piękna kuzynka przebaczy mnie i kuzynkowi, że razem zapędzili się na pole niewłaściwe!.. Wróćmy do muzyki.

— Już zapoźno — z śmiechem odparła Adelaida zamykając fortepian.

— Proszę do stołu! — zawołał w tej chwili Anatol.

— Otóż to najlepsze z wszystkiego — z śmiechem głośnym zawołał pan Albert — Anatol rozstrzygnął wszystkie spory i wszystkie gniewy załagodził.

Adelaida podała ramię panu Wojciechowi.

ROZDZIAŁ XIV.

W kilka dni po tym obiedzie siedziała Adelaida w białym kawtaniczku na kozetce i czytała dzienniki.

Koło południa otworzyły się drzwi zcicha.

— Czy ty Annetko? — zapytała Adelaida nie przerywając czytania.

— Ja, proszę pani — odpowiedziała jasnowłosa młoda dziewczyna z figlarnym wyrazem w oczach.

— Czy chcesz czego?

— Zapewnie panna będzie się ubierać.

Adelaida spojrzała na zegarek.

— Jeszcze tak wcześnie!

Annetka stała przy progu, jakby na coś czekała.

— Czego czekasz? — zapytała powtórnie Adelaida.

Annetka uśmiechnęła się, spuściła oczy w ziemię i zaczęła bawić się złotym pierścionkiem, obracając go wkoło palca.

Adelaida patrzała na nią z uwagą.

— Już widzę, że coś masz do mnie — rzekła z uśmiechem do służącej, która była jej faworytką.

—Żeby też panna wiedziała, co też ten strzelec przedwczoraj wygadał przed nami! Bardzo przyjemny człowiek, w zielonym mundurze jest mu bardzo do twarzy.

— Cóż mnie ten twój strzelec obchodzi?

— Strzelec mówił o swoim panu.

— O swoim panu? Cóż mógł o nim mówić?

— On mówił... ale ja się wstydzę powiedzić... mówił, że pan jego może... ożeni się z pannunią.

Adelaida upuściła dzienniki i roześmiała się na całe gardło. Śmiech jej był szczery i serdeczny.

— Co też ty Annetko mówisz! — zawołała trzymając się pod boki ze śmiechu — on przecież taki stary!

— Ja tak samo mówiłam strzelcowi, a on mi mówił, że jeden z jego panów był jeszcze starszy, a ożenił się z jeszcze młodszą od pannunci.

Adelaida śmiała się jeszcze, ale ten śmiech tracił już coraz więcej ton naturalny i serdeczny.

Nagle dwie zmarszczki przecięły głęboko piękne jej czoło.

— Czy z tem do mnie przyszłaś? — zapytała na pół gniewnie.

— Nie z tem — odpowiedziała nieśmiało faworytka — przyszłam z czem innem.

— Z czem?

— Z tem, że panna zapewne ubierać się będzie. Wkrótce może przyjedzie...

Annetka miała przy tych słowach w oczach coś figlarnego, jej piękne usteczka trzymały z przymusem coś za zębami.

— Któż może przyjechać? — rozkazująco zapytała Adelaida.

— Kto? — jąkała powoli Annetka — prawdopodobnie... pan Edmund.

Adelaida uśmiechnęła się.

— Zkądże wiesz o tem? — zapytała łagodniej.

— Mówił mi propinator, który widział się ze stangretem pana Edmunda — odpowiedziała Annetka.

Adelaida myślała chwil kilka. Potem powstała z kozetki, przejrzała się w zwierciedle i kazała Annetce się ubierać. Annetka przysunęła jej fotel do gotowalni.

— Czy mam włosy dzisiaj utrefić à la negritine? — zapytała Adelaidy trzymając w ręku gruby warkocz ciemnych włosów.

— Nie — odpowiedziała Adelaida patrząc do zwierciadla — rozwiniesz je wolno i puścisz poza uszy.

— Tak jak panna Olga nosiła?

— Ach, jak jesteś niezręczną! Szarpiesz mię... Tak.

— Gdzie też się teraz panna Olga obraca?

— Czy ci na tem tak zależy?... Znowu mnie szarpnęłaś!

— Była tak dobra panna!.. Czy też ona kiedy do nas przyjedzie. Ale nie, ona zapewnie nie przyjedzie.

— Z czegoż to wnosisz?... Ach co za nieznośny masz grzebień dzisiaj!

— Z tego wnoszę, bo człowiek przecież nie lubi szukać sobie zmartwienia. A ta miałaby wielkie zmartwienie!

— Jakie zmartwienie?

— Dowiedziałaby się, co źli ludzie mówią. Że też ludzie nie mają co lepszego robić, jak tylko innych obmawiać.

— Cóż mówią?

— Mówią bardzo brzydkie rzeczy, które naturalnie są nieprawdziwe. Mówią, że z panną Olgą miał się żenić pan Edmund, a że familia pana Edmunda w Warszawie sobie nie życzyła, więc przysłano Burskiemu pieniądze, aby Olgę z tąd zabrał i w świat za oczy wyjechał.

Adelaida zmarszczyła czoło.

— Głupi ludzie! ktoby tam zważał na to, co oni mówią!

— Przecież, proszę panny, jest to boleść, jeźli tak mówią!

— Któż może twierdzić, że panna Olga jest winną?

— Wszyscy są tego zdania, a to człowieka bardzo boli.

Adelaida rozdarła koronkę od kaftaniczka.

— Człowiek nigdy nie powinien zważać na to, co świat o nim mówi, jeźli tylko ma czyste sumienie — rzekła po chwili.

— Alboż to człowiek wie, kiedy ma czyste sumienie? Czasami można siebie odurzyć.

— Przecież panna Olga nie może tego, co mówią, brać na seryo. Gdyby o mnie jeszcze gorsze rzeczy mówiono, śmiałabym się z tego. Alboż to człowiek ma prawo jakie, aby o nim koniecznie dobrze mówiono? Tyle jest głupich i złych ludzi, czyż można uniknąć złych języków? Nie, jabym się śmiała, śmiała z tych złych języków.

— Tak to łatwo mówić, ale gdyby na pannę rzeczywiście takie nieszczęście przyszło...

— Ręczę ci, żebym się śmiała, śmiała do rozpuku! — z gorączkową żywością odpowiedziała Adelaida i rozśmiała się głośno i przeciągle, dając swojej fawoorytce wyobrażenie tego śmiechu, jakim śmiałaby się, gdyby o niej coś złego mówiła opinia publiczna.

Annetka w milczeniu trefiła dalej włosy. Adelaida wpadała w coraz głębsze zamyślenie.

— Czy podać różową sukienkę? W niej będzie dzisiaj pannie bardzo dobrze. Twarz jest dzisiaj trochę bledsza...

— Dobrze — odpowiedziała Adelaida i spojrzała z uśmiechem zadowolenia do zwierciadła.

— Różowy kolor i panna Olga zawsze lubiła — rzekła nawiasem Annetka otwierając szafę.

Adelaida patrzała czas niejaki zamyślona przed siebie. Jej czoło marszczyło się coraz więcej. Annetka zbliżyła się do niej z suknią różową.

— Jakaż to suknia? — zapytała Adelaida, jakby się przebudziła dopiero z zamyślenia.

— Różowa.

— Nie chcę różowej, daj mi białą spodnicę i jedwabną popielatą tunikę.

— W tej tunice wyglądasz pani tak poważnie, jak jaka niemłoda już mężatka.

— Daj mi ją dzisiaj.

Annetka z niechęcią usłuchała rozkazu pani.

Zeledwie draperya tuniki należycie była uporządkowana, gdy Anatol wszedł do budoaru i przybycie Edmunda zapowiedział.

— Radziłam suknię różową! — wyszepnęła ze smutkiem Annetka i tragicznie załamała ręce.

— Schowasz ją, jak przyjedzie ten stary pan ze strzelcem, z ironicznym uśmiechem odpowiedziała Adelaida i wyszła do saloniku.

W saloniku czekał na nią Edmund.

Na twarzy jego malowało się jeszcze rozdrażnienie, z jakiem powitał nowy stan rzeczy w pałacu po swoim powrocie.

Rozdrażnienie to malowało się na jego jasnej twarzy dosyć wybitnie. Czoło nad brwiami poczerwieniało, silne, nierówne rumieńce wystąpiły mu pod oczyma.

— Czy przyszedłeś, mój kuzynie, znowu mnie dręczyć

wybuchami jakichś ukrytych gniewów? — rzekła Adelaida podając mu rękę i uśmiechając się z niezrównanym wdziękiem.

— Jakże się nie gniewać — odpowiedział Edmund — jeżeli głupia opinia najdziwaczniejsze rzeczy o biednej Oldze rozpowiada, i do tego jeszcze miesza moje nazwisko?

— Cóż cię więc gorzej martwi, czy pierwsze czy drugie? — zapytała Adelaida patrząc na niego z uwagą.

— Jedno i drugie nie jest zabawne. Cóżbyś naprzykład, kochana kuzynko, powiedziała, gdyby ludzie jaki postępek twój jak najzłośliwiej sobie wytłumaczyli i po całym świecie roznosili, jak to teraz robią względem Olgi?...

Uśmiech zimny zadrzał na ustach Adelaidy. Przystąpiła do Edmunda, położyła rękę na jego ramieniu i rzekła:

— Twoje rozdrażnienie ma swój grunt w dzisiejszych stosunkach twoich. Wszedłeś pomiędzy ludzi i przejąłeś się ich teoryami. Oglądasz się za tak zwanym głosem publicznym i kokietujesz z nim jak z piękną, ale nie zbyt obyczajną kobietą. Radzę ci, nie zważać na tę wietrznicę.

— Głosu publicznego nie można lekceważyć, on może czasem kogo zabić!

Adelaida zmarszczyła brwi.

— Czemuż używasz słów tak dosadnych o rzeczy niewielkiej wagi? Głos publiczny może tylko tych zabić, którzy są jego niewolnikami. Ludzie, wyżsi stanowiskiem nad poziom tego głosu, nie zważają nigdy na niego, tylko powodują się w czynnościach swoich swemi zasadami.

— Niesprawiedliwość jednak złej opinii zawsze martwi. Ja naprzykład nie wierzę temu, aby powody tak nagłego wyjazdu Olgi były prawdziwe, jak o tem twierdzą źli

ludzie, jestem również przekonany, że i ty kochana kuzynko temu nie wierzysz...

— Ja o plotkach żadnych nic nie wiem, nic o nich nie słyszałam, a zatem nie mam potrzeby im wierzyć lub nie wierzyć.

Adelaida okazywała przy tych słowach coraz większe rozdrażnienie, z którem jej wcale nie było do twarzy. Brwi jej ściągnęły się, na czole zarysowały dwie głębokie zmarszczki. Uśmiech, który jej tyle nadawał uroku, znikł z jej twarzy, a natomiast zostawił jakiś surowy wyraz po sobie.

— Jeżeli tylko po to przychodzisz — ozwała się gniewnie — aby mnie drażnić jakiemiś przymówkami, których znaczenia nie rozumiem, to może lepiej będzie, gdy cię nie tak często widywać będę!

— Nie gniewaj się, kuzynko — odparł Edmund całując ją w rękę — nie odpowiadam w tej chwili za moje słowa, bo mnie serce boli na widok krzywdy.

— A cóż mnie to obchodzi? Jeżeli kto Oldze krzywdę wyrządza, to idź do niego. Że Olga wyjechała, nie ma w tem nic dziwnego. W pałacu czekało ją stare panieństwo a nic więcej. Trudno było wymagać od niej, aby dla naszej zabawy, dla rozpędzania nam nudów, dla czczej szermierki słów i zadośćuczynienia naszym chwilowym kaprysom poświęciła całe swoje życie. Wyszedłszy z łaski pałacowej, uściele sobie w świecie niezależne i stosowne dla siebie stanowisko, na którem może spotkać jakiego poczciwego człowieka, co jej rękę poda na całe życie.

Edmund drgnął tutaj, jakby go coś ukłuło, ale wymownej kuzynce nic nie odpowiedział.

ROZDZIAŁ XV.

Po tej rozmowie nastąpiła w pałacu i na folwarku dawna, jednostajna cisza, w której z jednej strony panował samowładnie duży, w jadalnym pokoju zawieszony żegar z olbrzymiemi liczbami godzin na okrągłej twarzy, a z drugiej stony niestrudzony nigdy Mirski, który niewyczerpany był w raportach o postępie gospodarki i innych rzeczy.

Regularnie kilka razy na dzień przychodził do dużego żegaru stary Anatol i patrzał na niego z uwagą, czy już nakrywać do obiadu, lub czy wołać państwa do herbaty. To stanowiło jedyny ruch w pałacu, w którym teraz było tak cicho jak w grobie.

Adelaida popadła w dziwny stan duszy. Uspokajając swoje tkliwe sumienie, wydobywała coraz więcej szlachetnych powodów, które ją zmusiły w ten sposób z Olgą postąpić, jak postąpiła. Ta nieustanna praca uszlachetnienia czynności swojej, a tem samem i uszlachetnienia siebie, wywarła ten naturalny skutek, że Adelaida nietylko w szlachetność swego postępowania uwierzyła, ale nawet uczuła się szlachetniejszą.

W takim stanie rzeczy, pierwszy a prawdziwy powód jej postępowania musiał się w głąb cofnąć. Zamiar jej względem Edmunda musiał teraz zupełnie odpaść, jako też na pozór zupełnie odpadł.

Adelaida nie mogła nawet teraz ani pomyśleć o tem, aby po odniesionem w ten sposób zwycięstwie nad Olgą chcieć nad Edmundem wszechwładnie zapanować. Ta myśl mogłaby rozwalić całe rusztowanie szlachetnych motywów, które tak mozolnie zestawiła, i odkryć niemiłe dno prawdy, którego widzieć nie chciała.

Wmówiła więc w siebie, że bez żadnych egoistycznych widoków postąpiła sobie, i że przytem względem Edmunda żadnych zamiarów nie miała. Było to dla niej tem łatwiej do uwierzenia, im z każdym dniem więcej się przekonywała, że za Edmunda ze względów materyalnych w żaden sposób iść nie może.

Nie chcąc więc teraz i nie mogąc zniewolić sobie serce Edmunda, jak tego niegdyś pragnęła, popadła w pewną apatyą nie tylko dla niego, ale nawet i dla wszystkiego, co się wkoło niej działo.

Zimno więc przyjmowała Edmunda, bez najmniejszego szafanku owej niewinnej zalotności, właściwej młodym kobietom. Była to prosta konsekwencya, do której zaszła drogą swego rozumowania.

To jednak zimne i nic nieobiecujące zachowanie się Adelaidy sprawiło na Edmundzie przeciwne wrażenie.

Edmund jak pierwej tak i teraz bywał często w pałacu. Czy to pochodziło z przyzwyczajenia, czy z potrzeby rozerwania się w samotności swojej, codziennie prawie kazał do wózka zaprzęgać i do pałacu jechać.

Z początku wyobrażał sobie, że robi to ze smutku, który mu w samotności mocno dokuczał. Obraz Olgi stawał mu nieustannie przed oczyma. Zbyt głęboko wszedł on do duszy, aby tak prędko mógł się tam zatrzeć. Nie-

pokoił go na każdym kroku i czynił mu wyrzuty, że fakt spełniony przyjął z taką samą cyniczną odwagą, z jaką czasem mocarstwa przyjmują najwidoczniejsze rozboje na innych narodach.

W tym smutku swoim jechał czemprędzej do pałacu, uspokajając się w duszy, że tylko w pałacu może o niej coś się dowiedzieć. W tej myśli i z tego powodu powtarzał zrazu wizyty swoje, i tak powoli przyzwyczaił się i do wizyt i do dzisiejszego stanu rzeczy.

Olga pozostała dla niego snem tylko i wspomnieniem czegoś roskosznego, co na chwilę zabłysło i zaraz zgasło. Nie stracił wprawdzie nadziei, że ta gwiazda kiedyś mu się pokaże, ale uznał za rzecz niemożliwą, szukać jej po szerokim świecie.

Była to tylko jaśniejsza strona tego widma. Odwrotna nie wydała mu się tak ponętną. Uporczywie siedziała mu myśl w głowie, że Olga mogła rzeczywiście zrzec się jego za pewne wynagrodzenie, jeźli ludzie tak wiele o tem mówią. Myśl tę brzydką starał się wprawdzie z duszy wyrzucić, ale walka z jej uporczywością wyczerpywała jego siły i lepsze instynkta.

Zdał się więc na fale życia i wyczekiwał w pewnej bezczynności, gdzie go te fale dalej zaniosą.

Wprawdzie z tego życia zabierały mu wiele raporty i narady z Mirskim, ale zostało się jeszcze coś na wizyty w pałacu.

Być nawet może, że narady z Mirskim były tego rodzaju, które wszystko inne w głąb usuwają jako rzeczy podrzędne. Być może, że Edmund zajęty takiemi sprawami nie mógł nawet dać ucha głosowi swego serca, które się

prawa swego dopominało; być może, że były to rzeczy, o których poeta mówi, że im nie można dać „pół serca, pół duszy“; dosyć, że wspomnienie Olgi gasło coraz więcej, jak gaśnie zeszła w blasku gwiazda zarania, gdy ciemne chmury północy na nią kir swój zarzucą...

Gdyby Adelaida w tym stanie rzeczy chciała go urokiem swoim do siebie przyciągnąć i być mu tem, czem dla niego była Olga, odepchnąłby ją niezawodnie od siebie. Wypływałoby to z istoty rzeczy. Do tego wzbudziłaby w nim słuszne podejrzenie, że ona to usunęła Olgę, aby jej miejsce zająć.

Ale Adelaida, jak wiadomo, nie była wcale w tem usposobieniu, aby Edmunda przyciągać do siebie. Przeciwnie, jej stan duszy wymagał teraz od niej, aby dla niego była zimną i obojętną, aby go odpychała.

Edmund zrazu nie spostrzegł tego. Był smutkiem swoim zajęty i kontent, że tego smutku nikt mu nie przerywał. Siedział zadumany na kozetce, słuchał z roztargnieniem, gdy Adelaida na fortepianie grała lub jaką piosenkę spiewała. Często nawet wydarzało się, że on dzienniki czytał, a ona powieść francuzką przewracała.

Po niejakim czasie uderzyła go ta obojętność Adelaidy. Jakaś zimna przestrzeń dzieliła ją od niego. Coś było w tej przestrzeni dziwnego, co mu jej nigdy przekroczyć nie dało. Kilka razy zapędzał się, mówił z uśmiechem o rzeczach potocznych, chciał być nawet jak dawniej dowcipnym, ale wszystko to nie wystarczało, aby się do Adelaidy mógł tak zbliżyć, jak to dawniej było. Nawet granice ich pokrewieństwa rozszerzyły się jakoś, i kilkakrotnie użyli do siebie tego zimnego słowa: pan, pani.

Czyż było to widmo biednej Olgi, które zimnem grobowem zaległo tę przestrzeń między nimi i nie pozwoliło im się zbliżyć do siebie?

Adelaida była niezmiennie zimna i niezmiennie obojętna.

To poruszyło Edmunda i rozbudziło w jego duszy pragnienia, aby próżne dzisiaj serce czemś napełnić. To serce w wyjątkowem jego dzisiejszem położeniu potrzebowało jakiegoś narkotyku, czemby się upoić mogło. Odpór ze strony Adelaidy podniecał jeszcze tem więcej te pragnienia.

I tak powoli, nieznacznie wszedł Edmund znowu na drogę, na której był w pierwszych początkach widzenia się z Adelaidą.

Adelaida spostrzegła tę zmianę frontu. Z początku przyjęła ją zimno i obojętnie. Podrażniła go nawet kilka razy groźbą, że mu wszelką w tym względzie nadzieję odbiera.

Groźba ta była zrazu szczerą. Adelaida wobec swego sumienia nie mogła inaczej sobie postąpić. Wierzyła, że tak być musi.

Po niejakim czasie wyrozumowała sobie, że ze strony kobiety nie ma w tem żadnej winy, jeźli ktoś się w niej kocha, byle ona tylko swego serca wzamian mu nie dawała.

Ten sofizmat tak specyalnie kobiecy przypadł jej bardzo do smaku. Czyż ja mogę komu zabronić kochać się we mnie — mówiła do siebie w chwilach samotnych — jeźli mu z mojej strony żadnem słowem nic nie obiecywałam?..

Sofizmat taki graniczy z pochyłością drogi, na którą wraz z nim wstępuje kobieta.

Adelaida pozwalała siebie adorować, to jest, postanowiła być bierną. A bierności tej nie ubliżało wcale, jeźli teraz kazała się często ubierać w suknię różową, w której wyglądała cudownie, jeżeli włosy swoje kazała trefić, jak je nosiła Olga, jeżeli grała i spiewała te same sztuki i pieśni, które Olga grała i spiewała.

Również nie przekraczała roli biernej, jeźli z Edmundem jak z kuzynkiem zbyt poufale rozmawiała, jeźli mu kwiaty swoje ulubione okazywała, i jak na folwark odjeżdzał, wielką troskliwość o jego wątłe zdrowie objawiała.

Na tak pochyłej drodze nie można jednak było długo się utrzymać. Potrzeba było koniecznie zajść tam, gdzie ona prowadzi.

I zanim oboje się spostrzegli, nim Edmund ostatecznie z widmem Olgi mógł się uporać, już byli oboje na falach tego uczucia, które zwykli ludzie czasem miłością nazywać.

Serce Adelaidy mimo wszelkich rozumowań pragnęło tego uczucia, a dla Edmunda było ono wygodnym plastrem na odniesioną ranę.

I tak powoli zawahała się na uroczych falach wspólna łódka ich życia, pomknęła naprzód lotem ptaka w cudowne ostrowy marzeń i rojeń roskosznych, i byłaby może zaniosła ich do portu ostatecznego szczęścia ludzkiego, mimo drobnych widm i strachów, gdyby gdzieś od niewidomego brzegu nie uderzyła niespodziewana fala, i słabej łódki nie rzuciła na skałę podwodną.

Na tej łódce straciła Adelaida z oczu wszystkie swoje dawne widoki. Zapomniała o rojonych planach życia, zapomniała o wymarzonych potrzebach tegoż, i była tylko kobietą.

Uderzenie o podwodną skałę obudziło ją.

ROZDZIAŁ XVI.

Dni te szczęścia i pogody przerywane były czasem odwiedzinami pana Wojciecha, który teraz coraz częściej zaczął bywać w pałacu.

Wizyty te były niejako rozmaitością w jednostajnem życiu mieszkańców pałacu. Osobliwie pan Albert rad był tym wizytom, bo pan Wojciech wiele rozmawiał z nim o obrazach, na których prawdopodobnie znał się więcej od pana Alberta.

Oprócz tego spierał się także uporczywie z Edmundem o rozmaite teorye społeczne, a przedewszystkiem starał się w niego wmówić, że gwałtowne ruchy w społeczeństwie nigdy nie prowadzą do dobrego.

Edmund rad zostawiał mu stanowisko starego konserwatysty, a sam licząc siebie do ludzi postępowych, bronił wobec niego zasad tychże. Co do gwałtownych ruchów w społeczeństwie, tej kwestyi unikał starannie, omijał jak mógł natarczywe razy swego antagonisty, a wkońcu wręcz się wszystkiego wypierał.

Tym sposobem ożywiały się wizyty pana Wojciecha i w całem szczupłem towarzystwie budziły na kilka godzin jakieś nowe życie, które przypominało dawne sejmiki Rzeczypospolitej.

Adelaida w tych dysputach stawała zawsze po stronie pana Wojciecha, za co Edmund wcale się nie gniewał, bo wiedział, że ta różnica zdań tylko parę godzin zazwyczaj trwała.

Pan Wojciech bardzo rad był tak pięknemu sprzymierzeńcowi, i często za popieranie jego zdań ściskał drobną rączkę, która w zapale dysputy często Chrzanowską z Trębowli przypominała.

Otóż gdy pan Wojciech pewnego dnia, jak zwykle, na dysputę ze swoim strzelcem przyjechał, zastał mieszkańców pałacu w jakiemś wyjątkowem położeniu, którego sobie długo nie mógł wytłumaczyć.

Zaraz w dziedzincu przywitał go Anatol chmurnem obliczem. Zapytany jak zwykle o zdrowie, nie dał żadnej odpowiedzi. Na ganku stało dwóch żydków, z których jeden miał rudą brodę, a drugi był zyzooki. W przedpokoju siedział z butną miną pachołek jakiegoś urzędu z jedną krótszą nogą. A gdy pan Wojciech na pierwsze piętro wyszedł, ujrzał tam urzędnika z łysą głową, który po pokojach chodził i coś do pugilaresu wpisywał.

W pierwszej chwili nie mógł pan Wojciech odgadnąć, co znaczy ten dziwny zbiór ludzi rudych, kulawych, łysych i zyzookich. Już sam wzgląd na przesąd ludu, który twierdzi, że Bóg nie napróżno ludzi w ten sposób znaczy, nie obiecywał mu nic dobrego.

Z niepokojem otworzył drzwi do saloniku. Ujrzał tam Adelaidę stojącą w negliżu, z włosami rozpuszczonemi. Jej twarz była bledsza, niżeli zwykle, i miała ślady silnego wzruszenia. Przed nią stał jakiś jegomość z dużym nosem i mówił coś z niezbyt wielkiem uszanowaniem.

Adelaida obaczywszy pana Wojciecha krzyknęła z przerażenia, a pan Wojciech szybko cofnął się, aby nie być świadkiem jakiejś sceny niemiłej.

W tej chwili ujrzał za sobą pana Alberta w oliwkowym surducie, który mu się teraz jeszcze starszym wydawał, i serdecznie uścisnął mu rękę, bo wiedział, że jakieś nieszczęście nawiedziło dom jego.

Pan Albert wziął go do swego pokoiku, zamknął za sobą drzwi i rzewnie zapłakał.

Opowiedział mu, że jacyś źli ludzie upominają się u niego o długi, o których on nic nie wie, i teraz sprowadzili sekwestratora, który mobilia pałacu wpisuje, aby je wystawić na publiczną licytacyą. Najmocniej boli go to, że jego nieoceniona galerya obrazów, ktora dla ślepego milion jest warta, padnie ofiarą łupiezców i sprzedaną będzie za bezcen, nim on jeszcze zdołał dobrze ją rozklasyfikować i stosowny wydać katalog.

Pan Wojciech słuchał ze smutkiem tej skargi. Wprawdzie wspomnienie o zbiorze lichych obrazów wywołało na twarz jego uśmiech ironiczny, wprawdzie tłumaczenie się względem fikcyjnych długów wydało mu się nawet śmiesznem ze strony pana Alberta, uczuł jednak głęboki smutek, bo widział katastrofę, którą w okolicy dawno przewidywano.

Stan bowiem majątkowy pana Alberta był opłakany. Był tytuł dziedzictwa miasteczka, ale prócz propinacyi nie było ani paszy ani chleba. Na propinacyi ciążyły już znaczne długi, a tylko przebiegły Burski umiał z resztków lasu po kilka reńskich codziennie wydobyć, aby codzienne potrzeby pałacu załatać.

Następcy Burskiego niezawsze to się udawało. Powstawały ztąd kollizye nie bardzo pomyślne dla kredytu mieszkańców pałacu. Kilka niepowodzeń przyspieszyło katastrofę, której teraz świadkiem był pan Wojciech.

Pan Wojciech ani chwili nie namyślał się. Gdy pan Albert swoję skargę zakończył, dobył pan Wojciech gruby pugilares z zanadrza i przed panem Albertem na stole położył.

Pan Albert rozpłakał się po raz drugi na widok grubego pugilaresu, który mu przypomniał jego młode lata. I on ongi miewał takie grube pugilaresy i wypróżniał je zagranicą...

— Jeżeli mię kochasz — ozwał się po chwili pan Albert — to szanuj moje nieszczęście. Jałmużny przyjąć nie mogę!

— Ależ sąsiedzie, ja ci tylko pożyczam — odpowiedział z dobrotliwym uśmiechem pan Wojciech — jak uporządkujesz twoję galeryą i katalog rozeszlesz po Europie, to wtedy przyjdę do ciebie i powiem: oddaj.

— Jeźli tak, to przyjmuję — rzekł ocierając oczy pan Albert — za moje obrazy wezmę przecież dziesięć razy więcej.

Pan Albert zawołał urzędnika...

Za godzinę siedział pan Wojciech w saloniku naprzeciwko Adelaidy w popielatej tunice i rozmawiał tak wesoło i dowcipnie o rzeczach codziennych, jakby w tym domu żadnej katastrofy nie widział.

Duże ciemne oczy Adelaidy spoczywały na nim nieruchomie. Malowała się w nich wdzięczność niewypowiedziana, bo słowa nie mogły jej wypowiedzieć, gdyż pan

Wojciech kazał panu Albertowi swoję interwencyą w milczeniu zatrzymać. Adelaida jednak wiedziała o tem.

Pan Wojciech jakby się nic nie stało, był wesoły, żartował wiele, prosił nawet o grę na fortepianie, ale Adelaida wymówiła się migreną. Światowej ogłady sąsiad wziął to za powód spieszniejszego odjazdu z pałacu, czego mu ani ojciec ani córka niebardzo wzbraniali, gdyż katastrofa mocno ich zmęczyła.

Po odjeździe pana Wojciecha padła Adelaida jak nieżywa na sofę i długo leżała tak, podobna więcej do pięknego posągu, niżeli do żyjącej istoty. Tylko silnie bijące żyły na skroniach okazywały, że ten piękny posąg żyje, ale okazywały oraz, że strasznie cierpi.

Dwie godziny leżała tak Adelaida, leżała póki zmrok nie zapadł, aż nadeszła Annetka, wzięła ją na ręce i w łóżko położyła.

Całą noc przebyła Adelaida bezsennie. Dziwne obrazy stawały przed jej oczyma. Jedne były urocze i roskoszne, a do nich uśmiechały się boleśnie jej usta, drugie brzydkie i wstrętne, a od nich odwracała się i jęczała.

Dzień zastał ją z otwartemi oczyma. Annetka przyszła i ubrała ją. Siedziała jak posąg martwa i szeroko rozwartemi oczami patrzała przed siebie.

Tak przeszedł cały dzień. Ojciec nic nie mówił do córki, bo czuł się winnym tej katastrofy, a córka nie chciała ojcu nic wyrzucać. Grobowe, straszne panowało milczenie w całym pałacu, bo nawet służba lękała się mówić między sobą o tem, co zaszło.

Nastąpiła znowu noc, dla Adelaidy bezsenna. Była przerażająco blała, gdy wstała nazajutrz. Kazała się ubrać

w suknię różową i z przykrym uśmiechem usiadła na kozetce.

Za godzinę wszedł Edmund.

Witając się z Adelaidą przestraszył się jej twarzy. Różowa suknia podwyższała jeszcze jej bladość.

Podała mu do uścisku rękę zimną, lodowatą.

— Nie gniewaj się — rzekła do niego głosem zmienionym — nie gniewaj się na mnie, żem zimna i lodowata, bo właśnie w tej chwili zamiera we mnie wszystko to, co niedawno sprawiało mi tyle roskoszy...

Łzy z połyskiem lodu stanęły w jej oczach.

Edmund przestraszył się i cofnął wtył dwa kroki.

— Cóż się stało? — zapytał gorączkowo.

— Nic się nie stało niespodziewanego, to co jest, jest tylko dalszą nicią rozsnuwającego się wątka.

— Słów twoich nie rozumiém.

— Masz krótką pamięć. Przypomniej sobie rozmowę naszę pierwszego dnia twego przybycia. Temat jej był: jesteśmy ubodzy — a dzisiaj rozwija się tylko ten temat coraz więcej.

Edmund patrzał na nią w zadziwieniu.

— Nam nie wolno tak czuć — mówiła dalej Adelaida— jak czują ludzie pospolici, bo my mamy obowiązki, jakich oni nie mają. Obowiązków tych musimy dopełnić, choćby nam serce pękało! Ha! inni tego nigdy nie zrozumią!

— Cóż to wszystko znaczy? — zapytał Edmund niecierpliwie.

— To znaczy, mój drogi kuzynie — odpowiedziała dumnie Adelaida wstając z krzesła — że drogi nasze dzisiaj rozchodzą się na zawsze.

Wymówiwszy te słowa zbladła jeszcze więcej i odwróciła się szybko do okna.

W tej chwili zaturkotał powóz na dziedzincu.

Edmund wyjrzał oknem i z dziwnem uczuciem obaczył strzelca, jak drzwi powozu otwierał i panu Wojciechowi rękę podawał.

Pan Wojciech mozolnie i z wielką ostrożnością szukał chórą nogą stopnia powozu...

— —

Za tydzień mówiła służba głośno o tem, że pan Wojciech stara się o pannę, za dwa tygodni była już Adelaida rzeczywiście zaręczoną, a za miesiąc proboszcz z miasteczka w pałacowej kaplicy dawał ślub młodej parze i miał stosowną przytem przemowę. Mówił wiele o miłości i posłuszeństwie dzieci względem rodziców i o szukaniu tejże miłości w poświęceniu się i w abnegacyach życia, zostawiając innym fraszki światowe...

Na ślubie było tylko kilka świadków.

Edmunda nie było.

ROZDZIAŁ XVII.

Podczas kiedy w pałacu ten akt uroczysty się odbywał, zakryte było niebo szarą jednostajną chmurą, z której sączył się deszcz drobny, ale nieustający. Wiatr zimny, jesienny sunął się zwolna po dolinie i obrywał zżółkłe liście, rzucając je na ziemię.

Na tem smutnem, chłodnem tle malowały się jeszcze smutniejsze obrazy. Przed pałacem stał duży, pakowny powóz z zamkniętym szczelnie forderdachem. Zdaleka widziany był podobny do karawanu, który czeka na trumnę nieboszczyka.

I wkrótce też zjawiła się służba pogrzebowa. Na szarem tle deszczu odbiły się teraz czarne, zgięte postacie, które dźwigały ostrożnie jakiś ciężar, czarną obity skórą. Nie była to trumna, ale kufer z wyprawą panny młodej. Śróbowano i przybijano jakby wieko do trumny, a czynność ta odbywała się w głębokiem milczeniu.

Na twarzach ruszającej się służby ani poznać było, że tu odbywa się wesele młodej pary. Wypadek ten przestraszył, pomieszał wszystkich. Prości ludzie, którzy wyobrażenia nie mieli o tem, że posiadając pałac, las i propinacyę można być względnie bardzo ubogim, nie mogli sobie tego wytłumaczyć, jakim sposobem tak piękna i

młoda kobieta może za męża wybierać sobie człowieka tak starego i do tego ułomnego!

— Bogaty, bogaty! — odzywał się ktoś z pomiędzy nich.

— Ależ na Boga! — odpowiadano chórem — przecież pieniędzy nikt nie jada, a jadła jej dotąd w pałacu nie brakowało? byłoby się w co ubrać!

Kiedy w milczeniu wszystkie kufry przymocowano, otworzyły się drzwi sieni, a z niej wyszła blada jak widmo Adelaida i opierając się na ramieniu swego starego męża, kroczyła powoli do czarnego powozu, który teraz dopiero stał się istnym karawanem...

Płacz pozostałych kobiet utwierdzał patrzących zdala, że to był pogrzeb rzeczywisty...

A dziwnem zrządzeniem przypadku właśnie w tej chwili świeciło jasne słońce na drugim końcu gór karpackich i ciekawie zaglądało do małego dworku, który jadącemu od północy wydawał się z dala, jak ptak białopióry, przyczepiony do ściany skalistej.

Był to dworek mały, mieszczący zaledwie cztery pokoiki. Ale pokoiki te były czyste, wybielone. Urządzenie było skromne, i jak widać zupełnie nowe. Jeden pokoik był przeznaczony dla gości, drugi dla spraw gospodarskich, z żelaznem łóżkiem, nakrytem kocem węgierskim, a dwa inne jak widać zajmowała kobieta. Było tam potrosze tego co błyszczy i ubiera, ale było bardzo skąpo. W jednym pokoiku leżała na stole cytra, a po drugiej stronie stał mały stolik z podniesionym do góry obrazem, przy którym spoczywały pędzle i paleta. Biała jak śnieg kotka wygrzewała się na oknie do ciepłego, jesiennego słońca.

W dworku nie było nikogo, drzwi pootwierano na rozcież, jakby tutaj złych ludzi nie było.

I w samej rzeczy o ludzi było tu bardzo trudno. Dworek stał na pochyłości wysokiej góry od połowy szpilkowym lasem porosłej. Przed nim był mały jar, na dnie którego mruczał potok górski, a na przeciwko znowu góra, przecięta tylko w jednem miejscu cienkim paskiem, który był drogą prowadzącą z tego ustronia w świat szerszy.

Tak tu było cicho i miło, tak uroczo świeciło słońce, a tak błękitne było niebo, że można było tę dolinkę wziąć za skrawek ziemskiego raju, jeżeli w ogóle na ziemi jaki raj być może.

Wkrótce pojawił się ruch w tym dworku. Z małego ogródka wyszła młoda kobieta, o dużych złotych puklach włosów spadających na śnieżne ramiona. Miała krótką sukienkę bawełnianą i ciemny z szerokiemi rękawami kaftaniczek.

Z drugiej strony od potoku okazał się szpakowaty mężczyzna z rumieńcem na twarzy i wąsem krótko przystrzyżonym. W siwem oku była pogoda i zadowolenie.

— Czy krowy napiły się w potoku ojczulku — zapytała jasnowłosa rusałka — czy trzeba kazać je napoić.

— Piły z potoku — odparł szpakowaty jegomość z powagą — sam widziałem. Czy masz tam co do podoju?

— Nastusia mówiła, że trawy jeszcze wystarczy.

— Ale trzeba przygotować na kilka dni, bo nie wiem czy jutro lub pojutrze nie zmieni się pogoda. Coś tam na zachodzie nie dobrze świadczy! Patrz!

Złotowłosa rusałka spojrzała na zachód. Była to

wązka przestrzeń między górami, pozaktóremi zazwyczaj słońce zachodziło.

Jasna ta smuga nieba była dobrze znaną pięknej rusałce. Były dni i tygodni, w których nie odwróciła ona oczu od tej smugi białej, a często oczy te były łzami zalane. Całemi godzinami siedziała w oknie oparta na drobnej rączce i patrzała na tę smugę, jakby z niej miało ku niej spłynąć oczekiwane zbawienie...

Była to smuga dobrze znana i dobrze wypatrzona. Wyrajały się z niej częstokroć roskoszne marzenia, ale często także jakby z otchłani jakiej wydobywały się ztamtąd czarne widma, na które krew się ścina i serce pęka!..

— Czy ta biała wstęga deszcz wróży czy grzmoty? — zapytała piękna rusałka.

— Wróży kilkudniową słotę — odparł z należytą powagą zapytany.

Rusałka zwiesiła smutno głowę.

Była to Olga z ojcem.

Starego Burskiego niktby teraz nie poznał. Dotrzymał słowa danego córce, że skórę swoję ekonomską ściągnie. Rzeczywiście tej skóry już na nim nie było. Wybielała jakoś a nawet wyprężyła się na nowo. Przygarbione niegdyś barki wyprostowały się, głowa podniosła się do góry. Twarz nabrała wyrazu niezależnego bytu i niepodległości. Szerokie usta wydały się dumą, a czoło miało oznaki niepospolitego wewnątrz rozumu.

Wszystko to zdziałała mała, górska wioszczyna.

Przyłączył się do tego i ubior. Burski miał na sobie krótki popielaty surdut, buty wysokie z kozłowej skóry i kapelusz pilśniowy z czarną aksamitką.

Olga na pozór nie zmieniła się wcale. Miała wprawdzie twarz teraz więcej opaloną, niżeli w pałacu, ale nie odbierało to jej bynajmniej dawnych wdzięków.

Mimoto badawcze oko mogłoby w tej twarzy wyczytać wiele, bardzo wiele wzruszeń, przez które przechodziło to młode, sieroce serce, nim przyszło do pewnej równowagi, bez której żyć nie podobna.

Trzy miesiące upływały od czasu rozstania się z pałacem, a jakże długie były te tory nieszczęść! Ileż to niepokojów przebyło się od owej nocy księżycowej, w której stary Burski uciekał — od siebie samego!

Od początku tej ucieczki zakrawał nawet na to, że dostanie manii obawy przed własnym cieniem. Tak silnie działał na niego nienaturalny stosunek do córki. Zdawało mu się, że każdy przejeżdżający patrzy na niego, zkąd wziął taką kobietę, że odgaduje: czy to sługa, czy krewny jaki daleki, posługujący romantycznej wojażerce? Marszczył czoło na każdego, o którym myślał, że go nie ma za ojca, a nawet kilka awantur zrobił na popasach w karczmach, gdy arendarze jego słowom wierzyć nie chcieli.

Wreszcie po dwóch tygodniach ustawicznej jazdy w szerz i w poprzek drogi, zdążył Burski do tego dworku, który wprawdzie nazywał się wioską, ale w takiem znaczeniu, w jakiem kropla wody także wodą się nazywa.

Wioska ta, w samej rozpadlinie gór Beskidu, składała się z pięciu chałup włościańskich, trocha pola, którego się nigdy nie orało, i lasu, do którego znikąd nie było żadnego przystępu. Jedynym dochodem była góra skalista, w której łupano kamienie i obrabiano dla młynów.

Wioska miała coś długu małoletnich, można więc było za tysiąc lub dwa tysiące przyjść do dziedzictwa pięknego nieba, cudownego widoku i owsianego chleba.

Burski przyzwyczajony był do owsianego chleba, a to, czego łaknął, miał teraz de jure i de facto. Był dziedzicem wioski.

Już samo poczucie takiej krajowej godności zbliżyło go więcej do córki. Zdawało mu się, że jest rozumny, że zna się na różnych rzeczach, o których dawniej nie miał wyobrażenia, że nawet może śmiało mówić z córką o astronomii i medycynie.

Tego wszystkiego przybyło mu nagle z tytułem dziedzica dóbr ziemskich. Była to najwyższa godność w kraju podówczas, bo urzędowanie nie było w modzie z różnych przyczyn, a pola dla innych zasług wcale nie było.

To poczucie odbiło się na całej jego powierzchowności. Spoważniał, skóra na nim zbielała, twarz przybrała wyraz człowieka, przed którym każdy chłop z drogi zazwyczaj ustępuje.

Pięć chałup włościańskich i kawał nieużytego lasu zrobiły tę nagłą metamorfozę w czasie tak krótkim, że ktoby z dawnych znajomych Burskiego teraz ujrzał, nie byłby od razu do niego przemówił, bo nie byłby pewny, czy to on, czy jaki brat jego młodszy.

Przyczyniło się w części do tego nieustające towarzystwo Olgi. Olga umiała zręcznie wiele rzeczy ojcu podsunąć, tak że je uważał sumiennie za swoje. A raz je przywłaszczywszy, budował już dalej na danym gruncie, i nie zdumiewał się wcale, jeźli spostrzegł, że wie o rzeczach, o których dawniej nie miał najmniejszego wyobrażenia.

W ten sposób odbywał się powoli ale nieustannie proces wzajemnego zbliżania się ojca do córki i córki do ojca, i zwolna wyrównywała się przestrzeń, która dawniej dzieliła ich od siebie.

Był to dziwnie piękny widok, jak młoda nauczycielka w sposób delikatny wprowadzała ojca na drogi jemu zupełnie nieznane. Często po południu zamiast odpoczynku czytała z książek głośno, a Burski słuchał z powagą, że wszystko wie i rozumie. Nie obyło się jednak bez objaśnień ze strony córki, które Burski, aby ojcowskiej powagi nie stracił, przyjmował tylko jako sprostowanie chwilowej i przypadkowej pomyłki, która, jak zwykł mawiać, przy kłopotach gospodarskich i Salomonowi mogłaby się wydarzyć. Olga w takim razie utwierdzała ojca w tem mniemaniu o sobie i jego zapasach mózgowych.

Również i w zewnętrznem życiu dawała ojcu niewidocznie niektóre wskazówki, z których także zawsze korzystał, chociaż je za zbyteczne uważał. Był jednak staranny w ubiorze, a mianowicie przestrzegał ulubionej przez Olgę czystości. Wdrażał się także powoli do skromnego komfortu i zaniechał już dawnego twierdzenia, że potrawa w prostym garnku tak samo smakuje, jak na saskiej porcelanie.

Saskiej porcelany nie było wprawdzie w całym dworku, ale była jakaś biała imitacya, która jej miejsce zastępowała i obiadek skromny Burskiemu uprzyjemniała.

Po trzech miesiącach takiej nauki miał już Burski minę urodzonego dziedzica dóbr ziemskich, każdy Rusin ustępował mu się z wąskiej drożyny, choćby i w rowie na chwilę się ulokować, a żydek w restauracyi najbliższego

miasteczka słuchał z uniżoną cierpliwością wymyślań jego, że pieczeń mało krucha, a masło w naleśnikach nie bardzo świeże.

Było z tem dobrze i ojcu i córce. Ojciec pozornie prawie zrównał się z córką, a córka widocznie zbliżyła się do ojca. Związek krwi był teraz nanowo zacieśniony między nimi, - który dawniej wychowanie Olgi znacznie rozluzowało. Nikt teraz nie mógł już patrząc na nich, zapytać, czy to ojciec czy sługa, każdy poznał od razu stopień pokrewieństwa.

Podczas tej pracy, aby ojca do siebie zbliżyć, przebywała Olga silne wzruszenia, które ją na dalsze burze życia tak samo wychowywały, jak ona wychowywała ojca.

Myśl, z którą z pałacu wyjechała, nie opuszczała jej przez czas długi. Jej piękna i czysta dusza wierzyła, że to, co się stało, stało się dla jej dobra, za dobrą wolą tych, którzy ją kochali. Nie umiała nikogo podejrzywać, wierzyła wszystkim, którzy z uśmiechem do niej przychodzili.

Idealistycznego kierunku wychowanie roztoczyło przed nią świat pełen uroków i cudów. Potwory i przepaście życia pokryły się przed jej okiem; nie widząc ich, nie miała o nich żadnego wyobrażenia.

Kierunek taki prowadził wprost do szczęścia, jeżeli tylko to szczęście nie chciało przed nią uciekać. A gdyby rzeczywiście uciekło?.. Na to nie miała jeszcze odpowiedzi, bo nie wierzyła, aby to stać się mogło.

Gdy jej ojciec wyjazd z pałacu w sposób tak nagły zaproponował, zaraz ułożył się w jej idealnej główce cały obraz nowej sytuacyi. Kochała Edmunda całą duszą,

Edmund dawał jej dowody takiego samego uczucia, cóż więc stało na drodze do ich szczęścia? Czyż to kogo dziwić mogło, że dwoje ludzi kocha się, że potem z sobą przy ołtarzu przyklękują? W idealnej jej głowie nie mogło się pomieścić, aby to w żaden sposób być nie mogło. Nieraz czytała o tem w książkach, a nawet słyszała z opowiadania. Najtrudniej według niej było, zakochać się i być wzajem kochaną. Gdyby to nastąpiło, reszta była już tylko prostą konsekwencyą. Różnica położenia nie była u niej zbyt wielką przeszkodą, tem bardziej, że była kobietą, a dla kobiety młodej, pięknej, wykształconej i do tego adorowanej nie ma żadnych granic towarzyskich, którychby jej przekroczyć nie było wolno.

Tak ją zastała katastrofa wyjazdu z pałacu. Wytłumaczyła ją sobie w ten sposób, że w pałacu wiedziano o jej miłości dla Edmunda, ale chciano tę miłość tak poprowadzić, aby różnorakim wymaganiom i uprzedzeniom towarzyskim zadość uczynić. Wzięła to za wygórowaną wyrozumiałość, że jej nic o tem nie powiedziano. Nie chciano zapewnie zadrasnąć jej uczuć delikatnych, nie chciano jej dać poznać, że w takim stanie, w jakim była przedtem, nie mogła zajść prostą drogą do swego szczęścia, bo były pewne szkopuły, których zakochani wprawdzie nie widzą, ale które mimoto obejść trzeba, jeźli się nie chce na nich potknąć.

Edmund byłby niezawodnie poszedł tą prostą drogą do szczęścia, bo sam o tem o szarej godzinie przy cytrze jej mowił, ale musiałby zawsze poza jej plecyma stoczyć małą walkę z familią, która zazwyczaj podobne rzeczy mocno i niemiłosiernie kontroluje.

W pałacu chciano to wszystko usunąć, chciano jej i ojcu dać stosowniejszą pozycyą i tym sposobem wyrównać nieco tę przepaść, która Edmunda od niej przedzielać mogła.

Tak wytłumaczyła sobie dotacyą ojca i wierzyła całą duszą, że inaczej być nie może. Wierzyła, bo ludzi kochała i nie mogła w żaden sposób posądzać ich o złe zamiary, jeżeli tych złych zamiarów dotąd dopatrzéć nie mogła.

Tak idealny pogląd na nową, dzisiejszą sytuacyą dodał jej sił i rozwinął w niej pewną energią życia, jaką daje niezachwiana wiara w ludzie.

Opuszczając pałac była wesołą jak dziecię, przed którem rodzice ukryli przyjemną niespodziankę, ale ono odgadło ją i w duszy z niej się raduje.

Niewygody w podróży, zmniejszenie obszerniejszych niegdyś potrzeb życia nie popsuło jej wcale humoru. Roskoszne marzenia biegły przed nią, patrzała na nie okiem jasnem i wesołem, i budowała najcudniejsze zamki na lodzie.

Gdy w jakiem małem, górskiem miasteczku na niejaki czas się zatrzymali, gdzie Burski zasięgał różnych informacyj co do nabycia jakiegoś mająteczku, umiała wyobraźnią swoją przerobić małe pokoiki gospody w pyszne pałacy i zaludnić je najwytworniejszemi rzeczami.

Tak zdążyła do tego białego dworku, do tych dóbr w miniatorowym formacie. Pogodne niebo, cudowna okolica rozjaśniała jeszcze więcej jej umysł, i tak już ożywionej duszy dodała jeszcze więcej życia.

Prędko urządziła domek i małe gospodarstwo swoje, a potem zastosowała do niego i siebie. Jedwabne, ogo-

niaste suknie, zrobione dla damy karetowej, schowała w najciemniejszy kąt szafy, a siebie ubrała w krótką, prostą ale gustowną sukienkę.

I było teraz coś zupełnie idylicznego w jej całej postaci. Okrągły, ryżowy kapelusik ocieniał jej twarz świeżą i tak delikatnego kolorytu, jak obrazek akwarelowy. Blado zielona bluzka, spięta w pasie jaśniejszym paskiem, robiła ją podobną do leśnej rusałki.

Gdy już w dworku wszystko było w porządku, wtedy siadła do małego stolika i zaczęła pisać list długi i szeroki. Białe jej czoło przybrało wyraz natężenia, szafirowe oczy ożywiły się jaśniejszym blaskiem i zwolna posuwały się z jednej linii na drugą.

Olga pisała teraz do Adelaidy.

List do przyjaciółki, do towarzyszki lat najmłodszych, wymagał wprawdzie wielkiej uwagi, ale może znowu nie takiej, z jaką pisała Olga.

Zdaje się, że ten list miał inne przeznaczenie. Adelaidzie należało się coś napisać, ale przytem należało się także coś Edmundowi.

Do Edmunda wprost pisać nie wypada, ale serce mówiło jej wyraźnie, że Adelaida da swój list Edmundowi do przeczytania. Inaczej nie mogło być, bo ona na miejscu Adelaidy zrobiłaby to samo.

List ten więc był już z góry przeznaczony dla Adelaidy i — dla Edmunda.

W tym więc liście było wiele, bardzo wiele rzeczy. Był najprzód krótko streszczony dzienniczek podróży, w którym próbowała nawet autorka humoru i dowcipu. Potem następował opis dworka i okolicy, do czego załą-

czony został rysunek, piórem zrobiony naprędce jakby ilustracya listu, przedstawiający biały dworek, dwie ściany gór rosłych lasem i świecący w jarze potok górski. Dalej opisała całe urządzenie domku, rozkład pokoików, stół, na którym leży cytra, i stoliczek do malowania. Nawiasowo wsunęło się westchnienie za fortepianem, ale potem temu westchnieniu nadano zwrot żartobliwy, że tu muzyki sztucznej nie potrzeba, gdyż cała natura grała tutaj po mistrzowsku.

Dało to jej sposobność napisać coś o dziwnych tonach wiatru, poruszającego iglaste lasy na górze i wciskającego się z jękiem w szczeliny okien i drzwi, lub huczącego w kominie.

Potem następował opis małego gospodarstwa, które się składało z trzech krów, kilkunastu owiec i jednej kozy, której poświęcono nie mały ustęp, a nawet uczczono kilkoma wierszami Szymonowicza.

O ogródku był ustęp smutny i rzewny, bo ogródka nie można tak prędko urządzić, jak się urządza pokoiki lub spiżarkę, o której także nie zapomniano.

O ptakach spiewających było także kilka smutnych wierszy, bo tych tutaj wcale nie było, a nawet i trzpiotliwa sroka zatrzymała się na linii, do której sięgają topole. Za to opisała po artystowsku sępy i orły, a nawet narysowała je, jak z rozpiętemi skrzydłami, z głową ku ziemi spuszczoną, rzucają się na upatrzoną zdobycz.

Nie przepomniała także i o kotku białym, który gdzieś z chaty włościańskiej zbiegłszy stanął u niej na służbę.

Jeszcze więcej innych rzeczy było w tym liście, a

nawet wspomnienia o pałacu, o grze na cytrze, o przechadzkach pod altaną i różnych, różnych minionych roskoszach.

List ten odczytała Olga kilka razy, zapieczętowała i przez górala odesłała do najbliższego miasteczka.

Obliczyła sobie, że najdalej za tydzień otrzyma odpowiedź.

Przez ten cały tydzień stała przy oknie i patrzała na białą smugę nieba pomiędzy górami ku zachodowi, którędy według jej mniemania miał nadejść list od Adelaidy albo...

Nie, listu nie spodziewała się od Edmunda, ale spodziewała się troszkę, troszkę, że sam przyjedzie.

Artystowska jej wyobraźnia dawała jej już naprzód obraz tego przybycia. Naturalnie, że nie mogł i nie powinien przyjechać prozaicznym wózkiem, otulony bundą, w czapce zasadzonej na uszy. Przedstawiała go sobie schodzącego ku niej tam z drożyny górskiej, ze zgiętemi jak góral nogami, w kapeluszu z zieloną wstęgą i piórkiem, ze strzelbą na ramieniu. Tak szukała go po wszystkich białych smugach, po wszystkich stokach i skałach.

Ale fantastyczny myśliwy nie przychodził. Za to przyszedł list od Adelaidy.

Z szkarłatem na twarzy, drżącemi rękami i sercem gwałtownie bijącem rozerwała pieczątkę, przebiegła szafirowemi oczami raz... drugi... trzeci, a twarz jej rozogniona bladła powoli i zastygała w biały, nieruchomy marmur.

Cóż było tak niepomyślnego w tym liście?

Nic nie było. Adelaida pisała jej wiele, donosiła o różnych rzeczach potocznych, o szukaniu monogramów

Rubensów i Rafaelów, o deszczu i pogodzie, ale o Edmundzie nie było ani słówka.

Czyż nie można było zblednąć przeczytawszy list taki?

O Edmundzie ani słówka! Czy to być może? Czy Adelaida mogłaby być tak roztrzepaną? Nie, to być wcale nie może, Edmund to może był główny cel listu, miałażby Adelaida go pominąć?..

I tak roskosznie bijące dotąd serce uczuło pierwsze kurczowe ściśnienie, które dla niego było tak złowrogą zapowiedzią! Czyż to być może? O Edmundzie ani słówka!

Olga trzymała list kilka godzin przed sobą, ale od dwóch godzin już go wcale nie widziała. Jakaś szara przestrzeń roztaczała się przed nią, a w tej przestrzeni było tyle, tyle bolesnych obrazów!.. Ani słówka!

Nad wieczorem odetchnęła wolniej i rzekła sobie:

Edmund zapewnie namówił Adelaidę, aby o nim zamilczała, a on tymczasem chce mi zrobić niespodziankę.

I oczy Olgi zabłysły znowu dawnym blaskiem. Zanuciła pioskę wesołą, aż kotek się zbudził i przeciągnął, aż koza przyszła do okna i ręce jej polizała.

Nazajutrz rano patrzała znowu Olga na białą smugę nieba między górami, którędy słońce na noc do snu się kładło, bo tam spodziewała się ujrzeć kogoś, jeźli już nie ze strzelbą na ramieniu, to choćby na wózku górskim w bundzie zawiniętego...

Ale na białej smudze nieba nie było nikogo.

Minął jeden tydzień i drugi.

On mnie kocha — mówiła do siebie przykładając

rękę do serca — on mnie kocha, bo ja to czuję. Tylko coś go zaskoczyło... mój Boże, w życiu tyle jest przeszkód! Jutro, pojutrze przyjedzie... niezawodnie przyjedzie.

Pojutrze nie przyjechał Edmund.

Może chory... ale nie, w takim razie Adelaida napisałaby... niezawodnieby napisała! Ona mnie tak dobrze życzy.

Olga napisała drugi list do Adelaidy.

List był smutny, trochę ponury, ale w gruncie była wiara niczem niezachwiana. Wspomniała nawet w tym liście coś o Edmundzie, ale zdaleka — bo serce kobiety z zazdrością chowa swoje tajemnice, chociażby te tajemnice były głośne.

Adelaida po niejakim czasie odpowiedziała jej, ale o Edmundzie znowu nic a nic nie było. Widocznie teraz zapomniała, bo powinna była odpowiedzieć.

Ale to tylko roztrzepanie ze strony Adelaidy — mówiła do siebie — Edmund mnie kocha, czuję to, tylko jakaś przeszkoda...

Drugi miesiąc mijał, gdy Olga ze swoją służącą do miasteczka się wybrała, aby na poczcie osobiście zasięgnąć niektórych infromacyj.

W miasteczku był właśnie targ. Mieszkańcy z okolicznych dworków zjeżdżali się zazwyczaj w dniu takim, aby się z sobą widzieć i po skończonych interesach o różnych nowinach pomówić.

Do nowin tych należał teraz Burski i Olga. Wiadomość o amatorze skał i cudnych widoków, ale nie chleba, rozeszła się po całym górskim powiecie, a gdy Olgę kilka razy ujrzano, która w tym zaniedbanem ustroniu istnem zjawiskiem była, tak się nią zajęto, że kilku najrzutniej-

szych kawalerów póty nie spało i nie grało w karty, póki się coś o nowych przybyszach nie dowiedziano.

Dowiedziano się niestety trochę z tego, o czem także w okolicach pałacu głośno mówiono. Wszystko nie doszło tutaj, snać duch opiekuńczy biednej sieroty stanął na górskich przesmykach i grubszych dodatków tej historyi nie dopuścił.

Służąca Olgi, która w gospodzie na nią czekała, słyszała rozmowę zgromaczonych tamże gości targowych, którzy nawet od niej czegoś dowiedzieć się chcieli.

Przywiązana służąca nie miała nic pilniejszego, jak tylko to wszystko swojej pani powtórzyć.

Olga więc dowiedziała się w krótkich słowach, że familia Edmunda nie była rada jego zamysłom, i chcąc to udaremnić, wyprawiła ją z ojcem w daleką stronę.

Wiadomość ta padła młyńskim kamieniem na jej serce, i zdawało się, że je rozmiażdży.

Przebiegła szybko myślą wszystkie drobne zagadki, których dotąd rozwiązać nie mogła, i o dziwo — wszystko teraz było jasne jak słońce.

Zacisnęła zęby, aby przed służącą nie zdradzić swego usposobienia, i milczała przez całą drogę jak posąg kamienny.

Zaledwie do swojej izdebki zdążyła, rzuciła się na łóżko, i gorący strumień łez wytrysnął z jej oczu.

Po łzach zrobiło się lżej, odetchnęła pełną piersią.

Było to pierwsze, wielkie rozczarowanie, jakie ją w życiu spotkało. Wszystko inne było tylko ukłuciem szpilki, to było więcej niżeli gromem z nieba.

Nic nie mogła myśleć, bo mózg odmówił funkcyi. Nie wiedziała, co się dalej dzieje.

W takiem oszołomieniu przebyła aż do wieczora. Poźnym wieczorem przyszedł Burski, który zwiedzał kamieniołomy. Był zmęczony, zażądał małego posiłku, i wkrótce udał się na spoczynek, skarząc się na dziwny ból w głowie połączony z pewną nieokreśloną trwogą.

Olga nic mu powiedzieć nie mogła, bo sama jeszcze nic nie wiedziała. Jeszcze nie była w stanie myśleć nad sobą. Powiedziała tylko ojcu, gdy ją pytał, dla czego oczy ma tak dziwnie krwią nabiegłe, że chłodny wiatr prawdopodobnie jej zaszkodził.

Gdy wszyscy w domu spać się pokładli, poczuła się Olga samą, i dopiero mogła myśli zebrać razem.

Straszne, okropne rzeczy otwierały się przed nią. Wszystkie jej marzenia, które w duszy wypieściła, były to tylko fata morgana, które dzisiaj wiatr miał rozwiać na wszystkie cztery części świata!.. Przy tej myśli uczuła, że coś ją objęło wkoło, coś zimnego i brzydkiego, jak kościste ramiona śmierci lub całun grobu!...

Wzdrygnęła się, jakby chciała strząść z siebie oślizłe zwoje Laokoońskich wężów, ale łuskowate pierścienie nie osunęły się, tylko tem bardziej się zacisły. Chciała wznieść pierś głębokim oddechem, aby te żelazne pierścienie pękły i opadły, ale pierś jej wznieść się nie mogła.

Poświęcono mnie dla widoków familii! — jękła pod ciężarem tej zmory — rzucono mnie w przepaść, aby ktoś inny mógł tą ścieżką przejść bez przeszkody!..

I drobne rączki zacisnęły się i podniosły do góry, jakby cały świat do walki wyzwać chciały...

I za to rzucono mi kiesę z pieniędzmi, aby mnie wynagrodzić za stratę marzeń moich!.., Nie, to okropnie...

to być nie może... ja nie mogę tutaj oddychać... mnie tu brak powietrza... bo to powietrze kupione za te pieniądze Precz z tem powietrzem zapłaconom... precz z śrebrnikami judaszowemi... idę do ojca... zbudzę go... i dziś... dziś jeszcze niech opuści to miejsce, a pieniądze niech odda!..

I wybiegła z rozpuszczonemi włosami, z nocną lampką w ręku, i zmierzyła wprost do izdebki ojca.

Cicho, na palcach zbliżyła się do łóżka, trzymając rękę z lampką do góry.

Burski leżał na łóżku i miał twarz czerwoną, krwią nabiegłą. Ustami robił poruszenia, jakby coś chciał mówić, a nie mógł. Wydawał tylko z siebie jakiś jęk głuchy, przyczem czoło jego marszczyło się nieustannie.

Olga chwilę patrzała na ojca. Widziała, że pot kroplisty występuje mu na skronie, że we śnie z czemś się szamoce.

— Nie dam! — wyjęknął wreszcie — nie dam, weź życie! Życie weź... ale pieniędzy nie dam... czyż ja nie pan sobie teraz... a bez pieniędzy czem? Nie dam... prędzej życie... prędzej serce...

Olga zbliżyła ręce do skroni ojca, Burski obudził się nagle i siadł na łóżku.

— Co tu jest! Gwałtu, co tu jest? — zawołał ochrypłym głosem... czy to ty Oldziu?

— Ja ojcze — grobowym głosem odpowiedziała Olga.

Burski odetchnął całą piersią i otarł pot z czoła.

— Czy chciałaś czego, moje dziecię? — zapytał po chwili.

— Słyszałam, żeś we śnie jęczał ojcze! — odpowiedziała.

— Dobrze zrobiłaś, żeś przyszła, bo miałem szpetny, strasznie szpetny sen!..

— Jakiż to był sen?

— Śniło mi się, drogie dziecię... tylko się nie przestrasz... śniło mi się, że mi ktoś tę wioskę odebrał!... Wyobraź sobie mój przestrach!.. Ale na szczęście był to sen tylko! Jeszcze czuję dreszcze po całem ciele! Podaj mi co cieplejszego do nakrycia. Brrr!

— Czyż to tak strasznie być bez wioski? — zapytała z gorączką na twarzy Olga, podpierając ręką głowę ojca.

— Co też ty mówisz! brrr! Przypominasz mi sen w całej brzydocie i okropności!.. Jam lat tyle wzdychał do takiego kącika, gdziebym mógł powiedzieć, że jestem panem, jam nawet głośno marzeń moich nie śmiał wymówić, a kiedy Bóg dobrotliwy zesłał mi to szczęście przed grobem, ty bluźnisz pytając, czy ta wioska jest nam potrzebna?... Mówię ci — odbierz mi dzisiaj ją, a umrę!

Bolesny kurcz przeszedł po ciele Olgi.

— Przecież jest tyle ludzi bez wioski! — rzekła z lodowatym uśmiechem.

— Czy chcesz mnie dobić — odfuknął Burski — ponieważ ten łotr we śnie nie mógł mnie zabić?

— Mogłabym własną pracą żywić ojca — mówiła dalej Olga.

Burski rzucił się na łóżku.

— Co ci do głowy dzisiaj przyszło? Powiadam ci, że umarłbym pierwej z głodu, niżeliby dziecko moje miało na mnie zarabiać! To gorzej, niż pić krew swoję.

— Ojcze! — zawołała z kurczowym płaczem Olga, kładąc głowę na pierś ojca.

Burski odsunął ją łagodnie od siebie.

— Idź spać, drogie dziecię, i nie chciej na jawie powtarzać mi tego, co mi się tak strasznie śniło! Wioska nasza nie wiele warta, zaledwie można mieć ciepłą strawę, ale mówię ci, że umarłbym śród marcypanów, gdybym ją postradał! Czy ty wiesz, moje dziecię, czem byłem bez tej wioski? Czy chcesz, abym do tego powrócił?.. Nie, przenigdy! Pierwej grób mi tu wykop i żywcem rzuć mię do grobu, niżeli miałbym się cofnąć do tego Burskiego, którego już dawno zgubiłem za sobą!.. Idź spać, moje dziecię, i nie miej takich grzesznych myśli!

Rzekłszy to pocałował ją w czoło. Olga podniosła się i jak białe widmo oddaliła zwolna. Przywlokła się do swego pokoiku. Rzuciła się na łóżko, oparła ramiona o białą ścianę, a ręce zwiesiła bezwładnie do ziemi.

Siedziała tak długo, siedziała noc całą.

Gdy dzień już był biały, ubrała się i wyszła do ojca, który w drugim pokoju przechadzał się zamyślony.

Służąca przyniosła śniadanie. Olga usiadła przy stole i nalała ojcu kawy. Sama nic nie piła.

— Kawa mię trochę rozgrzewa — rzekł Burski — bo też sen dzisiejszy był tak brzydki, aż człowiek zlodowaciał od niego. Brrr! że to pan Bóg tak straszy czasem biednego człowieka!

Olga patrzała lodowatem okiem przed siebie.

— Dla czego kawy nie pijesz? — mówił dalej Burski — wierzę, że taki sen może apetyt odebrać. Tylko trochę opowiedziałem go tobie, a już widać po twoich oczach, jak cię to przestraszyło. A cóż dopiero ja, który musiałem przechodzić we śnie wszystkie stopnie rozpaczy?...

— Nie sądziłam, że można tak bardzo przywiązać się do marnych rzeczy — zwolna szepnęła Olga.

— Co mówisz, co mówisz! Czy chcesz mnie w ten sposób pocieszać? Czy myślisz, żebym przeżył tę chwilę, w której znowu musiałbym na ciebie patrzèć zdaleka i wypierać się, żem ojcem twoim? Przecież dzisiaj mogę być z tobą razem, mogę się tobą cieszyć jak dzieckiem mojem, i nikt nie zapyta z obcych, kto zacz jest ten człowiek stary obok tej dziewicy? Nie bluźń, dziecię moje, i dziękuj Bogu, że tak pokierował losami naszemi!

Olga spuściła oczy w ziemię i siedziała martwa, jak piękny posąg z marmuru.

Burski skończył śniadanie, pocałował córkę w zimne czoło i odszedł do gospodarstwa zapowiadając, że przyjdzie dopiero wieczorem, gdyż idzie znowu do kamieniołomów, gdzie robi ugodę z kamieniarzem.

Olga siedziała tak długi czas. Potem wstała, zarzuciła chustkę i wysunęła się ogrodową furtką do lasu.

Dzień jasny raził jej oczy. Szukała ciemnej ustroni, bo w ciemnej było jej jakoś lżej. W jej duszy panowała ciemność, chciała także i ciemność mieć wkoło siebie.

W gęstym jarze usiadła na powalonem drzewie. Cisza była wkoło niej i ciemność grobowa. Tylko cieńki słupek światła przedzierał się pomiędzy gałęzie i padał pod jej stopy. W górze trzepotał skrzydłami jakiś ptak zabłąkany, a obok niej mruczał zdrój srebrny i powoli pomykał ku dolinie.

Olga oparła głowę na ręce i siedziała tak kilka godzin nieruchomie. Nic przed sobą nie widziała, nic nie słyszała. Nie spostrzegła nawet, że z ciemnych zarośli wy-

sunął się zwolna wąż zielono centkowany, ostrożnie dokoła wypukłem okiem spojrzał, i powoli poczołgał się do jej stóp, gdzie był biały płatek ciepłego słońca. Zwinął się na tym płatku tak misternie, że cały mógł się ogrzać. Jednym pierścieniem dotknął nawet szaty Olgi, bo nie sądził, aby to była jaka żyjąca istota. Olga nie widziała go wcale.

I po kilku godzinach zaczęła nagle jej twarz się rozjaśniać i nowego nabierać życia.

Cóż było powodem tej dobroczynnej zmiany?

Trudno odgadnąć. Czy to było przywiązanie dziecka do ojca, że myśli jej jakiś pomyślniejszy obrót wzięły, aby go nie pozbawiać jego szczęścia? Czy to była owa, dzisiaj tak wysoko podnoszona „walka o byt“, którą każda żyjąca istota z największem wysileniem stoczyć musi, aby się uratować?

Przed duszą Olgi zaczęły teraz zwolna spadać na dół czarne myśli, któreby jej w żaden sposób żyć nie dały, a w ich miejsca wychylały się jaśniejsze, łagodniejsze.

Wyrządziłam ludziom krzywdę — mówiła w duchu do siebie — posądzając ich o tak brzydkie rzeczy. Ludzie nie są tak źli. Osądziłam ich fałszywie!

Po chwili mówila znowu do siebie:

Jest rzeczą bardzo naturalną, że Edmund nie może ożenić się ze mną. Gdyby tylko nas dwoje było w jakiej puszczy lub pomiędzy ludźmi zupełnie obcymi, mogłoby to być. Ale tak... byłabym ciężarem, kłopotem dla niego!

Westchnęła ciężko.

Świata nikt nie odmieni, on ma swoje przesądy i uprzedzenia, a te prędzej czy poźniej mogą zatruć życie. Edmund

po pierwszym szale musiałby walczyć z temi uprzedzeniami, a ja patrzałabym na tę walkę.,.. Nie, to być w żaden sposób nie mogło. Marzenia moje nie uwzględniały tego, co po nich nastąpić mogło. Ale ludzie dobrzy dojrzeli to i w sposób nader delikatny odsunęli to niebezpieczeństwo odemnie i od niego!.... Wyrządziłam im krzywdę, myśląc tak czarno o nich!....

Twarz jej rozjaśniała się coraz więcej.

Cóż na tem tracę? — mówiła dalej do siebie — czyż Edmunda nie kocham całą duszą i całem sercem? Czyż on mimo naszego rozłączenia mógłby przestać mnie kochać? Nie, nigdy. Czuję, że mnie kocha, kocha jak dawniej, gdy mnie kwiatki podawał na wróżbę — bo miłości przecież niczem rozerwać nie można!.... Być może, że kiedyś....

Tu urwała nagle.

Dla czegoż nie ma być miłość czysta, bez egoizmu? Dla czegoż nie mogę go kochać czystem sercem, czystą duszą, bez żadnych żądań z mej strony, jeśli on tak samo kochać mnie może?.... A jeśliby mimo to kiedy —

Znowu przerwała.

Nie jestem egoistką.... dla czegoż takie żądanie? — Czyż ja mogę tego od niego żądać? Nie, nie żądam, i nie powinnam żądać. A jeśliby się to kiedy stać mogło.... Któż odpowiedzialny jest za to, co mu Bóg przeznaczy?

Takiem rozumowaniem uspokoiła trochę serce, które znowu zaczęło wracać do dawnej regularnej pulsacyi. Czuła, że te myśli ożywiają cały zdrętwiały organizm, że pozwalają znowu widzieć świat boży przed sobą.

I dowodem tego było, że ujrzała teraz żmiję u nóg

swoich, która głębszym oddechem jej piersi zbudzona, rozsnuła swoje pierścienie i spiesznie poczołgała się na dawne legowisko.

Olga patrzała na uchodzącego węża.

Tak niech odejdą odemnie wszystkie brzydkie myśli, któremi bliźnim swoim mogłabym krzywdę wyrządzić! — rzekła do siebie i powstała ożywiona prawie jak dawniej.

A gdy przed wieczorem Burski do domu wrócił, piękna idealistka zarzuciła mu na szyję białe ramiona.

— Pamiętaj ojcze — rzekła do niego — abyś dzisiaj nie śnił o czemś podobnem jak wczoraj! Ludzie są tak zacni i poczciwi, że nam nic złego zrobić nie mogą.

— Wierzę — odparł Burski — bo bez takiej wiary człowiek staje się złym i nieszczęśliwym.

ROZDZIAŁ VXIII.

Kiedy Olga swego wymarzonego, prawdziwie kobiecego szczęścia używała, chciała także Adelaida użyć swego szczęścia, które sobie wyrozumowała.

Jedynym środkiem tego szczęścia było dzisiaj dla niej bogactwo.

Hrabia Wojciech był człowiekiem niezmiernie bogatym. Do bogactwa łączył także wychowanie niepospolite i charakter prawy. Zajmowały go zawsze idealniejsze objawy życia i całej jego powierzchowności nadały piętno człowieka, wyróżniającego się ponad poziom codziennych ludzi. Do ujemnych strón należało, że był ułomny, schorowany i jak na męża dla Adelaidy, mocno za stary.

Zkąd tak rozsądnemu człowiekowi, jakim był pan Wojciech, przyszło na myśl ożenić się z Adelaidą, trudno zaiste odgadnąć. Tu gubi się wszelkie rozumowanie.

Przyjaciele jego tłumaczyli to w ten sposób, że chciał upadający konar dawnego rodu podtrzymać swojem poświęceniem się, licząc na jakieś choćby najmniejsze wynagrodzenie.

Było to śmieszne tłumaczenie, chociaż w ten sposób mniej więcej tłumaczy się podobne związki małżeńskie.

Czyżby nie była prościejsza droga poświęcenia, wesprzeć po prostu upadających lub potrzebujących pieniądzmi?

Mimo to, bądź co bądź, pan Wojciech poświęcił się i za swoje poświęcenie wziął sobie cudownie piękną Adelaidę.

Być może, że Adelaida także to poczytała sobie za poświęcenie, a nawet miała prawo do tego. Ze stanowiska jednak jej zasad, poświęcenie to nie było tak bolesne, bo wynagradzało ją tem, czego pragnęła, a bez czego w swojej sferze żyć nie mogła — bogactwem.

W takim razie można słusznie powiedzieć, że Adelaida dostąpiła szczęścia, którego szukała. Wprawdzie nie obyło się bez pewnej walki serca, ale był to stan anormalny, bo kobiecie jej sfery nie wolno słuchać serca, jeźli to serce jej interesa krzyżuje.

Szczęścia więc swego chciała użyć w pełni, użyć jak najwięcej, aż do szału, aż do zapomnienia o sobie, jak tego teraz gorąco pragnęła.

Pan Wojciech przykładem wszystkich starych mężów zgadzał się zupełnie z żoną swoją. Wiedząc, że kosztowne życie w takim razie jedynie kobietę uszczęśliwić może, wziął gruby pugilares do kieszeni i z młodą żoną wyjechał za granicę.

Korzystając jeszcze z dni jesiennych, dosyć pogodnych, zamierzyli zwiedzieć Wiedeń, Paryż i Londyn, a na zimę zatrzymać się dłużej w Dreźnie.

Podróż odbyła się z wielkim kosztem i komfortem.

Zrazu sprawiało to Adelaidzie wielką przyjemność.

Wychowana w zbytkach, potem ograniczona na życie bardzo oszczędne, a nawet czasem dotknięta brakiem najpotrzebniejszych wygód, karmiła często swoje marzenia bardzo bogatą przyszłością. Marzyła o dostatkach i kom-

forcie i przechodziła w wyobraźni swojej wszystkie roskosze takiego życia.

Dzisiaj te roskosze miała przed sobą. Była bogatą, mąż na nic nie szczędził, mogła rozkazywać, królować. Mogła dostatecznie wyróżnić się od ludzi pospolitych, o co najbardziej jej chodziło. Wszystkie jej arystokratyczne zasady zbiegały się w tym punkcie, aby być zawsze na wierzchu, w jakikolwiekbądź sposób.

Teraz miała środki do tego i mogła ich dowolnie używać. Używała więc w sposób wykwintny, wyrafinowany. Gdziekolwiek się pojawiła, posłała naprzód przed sobą jakiś blask uroczy, jakąś aureolę, która na nią zwracała uwagę wszystkich.

Czy to na dworcu kolei do wagonu weszła, czy przed hotelem z remizy wysiadała, czy przy obiedzie się okazała lub w teatrze lożę pierwszopiętrową zajęła — robiła to z tak dziwnym urokiem, że wszyscy na nią patrzeć musieli i jej piękność, bogactwo i szczęście podziwiać.

Robiła to wszystko po mistrzowsku, i była przytem w wysokim stopniu zadowoloną z siebie.

Trwało to czas niejaki. Wkrótce zaczęło się cóś psuć w jej szczęściu. To wypychanie siebie zawsze naprzód, ta żądza ustawicznej adoracyi i pokłonów popsuła właśnie całe jej sztucznie wyrafinowane szczęście.

Gdyby nie była zwracała na siebie uwagi, gdyby o tę uwagę nie była walczyła wszystkiemi środkami, cały świat puściłby ją mimo siebie, o nicby jej nie zapytał, żadną nie ukłuł szpilką.

Adelaida jednak nie mogła chodzić w zacieniu, nie mogła żyć ani chwili, nie będąc przekonaną, że tysiące oczu

patrzą na nią zazdroszcząc jej szczęścia.

Poza tem nie istniało dla niej szczęście, i nie warto nawet było ponosić tej ofiary, jaką poniosła.

Dopięła więc, czego chciała, co można było dopiąć bogactwem — świat ujrzał ją i patrzył na nią.

Ale właśnie to upragnione przez nią szczęście obróciło się teraz przeciw niej samej.

Gdyby mogła być sama tylko widziana, gdyby stary i ułomny mąż był niewidzialnym — możeby jakoś to uszło. A tak cały świat patrzał najprzód na nią, potem patrzał na ułomnego starca przy jej boku i pytał: Kto jest ten starzec wychudły? Czy to ojciec, czy stryj, czy może dziadek?

Trudno, aby ludzie długo byli w takiej niepewności. Zachowanie się starego człowieka zdradziło zaraz, że to nie ojciec, nie stryj, ale — mąż pięknej młodej kobiety!

Teraz dopiero dla wszystkich była ciekawą osobliwością. Bogactwem i komfortem zwróciła uwagę wszystkich, ale jako żona tego starego człowieka była powszechnem dziwowiskiem.

Odbijało się na twarzach patrzących, że z trudnością rozwiązywano zagadkę, co mogłoby tak młodą i tak uroczą kobietę zmusić do takiego nienaturalnego związku?

Różnych szukano powodów, a podczas tego patrzano na nią, patrzano z pewną wzgardą, z politowaniem!

Jedni uważali ją poprostu za towar kupiony, jaki zazwyczaj kupuje się na publicznych targowiskach. Mniemano, że stary sybaryta pod koniec życia nabył ten towar dla marnej rozrywki na rok lub dwa za pewne wynagrodzenie.

Inni trochę lepiej ją cenili. Widzieli w niej ślubną

żonę, ale zaliczali ją do tych lekkomyślnych kobiet, które z ubogiej sfery dochodzą w ten sposób do bogactwa i lepszych wygód życia.

O poświęceniu się dla rodziców lub jakiej zasady nikt nie myślał, bo do tego nie było danych. Zresztą teorya poświęcenia się dla rodziców jest tak bezmyślną, że dzisiaj nikt w nią nie wierzy. Któryż bowiem ojciec lub matka za lepszy dla siebie kęs chleba może sprzedać życie, całe życie swego dziecka?

Adelaida doświadczała teraz zgubnych skutków swojej wmówionej w siebie teoryi, która zresztą nie była prawdziwym powodem jej postanowienia.

W hotelu służba witała ją z uśmiechem dwuznacznym; ona widziała w zwierciadłach, które przedsionek zdobiły, jak po za jej plecyma dawano sobie różne znaki rękami i oczami. Widziała przy obiedzie, jak goście patrzali na nią i na męża i uśmiechali się do siebie. W teatrze widziała, jak większa część publiczności zwracała na nią uwagę, ale w oczach patrzących nie było podziwienia bogactwa i komfortu, ale było inne bardzo jej nieprzyjaźne uczucie. W muzeach, galeryach, wszędzie spotykały ją te wyzywające spojrzenia, które mówiły: Kobieto, dla czego zaprzedałaś się?

Do tego jeszcze pan Wojciech znacznie się teraz postarzał. Czy to niewygody podróży, czy od młodości żony tak niekorzystnie odbijał, czy zresztą sam zaczął poznawać niestosowność swego kroku — dosyć, że wyglądał staro, bardzo staro, a nawet ułomność jego tak się powiększyła, że wyglądał zupełnie garbaty!

Dwa miesiące upłynęły, miesiące miodowe i cukrowe,

a Adelaida wyniosła z tych dwóch miesięcy głęboką zmarszczkę na czole i smutny uśmiech wokoło swych ust blado-różowych.

Była syta takiego życia, zapragnęła trochę spokoju. A nawet potrzebne jej było takie cofnięcie się z widowni świata, bo na każdym kroku swoim znajdowała młodych ludzi, Lowelasów w swoim rodzaju, którzy szacując jej zasady według zamążpójścia, zbliżali się do niej w sposób wyzywający. Adelaida zaciskała usta ze złości, ale nie mogła robić skandalu i zamykała oczy na tak ubliżające zachowanie się swego otoczenia.

Miejscem wypoczynku miało być dla niej Drezno.

Pan Wojciech wziął piękne mieszkanie z balkonem nad Elbą w hotelu Bel-vue.

Tutaj było jej trochę lepiej. Cofnęła się do swoich saloników, jadała w pokoju u siebie. Czasami tylko jakiś ciekawy przechodzień rzucił okiem na piękną turystkę, siedzącą na balkonie w ciepłem jesiennem ubraniu.

Drezno było miejscem jej lat dziecięcych. Tu wychowała się, tu zaczęła po raz pierwszy marzyć, tu roiła sobie złotą przyszłość.

Gdzież to wszystko dzisiaj uleciało? Jej przyszłość, cel ostateczny marzeń, ostateczne nadzieje życia — mąż stary, schorowany, ułomny! Jakaż za to zapłata?... Śniadanie rano, obiad po południu i herbata wieczorem... i znowu śniadanie rano, obiad, a potem herbata i tak dalej aż do śmierci!

Obok niej mieszkała sędziwa kobieta, Amerykanka, która często na nią patrzała z wyrazem słodkim na twarzy.

Wreszcie raz na brylowskim tarasie zbliżyła się do niej i rozpoczęła rozmowę bárdzo biegle po francuzku.

Adelaida uczuła dziwną sympatyą do sędziwej matrony. Amerykanka była kobietą wysoko wykształconą, była zamożną, wiele widziała w świecie. Adelaida przyjęła ofiarowaną przyjaźń, i obie kobiety zaczęły bywać u siebie.

Wkrótce dowiedziała się Adelaida, dla czego sędziwa Amerykanka szukała jej przyjaźni. Wnuczka Amerykanki, bawiąc się raz albumem babki, przyszła z niem do Adelaidy i z chichotem okazała jej rysunek.

Adelaida spojrzała na rysunek i zarumieniła się.

Rysunek wyobrażał ją i jej męża, i miał podpis lakoniczny: Para małżeńska w Europie.

Podobieństwo było wyborne. Adelaida świeża i urocza, a przy niej skulony pan Wojciech.

Adelaida udała, że portretów nie poznała.

Ujrzała to babunia, wystrofowała wnuczkę, a zbliżywszy się do Adelaidy, wzięła ją za rękę i rzekła;

— Nie gniewaj się pani, żeś była dla mnie i jesteś ciekawym przedmiotem. Wyobraźnia moja już od kilku tygodni jest nieustannie czynną, aby sobie stworzyć ciekawą sytuacyą życia, która taką, jak pani, kobietę mogła zmusić do tego niewłaściwego małżeństwa! Sprawisz mi pani wielką przyjemność, jeźli mi choć kilka szczegółów z twego życia udzielisz.

To prawdziwie amerykańskie zapytanie sprawiło na Adelaidzie przykre wrażenie. Uśmiechnęła się ironicznie.

— Czy to w Ameryce byłoby tak dziwnem? — zapytała.

— Nietylko dziwnem, moja pani, — z szczerością odpowiedziała Amerykanka, — ale wprost niemożliwem!

— Czy tak? — sucho ozwała się Adelaida.

— Tak, moja pani. U nas panny mają wielką wolność. Tańczą, bawią się, stroją jak nigdzie w Europie. Gdyby kto taką wystrojoną nimfę na wieczorku widział, która w ręku trzyma bukiet, mogący dla skromnej dziewczyny być posagiem, myślałby, że ona nie pójdzie za innego jak tylko za milionera! Tymczasem za parę tygodni dowiadujesz się z dzienników, że Anabella poszła za subjekta z handlu futrzanego, i zajęła na tyłach hotelu małe trzy pokoiki, gdzie z fartuszkiem białym przed sobą stoi przy małej kuchence, aby ogień do samowara rozdmuchać, bo za pół godziny przyjdzie mąż, młody przystojny brunet z szafirowemi oczami.

Adelaida lekko westchnęła.

— Anabelli — mówiła dalej Amerykanka, — nawetby na myśl nie przyszło, że mogłaby pójść inaczej zamąż, gdyby naprzykład chciała zarzucić arkan na bogatego bankiera o sześciu krzyżykach. Ani nawet taki stary Krezus nie pomyślałby o tem, aby jej ofiarować swoje stare lata i kasę ogniotrwałą! Sytuacya więc pani musi być nadzwyczaj wyjątkową, jeźli mogła tak cudownie piękną osobą...

— Pani jako Amerykanka nie zrozumiesz tego, choćbym ci powiedzieć chciała. U was nie ma różnic rodowych, dla tego nie możecie ocenić nas i nasze stanowisko!

Amerykanka dłuższy czas myślała nad tem wyjaśnieniem, ale nie mogła tego dobrze zrozumieć. Adelaida zaś zwróciła rozmowę na inny przedmiot, a silna zmarszczka na jej marmurowem czole nie pozwoliła Amerykance dłużej na nią nastawać.

Od tej rozmowy rzadko widywała Amerykankę, i więcej

oddawala się samotności. W tej samotności przychodziły jej różne myśli do głowy. Myślała ciągle nad swojem położeniem, rozumowała nad sobą, chwytała się rozmaitych teoryj, ale w końcu uznała, że — nie jest szczęśliwą!

Mniejsza jeszcze, gdyby to nieszczęście tylko jej samej znane było. Ale duma jej bolała nad tem srodze, że to inni wiedzieli.

Nie ma przykrzejszego uczucia dla kobiety, jak chcieć wobec świata uchodzić za szczęśliwą, zadowoloną, a odbierać od niego dowody litości i ubolewania.

Adelaida chciała sobie gwałtem stworzyć szczęście, a przynajmniej takie pozory, żeby świat w jej szczęście uwierzył, i miał dla niej szacunek a nie litość.

Tego szacunku, którego każdy jej odmawiał, tej moralnej wagi, która tyle ma uroku, koniecznie pragnęła teraz Adelaida, za jakąbądź cenę. Było to dla niej koniecznie, nieodbicie potrzebnem.

Mój Boże, — myślała sobie, —jakbym to inaczej wyglądała obok Wojciecha, gdyby ta siwa głowa miała jakiś urok wyższy, jakiś wieniec lub laur zasługi publicznej! Gdyby był naprzykład artystą znakomitym, lub pisarzem głośnym, albo przynajmniej politykiem stojącym na czele stronnictwa parlamentowego?.... Wtedyby powiedziano:

Patrzcie! to sławny człowiek, a to jego żona! Mianoby szacunek dla takiej kobiety, która wyższość pokochać umiała — a tak... mówią: dla pieniędzy!

Adelaida zwiesiła głowę i długo myślała. Na nieszczęście pan Wojciech nie mógł być ani artystą ani autorem ani nawet sławnym dziennikarzem!...

Coś jednak wymyśliła Adelaida, bo twarz jej rozjaśniła się, a usta różowe uśmiechnęły.

— Adalbert! — rzekła do niego pieściwie — wróćmy do kraju!

— Jak chcesz, moja Adelo, wyjedziemy jutro, — odpowiedział pan Wojciech, który naprawdę już bardzo tęsknił za krajem.

ROZDZIAŁ XIX.

W kraju już gruby śnieg przykrył pola i łąki. Nikomu ani na myśl nie przyszło, że na tem prześcieradle grobowem złoży tegoroczna zima swój owoc krwawy dla pamięci wszystkich potomnych wieków!...

I dziwna to była zima. Wiatr mroźny sunął się po polach i po lasach, i roznosił wszędzie jakieś dziwne, tajemne wieści, które sobie od ucha do ucha dalej podawano. Z temi wieściami wciskał się szparami niedomkniętych okien do chat wieśniaczych, wsuwał się przez podwoje niestrzeżone do pałaców, sprawiając wszędzie ciszę grobową, zdumienie lub nadzieje.

A jednak nikt tego wiatru nie mógł ująć, nikt tych wieści nie mógł zebrać i zrozumiale wypowiedzieć, nikt nie umiał sobie zdać sprawy, co czuł przy tych wieściach, czy mróz czy gorąco?

Zwolna, powoli, coraz zrozumialej zaczął wiatr przemawiać, coraz głośniej odzywał się w chatach, dworach i pałacach.

W styczniu już wszyscy wiedzieli, że „coś będzie“. Tylko nikt nie wiedział — co!

Nie ma nic dla społeczeństwa tak niebezpiecznego, jak jakakolwiekbądź robota wewnątrz, śród ciemnoty i nocy.

Któż bowiem może tam poznać, kto przyjaciel a kto nieprzyjaciel? któż rozpozna w ciemności, czy mu podają rękę do uścisku, czy sztylet zabójczy?

Szeroko zaczęto już o tem mówić, że w kraju przygotowuje się ruch jakiś. Kiedy i w jakich granicach? nie wiedziano. Rząd dowiedział się, co mu zagraża, i w tych samych ciemnościach, w jakich ruch przygotowywano, zajął odporną pozycyą.

W każdym ruchu społeczeństwa są jedne i te same objawy. Sam ruch, prawem przyrodzonem, wychodzi zawsze od środka budowy społecznej. Dolne i wyższe warstwy nie uznają zrazu tego ruchu, a nawet wprost ciężarem swoim nieruchomem udaremniają go często.

Jest to zwykły proces każdego poruszenia. Inaczej być nie może. Każda rozwijająca się siła musi przebyć pewien opór z jednej i drugiej strony, bo tym tylko sposobem organizuje się i dojrzewa w siłę pewnej wagi. Siła działająca bez żadnych przeszkód, zużywa się sama w sobie i często może dojść tam, gdzie nie dążyła.

Takim samym prawom podlega społeczeństwo. Gdyby społeczeństwo bez oporu każdy ruch przyjmowało, musiałoby z biegiem czasu popaść w zupełną desorganizacyą, bo raz nie miałoby próby, czy ruch jest dobry i pożyteczny czy tylko gorączkowy, a powtóre trapione ustawicznym ruchem nie miałoby tego wypoczynku, który wszystkie siły organizuje.

Kiedy więc mieszkańcy Galicyi dowiedzieli się o gotującym się ruchu, natychmiast podzielono się w zastępy, z których jedne oświadczyły się za ruchem, drugie przeciw ruchowi.

Prawie w każdem społeczeństwie jedne i te same warstwy zajmują wobec każdego ruchu stanowisko odporu czyli tak zwane konserwatywne. Już sama istota ich bytu zmusza je do tego.

Są to warstwy ostatecznych kończyn społeczeństwa: lud osiadły na roli i właściciele większych majątków z tytułami lub bez tytułów.

Te dwie z natury swojej konserwatywne warstwy trzymają ruchliwy środek społeczeństwa, gdzie największa masa jego sił żywotnych się wyrabia, jakby w obręczach żelaznych.

Ruch przygotowany w Galicyi pamiętnego roku 1846 miał zatem tak, jak każdy inny ruch społeczny, przeciw sobie z jednej strony lud rolniczy, a z drugiej majętniejszą szlachtę kraju.

Te dwa konserwatywne z natury swojej żywioły potrzeba było dowódcom ruchu przyciągnąć na swoję stroną.

Najprzód starano się lud pozyskać. Była to sprawa bardzo trudna, a w dalszych widokach bardzo niebezpieczna. Środki, jakich do tego użyto, nie były pewne. Bez żadnych poprzednich przygotowań moralnych, bez owej mrówczej na długie lata obliczonej pracy, która warstwy społeczeństwa zbliża do siebie i w jeden zastęp jednoczy, chciano odrazu heroicznym środkiem poruszyć masy i pod sztandar zaciągnąć.

Podejrzliwy z natury swojej lud patrzał z niedowierzaniem na okazywaną mu perspektywę jego przyszłości, a mając świadomość przeszłości nie zbyt ponętnej, ociągał się z wiarą w tę przyszłość i zajął najniebezpieczniejsze dla każdego ruchu stanowisko — wyczekujące.

To wyczekiwanie wytłumaczono sobie korzystnie, bez uwagi na to, że właśnie w podobnej sytuacyi społeczeństwa największe pole do czynności swoich mają czarne jego duchy.

Roboty tych czarnych duchów, które jak potwory kryją się na dnie społeczeństwa, nikt nie widział, a nawet się jej nie domyślał.

Pozostała druga konserwatywna z natury warstwa społeczeństwa: majętniejsi właściciele dóbr z tytułami i bez tytułów.

Ludzie ci opierali się długo temu ruchowi, ale nie opierali się w imię zasady konserwatyzmu, bo takich zasad po większej części między nimi nie było.

Konserwatyzm europejski opiera się każdemu ruchowi fizycznemu i temu wszystkiemu, co podług jego teoryi do takiego ruchu prowadzi, ale za to wierzy w ruch interesów moralnych, rozważny ale nie ustający, i takiemu ruchowi wszystkiemi siłami służy.

Takiego konserwatywnego stronnictwa nie miała Galicya, bo ludzi opierających się z innych, częstokroć prywatnych pobudek ruchowi rewolucyjnemu nie można nazwać stronnictwem.

Było więc rzeczą bardzo naturalną, że ludzie ci, niezwiązani żadnym węzłem zasad jednolitych, zaczęli pod wrażeniem różnych widoków opuszczać gromadnie zajęte stanowisko i grupować się około ludzi ruchu, czyli jak wtedy nazywano: ludzi czynu.

Nie można wątpić, że wielu z nich miało pobudki bardzo szlachetne, że przystępując w ostatecznej chwili do ruchu, dali dowody bezwzględnego poświęcenia swoich zasad dla sprawy publicznej.

Takie jednak poświęcenia nie przynoszą społeczeństwu żadnych korzyści. Jest to tylko dowodem niemocy tych ludzi wobec kraju, dowodem, że nie poczuwając się do żadnych względem kraju obowiązków, nic nie robili i nic w swoich rękach nie mieli, czemby społeczeństwu mogli nadać kierunek.

Nie było to więc żadne poświęcenie zasad, ale poprostu abdykacya zdetronizowanych już de facto monarchów społeczeństwa.

Kilku z tych ludzi widziała Adelaida w Dreźnie.

— Co pan mówisz do wieści z kraju? — pytała jednego.

— Złe, bardzo złe, — odpowiedział zapytany, — zdaje się, że jakiś ruch będzie koniecznie.

— Co znaczy to słowo „koniecznie“?

— To znaczy, że go w żaden sposób powstrzymać nie można! Zanadto już rozszerzyło się.

— Czy był kto, co ten ruch chciał wstrzymywać?

— Jak pani możesz się o to pytać! Wszyscy chcieliśmy go wstrzymać.

— I nie mieliście panowie żadnego sposobu w ręku nato?

— Robiono wszystko bez nas!

Adelaida roześmiała się. Rzekła po chwili:

— Otóż w tem leży cała tajemnica naszych ruchów, zacząwszy od różnych konfederacyj w Rzeczypospolitej, że ci, na których obowiązek cięży przodowanie w społeczeństwie, chowają się po tyłach, aby tylko próżnować i nic nie robić! Gdyby każdy z panów poczuwał się do obowiązków dla społeczeństa, to byłby dla niego coś robił, a robiąc coś, byłby miał w ręku wodze, jakiemi zazwyczaj

kieruje się społeczeństwo. A tak zostaliście na boku, a prąd poszedł mimo was!

Drugi raz obaczyła znowu kogoś i zapytała:

— Co pan sądzisz o mającym nastąpić ruchu?

— Co sądzę... cedził zwolna zapytany przez zęby — co sądzę... właściwie jeszcze sam nie wiem... bo tak różnie mówią o tem...

— Przecież pan powinieneś już wiedzieć: czy z ruchem, czy przeciw ruchowi?

— Ja właściwie jestem przeciw ruchowi, ale dotąd jeszcze nie oświadczyłem się. Czekam jak daleko ta rzecz zajdzie!

— A jeśli dalej zajdzie?

— Wtedy nie pozostaje nic innego, jak przyłączyć się do ruchu.

— Jak to? Mimo zasady i przekonania?

— Mais-que voules-vous? Jesteśmy między młotem i kowadłem. Pójdziemy z ruchem, a nuż ruch się nie uda, złapie nas rząd za czuprynę; oświadczymy się przeciw ruchowi, a ruch się uda — wlézą nam swoi na kark! Radźże tutaj pani!

Adelaida rozśmiała się i odwróciła od wielkiego galicyjskiego dyplomaty.

A byli nawet i tacy między tymi ludźmi, którzy każdego emisaryusza napoili i nakarmili, a potem swoją drogą panu Kreishauptmanowi niektórych rad ogólnych udzielali, aby ten ruch fatalny powstrzymać.

W takim stanie rzeczy postanowiła Adelaida zjechać z mężem do kraju i w przygotujących się wypadkach wziąć taki udział, jakiby za najlepszy uważała.

W kraju było już wtedy wielkie, chaotyczne zamie-

szanie. Zastęp konserwatystów był już prawie zupełnie rozbity. Wpłynęła na to najwięcej niepewność, co będzie. Byli ludzie, którzy rozprawiali o tak kolosalnych przygotowaniach do ruchu, o takich niezmiernych zasobach, które już nagromadzono, że domorodnemu konserwatyście biegały ciarki po ciele, gdy sobie pomyślał, że to wszystko przeciw niemu obrócić się może, jeśli z ruchem nie pójdzie.

Politycy wielkiego kroju z miną tajemniczą napomykali coś o mocarstwach, które ten ruch w swoim interesie wspierają i tylko czekają pierwszego hasła, aby wywiesić sztandar wojny!

Nic dziwnego, że pod takiem wrażeniem ludzie konserwatywni robili co mogli, aby się z tej i owej strony osłonić, bo do samej walki nie mieli ani zasad ani ochoty.

Pomagano sobie w ten sposób, że zajęto wobec ruchu stanowisko trochę dalsze, a plenipotentom swoim i oficyalistom zostawiano rozkazy sprzyjające ruchowi. Tym sposobem powiększała się liczba adherentów ruchu i pociągała innych za sobą.

W tym to czasie przybyła Adelaida z mężem do kraju. Już w pierwszych początkach objęła bystrem okiem sytuacyą kraju.

Przekonała się, że ruch się odbędzie, że nic go powstrzymać nie zdoła.

Pomyślała nad tem, jakie w tem wszystkiem zająć miejsce, któreby jednak zawsze było w pierwszych rzędach.

Mówiła o tem z mężem kilka razy. Z jego mowy dowiedziała się, że i on po części już należy do liczby tych ludzi, którzy wprawdzie ruchu nie chcieli, ale nie mogąc

go wstrzymać, uważaliby za swój obowiązek iść razem z ruchem.

Gdy o tem dowiedziała się Adelaida, postanowiła z tego usposobienia męża swego skorzystać i stworzyć sobie z niego człowieka, któryby choć przed światem wart był jej miłości.

Adelaida chciała na głowę męża włożyć wieniec zasługi obywatelskiej i otoczyć go aureolą wyższego człowieka. Wyróżniwszy go w ten sposób, chciała go podnieść do siebie, do swojej młodości, przy której jużby nie tak odbijał, jak dzisiaj. Mogłaby wtedy kochać w nim co innego, i tak sobie wyjątkowe szczęście swoje wyrozumować.

Do tego potrzeba jej było Edmunda.

Edmund bowiem przez te kilka miesięcy wyrósł w swoim powiecie do pewnej powagi, jaką mu nadało stronnictwo ruchu. Ludzie, którzy dawniej posądzali go o plany ambicyjne, za jakiemi gonił zbankrutowany członek arystokracyi, zbliżali się teraz do niego i ściskali mu rękę. Pierwej mówiono powszechnie, (słusznie czy niesłusznie, mniejsza o to), że Edmund ze swoją zubożałą tarczą herbową dla tego wszedł w szeregi demokracyi, aby tam zostać prymasem albo przynajmniej biskupem. Dzisiaj jednak widziano już w nim biskupa i polecano się jego opiece.

Adelaida nie mogła go teraz ominąć. Jakkolwiek pomiędzy obecnością a niedawną przeszłością tyle czasu i rzeczy ubiegło, jednak myśl o Edmundzie przeszła jak iskra elektryczna jej serce.

Szybko jak iskry elektryczne przebiegły przez głowę dawne jej marzenia, w których Edmund miał rolę pierwszorzędną... marzenia te zabolały ją w tej chwili, i zamknęła

przed niemi serce, aby ich tam nie puszczać. Były to już marzenia stracone. Były to marodery wojska, które bitwę przegrało!

Adelaida zacisnęła usta, aż zęby zgrzytnęły, i postanowiła dalej iść swoją drogą.

Zaprosiła kilku znakomitszych sąsiadów i napisała liścik krótki do Edmunda.

W oznaczonej godzinie stawili się spiesznie sąsiedzi, bo w przyjeździe pana Wojciecha z zagranicy widzieli coś nadzwyczajnego. Byli pewni, że pan Wojciech przynajmniej ma dla nich depesze od królowej Wiktoryi albo Ludwika Filipa. Takiemi bowiem rzeczami karmiła się podówczas wyobraźnia biednych mieszkańców.

Pan Wojciech nie miał wprawdzie dla sąsiadów depesz od Guizota ani królowej Wiktoryi, ale miał dłoń szczerą, którą wszystkich bez wyjątku ściskał serdecznie.

Adelaida zaś miała dla wszystkich uśmiech tak roskoszny i tyle pięknych słówek, tak wiele mówiła o potrzebie solidarności, o jedności, o poświęceniu się, że poczciwi sąsiedzi sami nie wiedzieli, kto tutaj jest politykiem, pan Wojciech, czy pani Adelaida? —

Śród takiej rozmowy wszedł Edmund.

Edmund przez te kilka miesięcy na pozór wcale się nie zmienił. Miał tę samą postawę szlachetną, głowę do góry podniesioną, twarz piękną i regularną.

Na pierwszy rzut oka nie widać nawet było, że ten człowiek przebył przed kilkoma miesiącami bolesne rozczarowanie, że teraz przed sobą widzi tę samą kobietę, która mu to rozczarowanie bolesne sprawiła.

Czyż tak mało czuł tę boleść? Czy młodość jego pozwoliła mu bez szwanku znieść ten cios okrutny? Czy siła ustawicznego odradzania się człowieka, czyli jak mówią fizyolodzy: zmiana materyi, wykroiła ten bolesny strzępek serca jego i zastąpiła go świeżym, nie pozostawiwszy nawet żadnego wspomnienia?...

A może serce jego po tym bolesnym ciosie powróciło napowrót tam, gdzie przedtem było, do Olgi?

Trudno, bardzo trudno dowiedzieć się czegoś z tej twarzy. Wprawdzie jest między brwiami jakaś głęboka zmarszczka, której dawniej tam nie było, ale cóż może oznaczać ta zmarszczka?

Edmund przywitał się z kuzynką, ale przywitał się zimno i sztywnie.

Nie była to jednak obojętność, ale było zimno, po za którem mógłby być jakiś żal, jakaś boleść ukryta.

Adelaida domyślila się tej ostatniej, i silniej niżeli zwykle oddała uścisk ręki, ale serce swe — zamknęła.

Zapewnie i Edmund domyślił się tego, bo się uśmiechnął i z pewną pychą obrażoną wąsiki podkręcił.

Odstąpił od Adelaidy i usiadł przy panu Wojciechu.

Możnaby go teraz było posądzić o mały podstęp.

Usiadł przy panu Wojciechu, aby Adelaida miała porównanie, jakby on wyglądał, gdyby był jej mężem, a jak wygląda pan Wojciech.

Zaiste przyrównanie było fatalne dla pana Wojciecha.

Sąsiedzi, którzy o dawnych marzeniach Edmunda wiedzieli, spostrzegli to niefortunne przyrównanie, i mimowoli spojrzeli po sobie. — Przywołanie Edmunda z dalszego

powiatu na to zebranie, wzięli po prostu za przywołanie wspomnienia ze strony pięknej pani Adelaidy.

Ważniejsza jednak sprawa odwróciła ich teraz od podobnych prywatnych spostrzeżeń. Nawet nikt nad tem się nie zastanawiał, że Adelaida od czasu zjawienia się Edmunda była trochę bledsza.

Mimo to mówiła bardzo wiele. Mówiła o nastąpić mającym ruchu i potrzebie wzięcia tego ruchu w ręce wypróbowane i pewne, niżeli miałby być kierowany przez ludzi nikomu nieznanych i nieodpowiedzialnych.

Sąsiedzi nie stawiali takiemu rozumowaniu żadnego zarzutu, tylko Edmund już z natury zajętego dawniej stanowiska oponował temu.

— Jesteś, kochany kuzynie, demokratą pur sang — rzekła do niego z uśmiechem Adelaida.

— Nigdy się tego nie wypierałem i nie wyprę — odpowiedział z dumą potomek dawnych dygnitarzy Rzeczypospolitej.

Adelaida uśmiechnęła się z ironią, ale nie uważała za stosowne na to odpowiedzieć w tej chwili.

Zdaje się, że i sąsiedzi byli tego zdania.

Rozmowa zeszła na poważniejsze tory. Adelaida mówiła bardzo wiele i zawsze kładła nacisk na to, że potrzeba ruchowi pewnych ludzi odpowiedzialnych, którzy z nazwiska i z majątku znani są krajowi.

W takim razie uważała za obowiązek każdego, aby iść z rozpoczętym już ruchem i dać mu pewniejszy kierunek.

Kilka razy podnosiła, że nawet mąż jej nie wyróżniałby się od innych, i jeżli potrzeba zająłby odpowiednie stanowisko.

Edmunda nie dziwiło to wcale. Często widział teraz ludzi, którzy dawniej jak najmocniej sprzeciwiali się ruchowi, łączących się teraz z tym ruchem i to nawet z pewną ostantacyą.

Długo i szeroko rozmawiano, poźną dopiero nocą rozjechali się goście, podziwiając talent polityczny pani Adelaidy.

Dom pana Wojciecha stał się przeto wkrótce miejscem licznych zjazdów, na których wiele rozmawiano i wiele na korzyść ruchu pracowano.

Duszą tych wszystkich czynności była Adelaida. Zdawało się wszystkim, że pan Wojciech był tylko wykonawcą jej woli i jej planów.

Zdawało się także, że ona w hierarchyi powiatowej wyrobiła mu nawet pewne wyższe stanowisko, i do tego doprowadziła, że w mającym nastąpić ruchu przyjął nawet pewną czynną rolę.

Adelaida chodziła teraz rozpromieniona, patrzała innem okiem na starego męża, i widziała już naprzód wokoło jego siwej głowy pewną aureolę.

Było to uczucie piękne i szlachetne; chciała tem uczuciem uspokoić swoje sumienie, że nie tylko pieniądze wiążą ją do tego człowieka, bo ten człowiek w jej oczach był już pewnego rodzaju bohaterem..

Taki plan przyszłego swego szczęścia stworzyła sobie Adelaida i już naprzod niem się cieszyła.

Do niego uciekała z marzeniem swojem, jeźli widok Edmunda budził w jej duszy dawniejsze wspomnienia.

Edmund ze swojej strony nie budził niczem tej nie-

dawnej przeszłości, był zimny i sztywny, jakby miał jakąś urazę, ale duma jego nie pozwalała mu tej urazy okazywać.

Tak stały rzeczy, gdy ostatecznie nadszedł czas, w którym miał się przygotowany ruch rozpocząć. Z zapartym w piersiach oddechem czekano dnia, który miał się stać dniem katastrofy.

ROZDZIAŁ XX.

Gdy Adelaida usilnie się starała, aby mąż pewną czynną rolę w tym ruchu objął, nie wyobrażała sobie nigdy, aby podobna rola mogła być dla niego bardzo niebezpieczną. Wiedziała o tem, że podczas walki giną zazwyczaj prości żołnierze lub niżsi oficerowie, a bardzo rzadko członkowie sztabu.

Pan Wojciech nie potrzebował stać w pierwszych szeregach, jemu nie groziło takie niebezpieczeństwo jak tym, co w tych szeregach stoją. Rola jego odnosiła się więcej do departamentu administracyjnego.

W takim razie nie potrzebowała Adelaida obawiać się o jego życie, a gdyby nawet i ruch cały się nie powiódł, była zawsze sposobność dostania się za granicę, i ujść co najwięcej, więzienia.

Takie wyobrażenie miała Adelaida o tym ruchu. To też wesołą była i uśmiechniętą, gdy nadszedł dzień, w którym miała się z mężem pożegnać.

Cieszyła się, że ten mąż nawet teraz jakoś odmłodniał, że w jej oczach już zakrawał na bohatera, że nawet serce jej na jego widok już nie tak uporczywie milczy, jak dawniej milczało.

Sam pan Wojciech czuł to usposobienie żony. Czuł

jej gorące usciski, czuł jej długie pocałunki, widział w tych ciemnych, dużych oczach tyle miłości, tyle uwielbienia!...

Nieprzyjemnie uderzyło Adelaidę, gdy pan Wojciech z jej uścisków powoli się wysunął i zażądał od niej kilku chwil wolnych.

— Wszak już wszystko masz gotowe — rzekła z chmurką na czole Adelaida — czemuż tych kilku chwil nie możesz mnie poświęcić?

— Trzeba Adelo — odpowiedział z uśmiechem pan Wojciech, — trzeba przecież zrobić jeszcze jaki porządek.

— Jakto, czy chcesz jeszcze dyspozycye gospodarskie dawać?

— Nie dyspozycye gospodarskie... ale trzeba rozrządzić jakoś... na wypadek —

Adelaida zbladła.

— Co mówisz! — zawołała — przecież o tem nigdy nie myślałam!

— I ja, moja droga, o tem nie myślałem, ani myślę — odparł z dobrotliwym uśmiechem pan Wojciech — ale zawsze w takim razie trzeba zrobić porządek.

— Zlituj się, nie mów więcej o tem!

— Jestto tylko zwykła formalność.

— Nie chcę tej formalności; zostań ze mną!

Pan Wojciech został, ale mimo to pod pozorem wysłania depesz, oddalił się do swego gabinetu i zrobił, co chciał — napisał testament. Ukrywszy go starannie na dnie szuflady, zamknął biórko i żonie klucze oddał.

Pożegnanie było tkliwe i gorące. Zaniepokojona ostatnią rozmową Adelaida przycisnęła męża z konwulsyjną

gwałtownością do siebie, jakby go już po raz ostatni ściskała....

Rozłączenie musiało nastąpić; pan Wojciech odjechał.

Była to druga połowa lutego. Mróz był dwudziestostopniowy. Śnieg skwirczał pod sankami, gdy otulony we futro pan Wojciech odjeżdżał.

Mimo mrozu stała Adelaida na ganku i białą chustką żegnała męża, póki na zakręcie drogi z oczu nie zniknął.

Jakże biło teraz jej serce! Jakże ona kochała go w tej chwili! Co za dziwna trwoga przeszywała jej serce, gdy sobie ostatnie jego słowa przypomniała?...

Była ona teraz kobietą w całem znaczeniu tego słowa! Ona teraz kochała!

Na pół od zimna skostniała zawlokła się do swego pokoju, odprawiła służbę i rzuciła się na klęcznik. Złożyła spazmatycznie ręce, podniosła oczy do wszechmocnego Boga, a jasne jak perły łzy polały się po jej bladej twarzy.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Od tej chwili zdawało się Adelaidzie, że jest zupełnie inną kobietą. Znikł dla niej urok bogactwa, śmieszne wydały się jej teraz laury, zbierane po stolicach Europy; wszystko, na czemkolwiek opierała dawniej szczęście swoje, usunęło się wgłąb i przepadło, a przed nią jako jedyna światła smuga życia został — mąż!

Ten sam człowiek, którego dawniej widziała starym i ułomnym, stał dzisiaj przed nią w całym uroku — kochanka!

Serce jej pukało na myśl, że temu człowiekowi może się stać co złego, zdawało się jej, żeby tego nie przeżyła.

Otworzyła okno i puściła zimny słup mrozu do ocieplonego pokoju, aby oddychać tym samem mroźnem powietrzem, jakiem on w tej chwili oddycha.

Zdawało się jej, że jest teraz zupełnie szczęśliwą, pieściła się tem szczęściem, temi wzruszeniami serca, których dawniej napróżno łaknęła.

Ale to szczęście jej było tak niepewne! Każda chwila zagrażała mu, każdy oddech wzruszonej piersi mógł je pożegnać na zawsze.

Przechodziła w wyobraźni wszelkie możliwe sytuacye. Widziała męża walczącego z tysiącznemi trudnościami, widziała go upadającego śród tych trudności, serce jej ściskało się wtedy z bolu... Widziała go znowu ze zwycięzkim sztandarem w ręku, widziała szlachetną twarz jego, ogniem pałające źrenice... Takiego przyciskała z niedoznanem dotąd uczuciem do piersi, i wpadała w zachwycenie, o jakiem dotąd wyobrażenia nie miała.

Śród takich obrazów i wzruszeń minęła noc.

Gdy dzień nastał, wyszła Adelaida ze swego pokoju blada, z gorączkowym płomieniem w oczach. Twarz jej klasycznie piękna, miała teraz urok szlachetny. Przybył jej jakiś nowy wdzięk, jakiego pierwej nie było.

Stanęła przy wielkiem oknie salonu i spojrzała na śniegiem pokryte pola. Wiatr mroźny sunął się głucho po tych białych wzgórzach, sypał w dolinach piętrowe barykady i ścinał w drzewie ostatnie żywotne soki.

Adelaida stała tak długo i patrzała na ten obraz ponury. Było coś grobowego w tem obrazie, co zapierało oddech w ciepłej piersi, co ścinało lodem oczy patrzące.

Tam na dalekiej drożynie, w białym tumanie śniegu zamajaczyło coś czarnego.

Adelaidzie uderzyło serce w piersiach.. Czy to nie on? — pomyślalała sobie, a twarz jej zaczęła płonąć rumieńcem.

Czarny punkt powiększał się coraz więcej, przybierał powoli wyraźniejsze kształty... Adelaida widziała już konie... sanki... i dwóch mężczyzn...

Konie pędziły galopem... chmura pary unosiła się nad niemi... z nozdrzy wytryskały strumienie wody...

Wreszcie dopadły konie do bramy... zaryły kopytami w śniegu... a jeden z nich powalił się, aby już więcej żywym nie powstać...

Ze sanek zeskoczył mężczyzna otulony w niedźwiedzie, w wysokich butach, przebiegł dziedziniec i wpadł nierozebrany do sali.

Był to Edmund.

— Gdzie mąż? — zapytał głosem ochrypłym.

— Mąż? — odpowiedziała z zadziwieniem Adelaida — mąż odjechał na swoje stanowisko.

Edmund załamał ręce.

— Ruch odwołany! — zawołał.

— Odwołany? — powtórzyła Adelaida i stanęła chwilę jak wryta.

Powoli wracało życie na jej twarz piękną. W tej chwili była ona tylko kobietą. Niebezpieczeństwo dla męża minęło.

— Odwołany ruch! — powtórzyła nie pojmując jeszcze, co te słowa właściwie znaczą. Cóż teraz będzie?

— Co będzie, nie wiem; ale źle się zaczęło! — odparł Edmund, a pot kroplisty wystąpił mu na czoło.

— Co się zaczęło? — z niepokojem odpowiedziała Adelaida.

— Mirskiego porębali chłopi kosami na kawałki, gdy im czytał manifest nowego rządu...

Adelaida zmieniła się nagle w statuę z marmuru.

— Na cóż czytał manifest, jeśli ruch odwołany? — zapytała po chwili drżąc cała.

— Odwołanie nie doszło go na czas! — odparł z ciężkim oddechem Edmund.

— Nie doszło na czas!... Dla czegoż chłopi...

— Zwrócili się przeciw nam! Nie pytaj dla czego! Czarne duchy podsyciły jego nieufność ku nam!...

Adelaida załamała ręce.

— Cóż robić? Cóż robić? — zapytała w gorączce.

— Każ mi zaprzęgnąć świeże konie!

— Gdzie chesz jechać?

Edmund upadł teraz na krzesło jak kawał drzewa. Głowa pochyliła się wtył, pot kroplisty oblał mu czoło — z twarzy znikł nagle wszelki ślad życia.

Adelaida krzyknęła na służbę, sama chwyciła za ręce — ręce Edmunda były zimne jak lód.

Zbiegła się służba. Zdjęto z omdlałego futro, porozcinano szal, obmyto mu skronie zimną wodą.

Twarz Edmunda zapaliła się gorączką. Otworzył usta i ledwo zrozumiale wyszepnął:

— Cztery dni i nocy... nie spałem... w ciągłej podróży...

I znowu zaczął odchodzić od przytomności.

Adelaida kazała go złożyć na sofie, i w tej chwili wysłała konie do najbliższego miasta po lekarza.

Za dwie godziny spienione konie przywiozły lekarza.

Lekarz obejrzał chorego i zadeklarował gorączkę nerwową.

Ustroj nerwowy Edmunda nie mógł wytrzymać takiego naprężenia, jakiego wymagały ostatnie dni przed ostatecznym terminem ruchu.

Przez cztery ostatnie dni i noce rzeczywiście nie zamknął ani oka, a podróż nieustanna śród mrozu i zawiei śniegowych dokonała reszty.

Gdy Adelaida na taki wyrok doktora ręce załamała, odparł tenże z westchnieniem:

— To jeszcze nic, ale co tam się dzieje!

I wskazał ręką na powiat Tarnowski.

Adelaida zbladła jak trup.

— Tam palą i mordują! — dodał nieostrożnie.

Adelaida upadła na krzesło.

Po chwili podniosła się i z wyrazem Judyty na twarzy zawołała na służbę i kazała w tej chwili zaprzęgać.

— Gdzież pani pojedziesz? — zapytał lekarz zaniepokojony takim wyrazem.

— Do męża! — odpowiedziała Adelaida i wypadła ze sali do swego budoaru.

Za pół godziny wyszła ubrana we futro, rozkazała służbie, aby o chorym mieć jak największe staranie, zmusiła lekarza, że obiecał pozostać przy chorym aż do jej powrotu — i odjechała.

Podróż Adelaidy była bardzo smutna.

Wiatr toczył przed nią tumany śniegu, jakby zwijał olbrzymie prześcieradła grobowe dla pomordowanych! Wierzchołki sosen jęczały jak płaczki pogrzebowe, śnieg zgrzytał pod kopytami koni, które niegdyś podziwiała miejska, swobodna publiczność.

Wkoło głowy Adelaidy unosiły się, jak stada czarnych kruków, czarne myśli i mroziły jej serce już i tak zimnem wiatru na lód ścięte.

Bez wytchnienia pędziły angielskie konie aż do zmroku. W prostej karczmie na rozdrożu dano im trochę wytchnąć. Dla ogrzania się weszła Adelaida do izby szynkownej.

W izbie szynkownej siedzieli chłopi grupami przy stole. Między nimi był najwymowniejszym młody, prosty chłop z krótko strzyżonemi włosami. Był to widocznie dawny wojskowy. Przy nim siedziała jakaś niepokaźna figurka w czapeczce urzędowej, paląca tytoń z fajki porcelanowej, na której było napisane jakieś nazwisko niemieckie.

Gdy Adelaida we futrze sobolowem weszła do szynkowni, wszystkich oczy zwróciły się na nią. Niepokaźny człowieczek szepnął coś urlopnikowi do ucha. Za chwilę szły szepty od jednego ucha do drugiego.

Powoli zaczęli chłopi pojedyńczo wynosić się z karczmy. Coś było w ich twarzach, co niepokoiło Adelaidę. Wychodzili cicho, na palcach, jakby się skradali do czegoś...

Po niejakim czasie wyszedł i mały człowieczek z fajką porcelanową, a cała izba wypróżniła się.

Żydówka zbliżyła się powoli do Adelaidy.

— Niech pani ztąd wyjedzie, — szepnęła do niej niby poprawiając w piecu.

Adelaida usłyszała teraz skrzyp butów po za oknami karczmy. Wyszła szybko do sieni. Konie stały gotowe, bo stangret coś także zmiarkował.

— Wrócimy się kawałek — szepnęła Adelaida stangretowi.

Stangret zrozumiał te słowa, skręcił na miejscu i wypadł z karczmy.

Gdy sanki były już na drodze, rozległ się za niemi krzyk okropny i przeszywający, a gdy Adelaida się obejrzała, obaczyła czarną chmurę pędzących za sankami chłopów z wrzaskiem przeraźliwym. Zasadzka nie udała im się.

Spory czas sunęła się ta czarna chmura za nimi. Od czasu do czasu zalatywał do nich jakby szum orkanu, jakby szum wylewającej się wody.

Wreście ustał — konie biegły lepiej od ludzi.

Adelaida kazała skręcić na boczną drogę, aby napowrót zdążyć do dawnego kierunku drogi.

Droga prowadziła teraz między lasami. Nigdzie nie było ani wsi ani dworu. Biała przestrzeń rozciągała się od lasu do lasu, jak duży kawał kamienia.

Teraz zaczynała droga iść do góry. Im więcej się sanki wznosiły, tem jaśniej było widać jakieś świetlane smugi po nad lasami.

Adelaida spojrzała na te smugi, równocześnie spojrzał na nie i stangret.

— Czy to księżyc wschodzi? — zapytała Adelaida.

— To by było dwa księżyce — odparł stangret pokazując ręką na las przeciwległy.

Teraz stanęły sanki na najwyższym szczycie drogi. Ale cóż za widok odsłonił się przed oczami Adelaidy?

Na widnokręgu prawie w półkole świeciły pożary...

I zdawało się Adelaidzie, że słyszy jakieś przytłumione głosy piekielne, które zwolna to cichły, to się wznosiły, jakby pochodziły tam z drogi leśnej... Zdawało się także stangretowi, że pomiędzy drzewa widzi w oddali jakieś światła migające...

Głosy piekielne cichnęły co raz więcej, światła zagasały, i wszystko w grobową ciszę i ciemność zapadło.

— Czy co widziałeś? — zapytała Adelaida stangreta.

— Ktoby tam patrzył na takie rzeczy — odpowiedział stangret — jeźli je zły duch na omamienie podróżnych wyprawia!

Przeżegnał się i zaciął konie.

Za pół godziny skręciła się nagle droga do lasu.

— Źle jedziemy! — zawołała Adelaida.

— Cóż robić? — zapytał stangret wstrzymując konie.

— Trzeba przeczytać napis na słupie; masz zapałki?

Stangret dał lejce służącemu, a sam poszedł do słupa, który rozkrzyżowany stał na rozdrożu.

— Czy nie możesz zapalić? — zapytała niecierpliwie Adelaida patrząc na ciemne smugi drogi.

— Wiatr nie da zapalić!

— Masz tę chustkę, zapal ją.

I rzuciła mu białą batystową chustkę.

Stangret zapalił chustkę. Francuzki batyst zajął się jasnym płomieniem.

— Co to ciemnego na drodze? — zapytała Adelaida.

— To krew! — odpowiedział stangret i cofnął się.

— Krew? — powtórzyła Adelaida bez dźwięku — czy krew świeża?

— Zdaje się, że świeża — odpowiedział żegnając się stangret.

Adelaidę ścisnęło coś za krtań; nie mogła nic dalej mówić.

— Gdzie jechać? — zapytał po chwili stangret.

— Jedź gdzie chcesz! — odpowiedziała.

Stangret skręcił na prawo i zaciął konie.

ROZDZIAŁ XXI.

Pół roku minęło.

Na mogiłach pomordowanych i poległych porosła trawa. Zakwitnęły kwiatki i rozgościły się muszki złotoskrzydlne.

Cicho i spokojnie spali tam przykryci trawą i polnemi kwiatkami, i we śnie słuchali brzęku muszek złotych i świegotu ptasząt, siadających tutaj dla odpoczynku.

Nie tylko pola naznaczył ten rok pamiętny mogiłami, widać było i na ulicach miast czarne jego znaki.

Tu i owdzie przemykała się blada kobieta w grubej żałobie, prowadząc za sobą małe sieroty. Często także w takiej samej sukni kobietę powiozła kareta szczelnie zamknięta, a przechodzący ustępowali się z uszanowaniem i w milczeniu.

Właśnie taka, jak ją żebraczki krakowskie nazywały, „czarna pani" przejechała przez ulicę floryańską w zamkniętej karecie. Żebraczki pospieszyły za nią, i pospieszyły nie napróżno, bo czarna pani wysiadając z karety obdarzyła je jak zwykle hojną jałmużną.

Czarna pani zaś wolnym krokiem wyszła po schodach na pierwsze piątro i weszła do drzwi, które służąca w milczeniu otworzyła.

Pokoje, przez które ta czarna pani przechodziła, były

pięknie urządzone, ale miały smutną atmosferę. Firanki ciemnego koloru przysłaniały wysokie okna do połowy, a reszta przyćmiona była napół przeźroczystą białą tkaniną.

Zdaje się, że mieszkanka tych pokoi chciała jak najmniej przypuścić do siebie tego światła bożego, którego każde życie tak pragnie. Jej było go za wiele.

Minąwszy kilka pokoi weszła do ostatniego, który więcej podobny był do ciemnicy, niżeli do mieszkania ludzkiego.

Tam rozebrawszy się, odprawiła służącą i stanęła przed wielkim obrazem, który przedstawiał mężczyznę już w niemłodym wieku.

Była to Adelaida.

Była blada, na twarzy wycisnął się ślad wielkiego cierpienia, oczy trochę zagłębiły się, ale mimo to była cudownie piękna, była urocza. Nawet to cierpienie dodało jej wiele uroku, ta zmarszczka na tem wyniosłem czole miała w sobie coś niepojętego, co przyciągało do tej kobiety.

Adelaida zwróciła się właśnie do stolika, na którym leżała książka otwarta, gdy w przedpokoju ozwał się dzwonek. Służąca podała jej kartę wizytową.

Twarz Adalaidy rozpromieniła się. Szybko wyszła do salonu.

W salonie czekała już matrona w podeszłym wieku. Miała twarz wyżółkłą i pomarszczoną, oczy jednak były czarne i bystre.

— Ciociu! ciociu! — krzyknęła Adelaida i rzuciła się na szyję sędziwej matronie.

Sędziwa matrona była rzeczywiście jej krewna, stryjeczna siostra jej matki i matki Edmunda.

Panna Flora, jak powszechnie w familii nazywano staruszkę, mieszkała od lat kilkunastu za granicą.

Adelaida widziała ją tylko raz w życiu, gdy była jeszcze bardzo młodą panienką. Ucieszyła się więc szczerze, posadziła ciotkę na kanapie, ściskała ją i całowała.

Była to od pół roku pierwsza istota, którą Adelaida w domu swoim przyjmowała. Dotąd były jej drzwi zawsze zamknięte, jakby w zakonie.

Po niejakim czasie, po różnych pytaniach bez odpowiedzi i odpowiedziach bez pytania, ozwała się panna Flora:

— Droga Adelo, powiedzże mi co o sobie! Więc od pół roku jesteś już wdową...

— Pół roku! — odpowiedziała spokojnie Adelaida.

— Jakże to się stało z nieboszczykiem?

— Tak samo, jak z wszystkimi innymi, tylko z tą różnicą że nie był ani kosą, ani siekierą zabity.

— Umarł w więzieniu!

— Gdy go w podróży pochwycono, związano go i trzymano na śniegu przy mrozie dwudziestostopniowym.

— Barbarzyńcy!

— Kto taki? — machinalnie zapytała Adelaida.

— Chłopi! — odpowiedziała szybko panna Flora.

Adelaida uśmiechnęła się boleśnie.

— Tak związanego — mówiła dalej — trzymano w śniegu noc całą, potem skośniałego odstawiono do więzienia.

— W więzieniu umarł!

— Gdym zdążały po różnych przygodach do miasta powiatowego, był Wojciech już niebezpiecznie chory, miał silne zapalenie płuc... Za kilka dni byłam wdową!

— Okropnie!

— To, czegom sama doznała, było okropne; ale to, co w mej podróży widziałam, było — nie do opisania!

Adelaida spojrzała z trwogą wkoło siebie i podniosła rękę do góry, jakby odpędzała od siebie jakie widmo czarne.

Głuche milczenie panowało czas niejaki. Panna Flora nic nie mówiła, tylko od czasu do czasu ukradkiem na Adelaidę patrzała.

Po niejakim czasie wzięła ją za rękę i rzekła:

— Bóg zsyła nam wielkie cierpienia, ale nie każe nam upadać pod niemi.

— Proszę go codziennie o łaskę, abym mogła znieść los mój smutny. Osobliwie dzisiaj, gdy i ojciec mój opuścił....

— Poczciwy pan Albert! Nie było lepszego człowieka na świecie. Cóż zrobił ze swemi obrazami? Słyszałam, że miał trzy Rubensy, dwa Rafaele i pięciu....

— Łudził się biedny aż do śmierci, ale gdy licho przyniosło w nasze góry jakiegoś artystę, i ten wprost autentyczności jego obrazom zaprzeczył, biedny ojciec zmartwił się, i serce mu pękło!

— Przywiązał się do myśli.... Ale właśnie dzisiaj, gdy jesteś podwójną sierotą, nie powinnaś prośbami twemi ustawicznie Boga tentować, ale powinnaś sama w sobie szukać ratunku i podniesienia się z dzisiejszej niemocy.

— Robię, co mogę, i Bóg jakoś pozwala mi znosiś moję boleść.

— Ale powiadam, że nie trzeba wszystkiego na Pana Boga zdawać. Trzeba i samemu sobie jakoś dopomódz.

— Czynię ludziom dobrze, o ile oni mojej pomocy potrzebują.

— To wszystko za mało. Trzeba coś zrobić, aby dawną boleść przekoić mogło.

— Nie wiem, co!

— Bóg daje człowiekowi życie i żąda potem rachunku od niego, co w tem życiu zrobił.

— Na cóż moje życie jeszcze przydać się może?

— Gdy drogę żywota w połowie się przetnie, to nie trzeba siadać na końcu przeciętej drogi, ale szukać nowej, i iść nią ku chwale Boga dalej.

— Nie widzę przed sobą żadnej nowej drogi.

— Jeżeli jaki konar drzewa uschnie, trzeba go odrzucić, bliznę zagoić, aby drzewo drugą połową dalej żyło.

— Przyrówań tych nie rozumiém.

— Straciłaś męża, przebolałaś, jak Bóg przykazał, zgon jego przykładnie, trzeba więc ten ból zakończyć i nowe drugie życie rozpocząć.

— Wszystko jest mi ciemne.

— Bóg nie żąda od nas ustawicznego bolu aż do śmierci, ale żąda życia i uczynków.

— Wskaż mi ciociu to życie i te uczynki!

— Wróć pamięcią do ubiegłych lat twoich, a znajdziesz tam źródło nowego życia.

— Nie mogę znaleźć tego źródła.

— Masz przecież wspomnienia węzłów rodzinnych, które ci niejednę słodką chwilę życia sprawiły.

— Przechowywam je z uszanowaniem w mojej pamięci.

— Wydobądź je z tej pamięci i wskrześ napowrót do życia.

— Nie wiem, o których wspomnieniach ciotka mówisz!

— Jesteś jeszcze kobietą młodą, pełną życia.

Adelaida smutno westchnęła.

— Masz dostatki i pozycyą!

— Do czegoż to wszystko dąży?

— Możesz być szczęśliwą i uszczęśliwić drugiego.

Adelaida patrzała na mówiącą z uwagą.

— A nawet możesz spełnić jeden z najpiękniejszych obowiązków swoich — mówiła dalej panna Flora — obowiązek względem familii.

— Familii? — zapytała z ciekawością Adelaida.

— Tak jest familii, która potrzebuje teraz więcej, niżeli kiedykolwiek podpory materyalnej.

— O kimże z familii ciocia myśli?

— W Paryżu widziałam się.... z Edmundem.

Szkarłatny rumieniec oblał twarz Adelaidy.

— Edmund zapewnie będzie mógł powrócić w tych dniach, sprawa jego stoi dosyć dobrze.

Adelaida zbladła i znowu zarumieniła się.

Wstała, odeszła powoli do swego budoaru, a powąchawszy kilka flakoników z silną wonią, wróciła znowu do sali.

— Niech mi ciocia co powie o księżnej Kunegundzie — rzekła do panny Flory i oczy spuściła na końce swoich bucików, które z pod czarnego kaszmiru wychyliły się ciekawie.

Panna Flora spojrzała także na te małe buciki i uśmiechnęła się nieznacznie.

ROZDZIAŁ XXII.

Po tej rozmowie z panną Florą chodziła Adelaida długo zamyślona po pokoju. Często stawała, jakby przed sobą co widziała, co ją trwożyło, lub co jej roskosz sprawiało. Na przemian marszczyła brwi i uśmiechała się, a nawet kilka razy spojrzała z ukosa do swego zwierciadła, które ją jakoś dzisiaj prześladowało.

Takie promenady po pokojach powtarzały się odtąd bardzo często. Powtarzało się w nich zawsze jedno i to samo, to jest: marszczenie czoła, uśmiech roskoszny i ukośne spojrzenie do zwierciadła.

Panna Flora bawiła w mieście, i potrzeba było dla jej towarzystwa wyjść gdzieś więcej między ludzi.

Zaledwie Adelaida między ludźmi się ukazała, otoczyła ją natychmiast jakaś dziwna duszna atmosfera.

Cóż było w tej atmosferze, co ją dusiło?

Ludzie jakoś dziwnie na nią patrzali, coś pokazywali palcami i uśmiechali się, a uśmiechali się gorzej jeszcze, niżeli to było ongi.

Adelaida nie mogła tego pojąć.

Przeciwnie, w samotności swojej urobiła sobie jakieś inne wyobrażenie o tej publiczności, dla której poświęciła

męża i całe szczęście swoje. Myślała, że jako żona człowieka, na którego pogrzebie tylu ludzi było, znajdzie wszędzie uszanowanie, jakie się jej należało.

Tymczasem jakieś złośliwe, szyderskie spojrzenia prowadzą ją za każdym krokiem.... widzi, że ludzie zoczywszy ją, coś sobie do ucha podają, uśmiechają się, z litością patrzą na nią, jak na jaką nędzną istotę.

Cóż to jest, co się dzieje wkoło niej?

Ona nic nie wie, ale czuje przez skórę, że coś zatruwa jej atmosferę, coś pozbawia ją tchu, rozdziera jej serce.

Daremnie ogląda się wkoło, czy nie wyczyta czego ze spojrzeń ludzkich, szuka na twarzach czytelnego pisma, łowi uchem pojedyncze słowa — ale nic z tego wszystkiego złożyć nie może.

Ale coś strasznego wkoło niej się dzieje. Daremnie szuka, daremnie błaga oczyma — nikt nic nie mówi.

Wreszcie pewnego dnia przybywa do niej w szarym szalu już nie młoda kobieta z długim woreczkiem na ręce. Adelaida poznała w niej jednę z gorliwych kobiet, wybierających składki dla biednych.

Powitawszy ją, udała się natychmiast do biórka.

— Zaczekaj pani — ozwała się zacna kobieta — przódy pomówimy kilka słów z sobą.... Czy nie ma nikogo?

Adelaida z trwogą obejrzała się wkoło.

— Nie ma — odpowiedziała — czy pani masz jaki ważny interes?

— Nie przychodzę w moim interesie; mego interesu nie znam, znam tylko interes biednych — odpowiedziała z ascetycznym wyrazem na twarzy szara kobieta.

— Jeżeli tylko interes biednych!

— Interes biednych jest tak ściśle połączony z interesem pani, że chcąc trafić do biednych, muszę zacząć od pani.

— Odemnie? Nie rozumiem!

— Człowiek, który do sumienia swego zagląda, powinien zawsze wiedzieć, co jest przy nim i co go otacza.

— Chciej pani być zrozumialszą.

— Sama pani zrozumiesz, jak przyjdzie pora; pierwej musi kwiat opaść, a potem zawiązuje się owoc,..

Adelaida spojrzała z zadziwieniem na mówiącą.

— Kwiat piękny — mówiła dalej szara kobieta — przedstawia nieraz grzech, a owoc, który z tego kwiatu wynika, to są dobre uczynki dla biednych! W świecie bowiem ludzkim jest ten system ekonomiczny, że z każdego grzechu bogatych ludzi wynika dobry owoc dla biednych. Gdyby bogaci, o których wiadomo, że tylko z trudnością dostają się do królestwa niebieskiego, nie popełniali grzechów i potem za nie się nie opłacali, toby majątki ich były bez korzyści dla społeczeństwa!

Adelaida nie mogła powstrzymać uśmiechu nad tak dziwną filozofią szarej kobiety.

— Czy chcesz mi pani jaki grzech wyjaśnić, czy dopiero w świątobliwych zamiarach nakłonić mnie do tego grzechu?

Szara kobieta zmarszczyła brwi.

— Każdy człowiek jest pełen grzechów, jak worek Jeremiasza był pełen popiołu.

— Nie wiem, dla czego pani ostatniego proroka Syonu miesza do naszej rozmowy.

— Bo on nawoływał do pokuty!

— Czyż i pani w jego imieniu do mnie przychodzi?

— W imieniu Boga każdy dobrze czynić może. Przychodzę, aby pani oszczędzić wyrzutów sumienia!

— Wyrzutów sumienia?

— Możesz pani je odżegnać — hojną jałmużną!

— Moje sumienie nic mi nie mówi!

— Pycha i zakamieniałość tłumi głos jego.

— Nie umiem sobie słów pani wytłumaczyć.

— Wejdź w siebie, a zrozumiesz mię: ile dasz dla biednych, dla biednych, którzy łakną i pragną!

— O biednych poźniej, ale pierwej...

— Chcesz pierwej porachować się z sumieniem? Dobrze. Masz odwagę znieść wszystko?... Było to przed rokiem, serce twoje było zajęte pewnym młodym człowiekiem...

Adelaida zbladła i zarumieniła się.

— Nie byłoto ani grzechem, ani występkiem, nie masz się pani czego rumienić.... Poźniej dopiero zapragnęłaś bogactwa.... poświęciłaś młodego człowieka....

— Nie pojmuję, jak pani możesz w ten sposób przemawiać do mnie. Z postępków moich winnam sobie sama zdać sprawę....

— Niech pani nie odpycha ręki miłosierdzia bożego. Wybrałaś sobie męża starego, bogatego....

Adelaida powstała z dumą.

— Tego męża pozbyłaś się.... aby wrócić do młodego człowieka z bogactwem nabytem....

Bolesny kurcz przeszedł całą postać Adelaidy. Zachwiała się, jakby się przełamać miała. Usta jej posiniały, zadrżały, ale słowa nie mogła wymówić.

Stała martwa jak statua z kamienia z szeroko otworzonemi oczyma.

— Daj jałmużnę, daj hojną jałmużnę — mówiła dalej z ponurem wejrzeniem szara kobieta — daj część majątku twego dla biednych, a Bóg ulituje się nad tobą i uspokoi sumienie twoje.

— Co mówisz kobieto! — krzyknęła nagle Adelaida całym głosem, w którym drżały wszystkie siły duszy — co mówisz! Rozdzierasz mi serce!

— Ono uspokoi się; daj jałmużnę, daj hojnie.

— To fałsz wszystko, o czem mówisz!

— Mówi to głos publiczny.

— Głos publiczny! — zawołała Adelaida i chwyciła ręką za czoło — głos publiczny!.... Oh jak to boli.... jak zabija ten głos publiczny!

— Daj jałmużnę, a Bóg uratuje cię.

— Ten niesprawiedliwy głos publiczny!

W tej chwili przebiegła jej przez głowę podobna sytuacya — Olgi! Wzdrygnęła się, zadrżała cała i spojrzała przed siebie wzrokiem obłąkanym.

— Mój Boże! — wyjękła — i za to mnie karzesz!

— Daj jałmużnę, wiele daj i hojnie.

Adelaida podniosła głowę do góry, usiłowała przybrać spokojny wyraz twarzy.

— To wszystko fałsz i nieprawda — rzekła do szarej pani — będę umiała walczyć z tym bezlitośnym głosem publicznym, gdybym nawet miała mu życie moje rzucić na ofiarę.

W tej chwili weszła służąca i zapowiedziała pannę Florę. Szara pani wzięła szybko woreczek na rękę i cofnęła się od Adelaidy.

— Będę pani poźniej służyć — rzekła odmiennym głosem i ukłoniła się.

Weszła panna Flora.

— Wiesz Adelo, pocieszna wiadomość: Edmund za kilka dni przyjedzie... przyjedzie... Czegoż tak smutno stoisz, ty moje niedobre dziecię?

Adelaida stała milcząca i nieruchoma jak statua z kamienia. Była blada jak ściana, zimna jak bryła lodu.

— Jutro pojadę na wieś — wyrzekła po chwili jak automat — mam pilne interesa.

ROZDZIAŁ. XXIII.

Po mieście rzeczywiście obiegały takie wieści, z których fanatyczna przyjaciółka ubogich chciała skorzystać. Już dawniej mówiono także o tem, że Adelaida naumyślnie męża swego wysłała na niebezpieczeństwo; ale wieści te nie miały znikąd podpory, bo Adelaida od świata się odłączyła, i nikt o jej powtórnem zamążpójściu nie mógł mówić. Wieści więc ucichły i przepadły, jak wiatr luźny na pustem polu.

Przybycie panny Flory odświeżyło te wieści.

Panna Flora była tak pewną, że Adelaida jej propozycyą względem Edmunda dobrze przyjęła, iż nie mogła się powstrzymać, aby swoim znajomym nie udzielić tego najnowszego sekretu.

Wkrótce więc gruchnęła wieść pomiędzy znudzone salony miejskie o bliskim ślubie Adelaidy z Edmundem, a że to była właśnie *saison morte*, w której tak trudno było o jakie takie wiadomości, przyjęto więc nowinę o Adelaidzie z zapałem, i zaczęto ją obyczajem niezbyt chrześciańskim nicować na wszystkie strony.

W ludziach jest tyle zarodu złego!

Adelaida miała wiele przyjacioł, którzy z jej dostat-

ków dzisiejszych korzystali. Dzisiaj okazało się, że to byli tylko ukryci nieprzyjaciele.

Już samo odosobnienie poczytano jej za złe. Smutek po stracie męża wzięto za komedyą. Z oburzeniem opowiadano o samotnem życiu rozpaczającej wdowy, i nie było nikogo, ktoby uwierzył w jej szczery smutek.

Już było takie niekorzystne dla niej usposobienie, gdy panna Flora rozniosła wiadomość o jej powtórnem zamążpójściu.

Nic bardziej nie budzi złych stron serc ludzkich, jak zbliżanie się jakiej młodej pary do ślubu.

Przyjaciel i nieprzyjaciel rzuca się wtedy na biedne ofiary, i jeden drugiego przesadza w wyszukiwaniu czarnych stron tego jasnego obrazu. Jeden bierze pannę pod nóż krytyczny, drugi objja boki biednemu narzeczonemu, że się poważył zostać — szczęśliwym.

— To spryt nie lada — chichotała panna Prozerpina o czterdziestu krzyżykach — aby starego męża zamienić na dawnego kochanka!... Nie zazdroszczę jej.

— Bądź co bądź — mówiła pani Babetta z małym noskiem — jest energia i odwaga w tej kobiecie. Nie każda z nas odważyłaby się na coś podobnego.

— I zaręczam wam, że towarzystwo nawet ją przyjmować będzie! — skarżyła się inna.

— Co mówisz! Sprawa podobna należy pod paragrafy kodeksu karnego.

— Dla tego zamknęła się przed nami, bo jej sumienie spokoju nie daje.

— Czy to prawda, że u OO. Dominikanów zamówiła tysiąc mszy świętych za spokój nieboszczyka?

— Bo codziennie we śnie przychodzi do niej upiorem!

— Upiorem! W imię Ojca i Syna...

— Szkoda kobiety! Taka ładna, młoda!

— Sama sobie winna.

— Trzeba ją kiedy odwiédzieć.

— Może jutro wybierzemy się tam na herbatkę. Dowiemy się na miejscu czegoś więcej.

I przyjaciółki Adelaidy byłyby niezawodnie piły u niej nazajutrz smaczną herbatę i byłyby ją ściskały i całowały co niemiara, gdyby Adelaida nie była na wieś wyjechała.

— Wszystko prawda, o czem mówiłyśmy — wyjechała! — mówiły nazajutrz do siebie.

— Przecież nikt o tym skandalu nie powątpiewał — wyjechała!

— Nie może dłużej znieść wstydu — wyjechała!

— Sumienie każe jej unikać znajomych — wyjechała!

— Przed upiorem chce uciekać — wyjechała!

Słowem, wszystko prawda co do joty, bo Adelaida — wyjechała!

Adelaida istotnie wyjechała, bo do wyjazdu miała rzeczywiste powody.

Wieści, rozchodzące się o niej po całem mieście, uderzyły na nią tak nagle i niespodziewanie, że nie mogła po takich ciosach ani prędko przyjść do siebie, ani wiedzieć, co dalej ma począć.

Myśl o Edmundzie, po częstych rozmowach z panną Florą, przychodziła jej czasem do głowy, i nie widziała w tem żadnej zbrodni, jeżeli po przebytej boleści chciała rozpocząć życie nowe, życie drugie.

Wspomnienia dawne i stosunki dzisiejsze podsycały tę myśl i wysuwały ją często z głębi duszy.

Nim jednak ta myśl dojrzeć mogła, uderzył ją grom rozchodzących się o niej wieści i mało co nie zabił.

Adelaida w pierwszej chwili nie wiedziała, co począć. Czy ma iść przebojem i nie zważać na to, co ludzie o niej mówią, czy ukorzyć się i w piersi uderzyć wyznając, że zawiniła.

Na to potrzebowała spokoju i skupienia, i po to wyjechała na wieś, aby Edmund nie zastał jej wtedy, kiedy jeszcze nie wiedziała, co postanowić.

Ale na wsi czekały ją gorsze zmartwienia.

Służba dworska i ludzie na wsi, nie mając jej śród siebie, mówili często o niej. Wiedzieli, że wyjechała do miasta, i że tam żyje zamknięta jak pokutnica.

Każdy wypowiadał zdanie swoje o tem, co zaszło, i wszyscy w tem się zgodzili, że Adelaida męża naumyślnie wyprawiła na niebezpieczeństwo, a Edmunda w pałacu zatrzymała.

Przypominano sobie i pozbierano różne szczegóły co do wyjazdu nieboszczyka a przybycia Edmunda, poukładano te szczegóły tak, jak potrzeba było, i zrobiono z tego bardzo smutną ale prawdziwą historyą.

Gdy Adelaida blada i wyżółkła na wsi się zjawiła, patrzano na nią z ciekawością, i szukano na tej twarzy śladów pokuty.

Adelaida spostrzegła zaraz w pierwszym dniu, że i tutaj otacza ją ta sama atmosfera, przed którą z miasta uciekła. Widziała jasno, że ludzie patrzą na nią ze strachem, patrzą jakby na jakiego złoczyńcę.

Rzuciła się na kozetkę w swoim pokoju i zalała się gorzkiemi łzami. Nie spostrzegła, że do niej zbliżyła się staruszka, która dawniej u nieboszczyka była szafarką.

— Czy chcesz czego? — zapytała z jakimś niepokojem.

— Niech się jejmość nie gniewa — odpowiedziała staruszka, pokornie się kłaniając. — Jabym jejmości coś powiedziała.

— Cóż takiego, mów!

— Widzi jejmość dobrodziejka — mówiła staruszka — jeżeli człowiek jest stary, to już i spać nie może, tylko ot tak leży sobie, a wtedy różne rzeczy przychodzą przed oczy, tak jakby się wszystko śniło.

— Czy ci się co śniło?

— Śniło nie śniło, bo jakże powiedzieć, że to sen, kiedy ja tak, jak naprzykład teraz jejmość, widziałam na własne oczy...

— Kogoż widziałaś?

— Nieboszczyka pana!... Widziałam jak szedł, szedł prosto tą ścieżką w ogrodzie poza agrestem, aż tam het, gdzie jest to wzgórze z kasztanem. Tam stanął, spojrzał na mnie i szeroko zakreślił ręką wielkie koło przed sobą i po za sobą.

— I cóż to koło znaczyło?

— Mówiłam o tem staremu Grzegorzowi, a on powiedział, że nieboszczyk chce, aby tam kościół postawić.

— Na cóż dwa kościoły w jednej wsi?

— Już ja tam nie wiem, proszę jejmości, ale Grzegorz stary mówił, że ludzie często kościoły stawiają, aby Boga przebłagać za grzechy swoje. A Bóg jest miłosierny...

Adelaida zaledwie mogła powstrzymać łzy. Owa histo-

rya z kościołem cóż było innego, jeżeli nie to samo, co ją z miasta wypędziło?

Kazała odejść staruszce i zamknęła drzwi za sobą, aby już nikt więcej do niej nie przyszedł.

Wyprostowała się na kozetce, oparła ręką głowę i zaczęła myśleć nad swoją dzisiejszą sytuacyą.

Była ona smutna i prawie bez wyjścia. Posądzano ją niesprawiedliwie, ale wiele pozorów było, które za prawdą przemawiały. Cóż ma począć w takim razie?

Czyż podobna, aby w takim razie myśleć o Edmundzie? Czyż to nie byłoby zatwierdzieniem tego, co ludzie mówili?

Nie, tego nie mogła już uczynić. Miała wyobrażenie, że ludzie jej urodzenia powinni stać na przedzie. Czyż mogłaby znieść opinią, która ją stawia na ostatniem miejscu, tam, gdzie stają ludzie najgorsi?

Nie, tak postąpić nie mogła.

Przypomniała sobie, że podobnież prześladował i Olgę taki głos publiczny...

Przy tej myśli zatrzymała się chwilę.

Czyż to nie z jej winy cierpiała wtedy Olga? — przyszło jej nagle do głowy.

Twarz Adelaidy rozjaśniła się.

Czy znalazła jaki sposób expiacyi swojej winy i zwalczenia nieprzyjaźnej opinii publicznej?

Adelaida wstała szybko i zaczęła w biórku szukać ostatniego listu Olgi...

Potem zadzwoniła, a gdy wszedł służący, rozkazała, aby na jutro były konie gotowe do dłuższej podróży.

ROZDZIAŁ XXIV.

W pierwszych dniach września po przebytej słocie zajaśniały góry Beskidu całym blaskiem malowniczego jesiennego kolorytu.

Burski wracał właśnie z miasteczka. Drożyna pięła się do góry, robiąc liczne zakręty. Prosto pomiędzy las prowadziła ścieżka.

Burski siedział na wózku i pogwizdywał sobie, jak człowiek, który o czemś przyjemnem marzy. Twarz jego rumieniła się, oczy błyszczały żywem światłem.

Nie był to dzisiaj ów Burski pochylony, stojący z głową odkrytą w przedpokoju pałacu. Znać było już po minie i cholewach, że to pan sobie. Nawet intelligencyi przybyło mu na twarzy czerstwej, rumianej.

Gdy wózek dotarł do ścieżki, Burski, aby ulżyć koniom, zeskoczył na ziemię i piechotą puścił się przez las.

Być może, że miał nawet inne powody do tej samotnej przechadzki. Skoro bowiem obaczył, że już jest w lesie, i że woźnica go nie widzi, najprzód roześmiał się śmiechem głośnym i serdecznym, aż liście na drzewach jakby od huraganu zadrżały, potem uderzył się ręką po kolanie, jakby z pistoletu strzelił, i zaczął coś dosyć głośno mówić do siebie.

Monolog ten trwał przez całą ścieżkę, tylko czasami przerywał go gwizdaniem mazurka, który zazwyczaj po kilku taktach przechodził mimo jego wiedzy w jaką pieśń kościelną.

Wreszcie zawidniał mu przed oczyma biały dworek.

Na widok dworku znowu rozśmiał się tubalnym głosem, i znowu dłonią w kolano uderzył.

— Moja biała gołąbka o niczem nie wie! — rzekł do siebie ujrzawszy w ogródku białą postać kobiety.

Jakby przeczuciem wiedziona, przybiegła biała postać w tej chwili na sam kraniec lasu, gdzie właśnie kończyła się ścieżka.

— Czemuż ojcżątko dzisiaj tak długo bawił w mieście? — zapytała Olga powracającego Burskiego.

— Czemu bawiłem tak długo? — powtórzył z jakimś zagadkowym ruchem wąsów — ot interesa, interesa, moje dziecię. Sprzedałem korzystnie kawałek lasu, ostatnia rata, w Bogu nadzieja, wypłaci się na św. Michała... Ale moje dziecię, powiedz mi, czy nie miałaś tu czkawki?

— Czkawki?... Dla czego ojcze o to pytasz?

— Bo mówiliśmy wiele o tobie.

Olga zarumieniła się.

— Zapewne znowu pan Kazimierz...

— Nie, nie, moje dziecię, coś lepszego, coś lepszego!

Olgi twarz oblekła się smutkiem.

— Pójdź ojcze, czekam cię z podwieczorkiem.

— Kawy pić nie będę — odparł Burski posuwając ręką po twarzy. — Wypiłem kilka lampek wina! — dodał po chwili patrząc z ukosa na córkę.

Olga nie zważała na to. W milczeniu szli oboje ku dworkowi.

Na twarzy Olgi nie było wielkiej zmiany od tego czasu. Zawsze piękna, pełna wdzięku, rozsyłała wokoło światło i ciepło jak promienie słońca. Tylko na czole zarysowało się kilka nieznacznych fałdzików, i w oczach było coś głębszego, coś poważniejszego. Wogóle spoważniała, i wiatr górski przyćmił trochę tę tak białą niegdyś cerę twarzy. Za to ruchy jej nabrały więcej siły i sprężystości. Widać było, że ta kobieta nie wegetuje w cieplarni salonu, ale żyje śród ruchu, w zdrowem powietrzu, i sama myśli o sobie.

Gdy Burski wszedł do dworku, a Olga kawy nalewała, rzekł do niej odkrząknąwszy:

— Mówiłem ci, że wypiłem kilka lampek wina w mieście, ale ty nie pytałaś się, z kim?

— Czy na tem ojcu tak wiele zależy? — spokojnie zapytała Olga.

— Inaczej nie pytałbym ciebie! — mruknął Burski.

— Zdaje mi się, że na jedno wyjdzie, czy z panem Kazimierzem, czy Michałem lub Hieronimem!

— Nie na jedno, dziecię, nie na jedno! Co innego pan Kazimierz, lub Hieronim, którzy swoją drogą są chłopcy zacni i poczciwi; ale ja piłem dzisiaj wino... z kim innym!

— Nie domyślam się — krótko odpowiedziała Olga i zajęła się nalewaniem kawy.

— Spodziewam się, że się nie domyślisz; bo to ryba wielka, pan całą gębą!

Burski wydął usta z pewną dumą. Olga miała wyraz na twarzy, jakby dalej mówić nie chciała.

— I nic dalej nie pytasz? — ozwał się Burski z chmurką na czole.

— Nie jestem ciekawa! — odparła krótko Olga i chciała wyjść z pokoiku.

Burski chwycił ją za sukienkę.

— Przecież możesz zgadywać? — rzekł do niej prawie z prośbą.

— Na nic mi się to nie przyda! Wiesz ojciec dobrze, że wszystko mi w tym względziè obojętne.

— Jak to? I zamąż iść nie chcesz?

— Już nie raz powiedziałam ojcu, że zostanę tak aż do śmierci.

Głos Olgi zadrżał tutaj. W szafirowych oczach pojawiło się coś wilgotnego, ale żadna łza z nich nie wypłynęła.

Aby jednak patrzącemu na nią ojcu oczu swoich nie pokazać, odwróciła się szybko i poszła do kanarka, który w klatce wisiał przy oknie. Otworzyła drzwiczki, a łaskawe ptaszę frunęło z więzienia i siadło jej na ramieniu, dzióbiąc ją delikatnie w białe uszko.

— Cóż mi powiadasz, mój maciusiu — rzekła do niego z pieszczotą — cóż mi tak ciekawego mówisz?

Kanarek wciąż dzióbał uszko, trzepotał skrzydłami i dziękował za cukier, który miał dostać.

Burski smutno patrzył na tę scenę.

— Co ci tam z kanarka! — ozwał się po chwili — czyżby nie lepiej było, gdyby zamiast kanarka...

— Ojcze, dzisiaj chcesz mnie zmartwić! — odpowiedziała z wyrzutem Olga.

— Ale nie wiesz nawet, o kim myślę!

— To mi wszystko jedno.

— A jeśli ci powiem, że ten, z którym wypiłem trzy lampki węgrzyna —

— Nie chce bynajmniej wiedzieć.

— Był... był... ferwalter dóbr kameralnych!

— Nic mnie to nie obchodzi.

— Jakto? czy też wiesz, co to jest ferwalter dóbr kameralnych? To pan całą gębą! Za dziesięć lat każdy ferwalter kupuje wieś, a jak żyje!

Olga miała teraz ochotę rozpłakać się.

W tej chwili przybiegł co tchu Mykita, mały goralczyk, komendant stadka owiec i jednej kozy, i zawołał z za proga, że jakaś pani jedzie i o drogę do dworku pytała.

Burski i Olga wybiegli na dziedziniec.

Z pomiędzy lasów wychylił się mały koczyk. Angielskie konie z wielkiem znużeniem ciągnęły pod górę.

Serce z radości uderzyło Oldze, chociaż sama nie wiedziała jeszcze, dla czego. Burski po kilku lampkach wina wyglądał jakby nie wiedział, co widzi.

Tymczasem wtoczył się koczyk na dziedziniec.

Czarno ubrana młoda kobieta powiewała zdala chustką do Olgi.

Olga poznała Adelaidę. Krzyknęła z radości, pobiegła co tchu i rzuciła się z płaczem w objęcie dawnej przyjaciółki.

Burski nie wiedział, co ma robić. Zdjął czapkę i stał pokornie przy stopniu koczyka. Coś mu nawet nieprzyjemnie było, bo widząc Adelaidę przed sobą, był pewny, że stał się znowu dawnym sługą.

Pocieszyła go jednak Adelaida. Podała mu rękę do

uścisku, którą Burski gorąco ucałował i łzami oblał, bo teraz rozpłakał się na piękne.

— Hej! Mocny Boże, ktoby się był spodziewał! ktoby to wierzył temu, że kiedyś do mego domku przyjedzie...

I znowu całował rękę Adelaidy.

Adelaida była rozrzewniona takiem powitaniem.

Wprowadzono ją do małego dworku. Burski tymczasem zajął się końmi i powozem.

Kilka dni bawiła Adelaida w dworku, a jeszcze nie opowiedziała jej Olga wszystkiego, co przez ten czas tu robiła, czem się bawiła, jak spędzała lato a jak zimę. Pokazywała jej całe swoje małe gospodarstwo. Adelaida, której nigdy szczegóły gospodarstwa nie obchodziły, miała teraz wielką przyjemność, gdy Olga okazywała jej swoje kury, nazywała każdą po imieniu i zaznajamiała ją z jej przymiotami. Pokazywała jej także owce i kozy, i tutaj umiała wiele zabawnego jej opowiedzieć. Był to jej cały świat, w tym świecie żyła. Potem nastąpiły krówki, wszystkie stosownie a nawet klasycznie ponazywane. Adelaida bawiła się tą aplikacyą klasycyzmu, która często była bardzo trafna.

Po krowach przyszła kolej na różne drzewka ogrodu; po ogrodzie mówiono o górach, lasach i skałach, a większą ich część miała Olga na brystolowym papierze, lekko naszkicowane akwarelą.

Wszystko to było nowością dla Adelaidy. Ona widziała dawniej to wszystko ryczałtem w pysznych widokach, a teraz zachwycała się szczególikami, które opowiadanie Olgi tak ożywić umiało.

Spostrzegła, jak mało potrzeba dla duszy kobiecej, jeżeli ta dusza umie z małego obrazka stworzyć sobie świat cały.

Dziwne uczucie ogarnęło Adelaidę. Uczuła jakiś głębszy, chłodzący spokój, którego na szerokim świecie nie doznała. Nawet owe straszliwe wieści i podejrzenia tak niesprawiedliwe, a jednak tak zbliżone pozorami do prawdy, które tam każdą chwilę życia jej zatruwały, przycichły tutaj i zupełnie zamilkły. Kobieta, która może najwięcej miała powodu ją nienawidzieć — ta kobieta przyciskała ją teraz gorąco do serca, i nawet ani na myśl jej nie przyszło podejrzywać ją o to, o co ją obcy podejrzywali i jawnie oskarzali.

W atmosferze tej kobiety było jej tak błogo, tak dobrze! Gdyby mogła pogodzić się z tą myślą i całą przeszłość swoją rzucić ludziom na pastwę, byłaby to uczyniła, byłaby pozostała w tym dworku z temi skałami i lasami.

Tego jednak zrobić nie mogła. Zbyt wysoko ceniła swoje nazwisko, aby zostawić na niem plamę, której być nie powinno. Tak pojmowała siebie.

Słuchała więc z wielką roskoszą szczebiotania Olgi, słuchała w nocy księżycowej gry na cytrze, która teraz nawet kilka góralskich piosenek wydźwięczyć umiała.

Jednej tylko struny nie poruszyła Olga — nie wspomniała nigdy o Edmundzie. Jakkolwiek Adelaida ztąd wnosiła rzeczy dla swoich zamysłów korzystne, utrudniało to jej jednak wprowadzenie sprawy do rozmowy. Lękała się nacisnąć na owe delikatne kobiece uczucie, które jak kwiat mimozy kryje się pod dotknięciem ręki nawet najprzyjaźniejszej.

A jednak wymagał tego jej własny interes. Od Olgi zawisło teraz całe jej przyszłe szczęście, które sobie wyrozumowała, zawisła jej rehabilitacya wobec świata.

Jakie jednak było usposobienie Olgi w tej mierze, czy mogła liczyć na siłę wspomnień, czy te wspomnienia przepadły bez wieści, czy jeszcze żyły w jej duszy?

Wszystko to były pytania, trudne do rozwiązania dla Adelaidy, a tak wielkiej wagi.

Jednego więc wieczora, gdy Burski z lasu jeszcze nie wrócił, siadła Adelaida przy Oldze i wzięła ją za rękę.

— Czy będziesz jak dawniej szczerą dla mnie? — rzekła do niej, całując ją w twarz.

— Ach, ja w tem ustroniu nie mam żadnej tajemnicy! — odpowiedziała Olga z lekkiem wzruszeniem — wszystko już wiesz, o wszystkiem mówiłam ci.

— Mam jednak prawo do subtelniejszych twoich zwierzeń, do twoich marzeń.

— Ach, te są tak zwykłe, tak pospolite tutaj!

— Powiedz mi jednak, czy wszystkie twoje marzenia mieszczą się pomiędzy temi skałami?

— Tu jest tak przestrono!

— Czy właśnie dlatego nie jest ci tu za pusto?

— Mogę to wszystko czemś napełnić.

— Czy możesz mieć dostateczny materyał do tego?

— To zależy od nas samych. Pająk jest małą istotką, a może tyle z siebie wysnuć.

— Jednak przyznasz, że trzeba mieć coś w sobie.

— Żadna kobieta nie jest bez tego.

Adelaida zamilczała tutaj chwilę. Olga widocznie uni-

kała zupełnej spowiedzi. Nie chciała jej otworzyć swego serca na rozcież.

— Widzę, że mnie nie kochasz jak dawniej — ozwała się po chwili Adelaida z chmurką na czole — czuję, że nieszczęście moje oddaliło ludzi odemnie, a nawet i tych, których najbardziej kochałam.

Oldze błysnęły łzy w oczach. Rzuciła się jej na szyję.

— Nie mów tak, nie mów, bo mi serce wyrywasz! Przecież nie umiem być niewdzięczną, a wiem i pamiętam, coś dla mnie uczyniła.

Adelaida z ciekawością spojrzała na nią.

— Cóżem dla ciebie uczyniła? Nie wiem o niczem.

Olga rozpłakała się i ukryła twarz na jej piersi.

— Nie bądź okrutną! Mówmy o czem innem.

— Może cię z błędu wyprowadzę.

— Nie chcę; czasami wiarą błądzić jest koniecznie potrzebnem do życia.

— Słów twoich nic nie rozumiem.

— Być może, żebyś ich nie zrozumiała, gdybym je całkowicie wypowiedziała. Wtedy byłoby mi jeszcze smutniej niżeli teraz.

— Jesteś marzycielką bez wyraźnego celu życia.

— Cóż ja temu winna, że inaczej być nie może. Jest mi z tem dobrze.

— Ale jeśli drugiemu z tem nie dobrze?

Olga zbladła.

— Nic o tem dotąd nie wiedziałam — wyszepnęła zcicha.

— Jakże możesz się dowiedzieć, jeśli unikasz rozmowy?

— Bo rozmowa taka mnie trwoży.

— Przyzwyczaiłaś się do mrzonek i lękasz się teraz, aby tych mrzonek wiatr rzeczywistości ci nie pomieszał.

— Być może.

— Gdyby jednak rzeczywistość tym mrzonkom twoim sprzyjała dzisiaj?

Olga pokręciła głową.

— Jesteś winną własnego nieszczęścia.

— Nie jestem nieszczęśliwą!

— Ale czy jesteś szczęśliwą?

Oczy Olgi zamigotały wilgocią.

— O ile nią być mogę — odpowiedziała po chwili.

Adelaida zmarszczyła brwi.

— Byłaś od dziecka idealistką — ozwała się po niejakiem milczeniu — ale zważ, że trzeba się z warunkami życia pogodzić. Marzenie jestto roskosz duszy, ale zbytnie marzenie robi z nas dzieci, które tylko cackami się bawią. Chcieć całe życie pozostać dzieckiem, znaczy wyrzekać się na zawsze rozumu, rzeczywistego szczęścia i obowiązków.

— Wskaż mi te obowiązki, których się wyrzekłam.

— Najpierwszym zawsze obowiązkiem jest, poznać siebie, to jest, co się winno sobie, a co innym.

— Zdaje mi się, że prócz was, nikomu nic nie winnam.

— Wyrzekasz się winy twojej?

Olga zarumieniła się.

— Nie wiem, co winą nazywasz, — szepnęła.

— Czyż to nie jest winą, jeśli wzbudziłaś w czyjem sercu pewne marzenia?

Olga spuściła oczy w ziemię i zaczęła bawić się rąbkiem sukni.

— Nie używałam do tego żadnych umyślnych środków — odpowiedziała cicho ale spokojnie.

— Wszystko jedno, ale widziałaś skutek.

Olga westchnęła całą piersią.

— I cóż na to mówisz?

— Przyjęłam drogę, jaką wyście mi wskazali.

— Jaką drogę?

— Drogę rezygnacyi.

— I przyszło ci to tak łatwo?

— Co przyszło łatwo?

— Żeś go kochać przestała?

— Kochać przestała? — z rozognioną twarzą zawołała Olga — kochać przestała? Któż to może powiedzieć, żem go kochać przestała?

Twarz Olgi pałała ogniem. Sama nie wiedziała, że w rozmowie zaszła tak daleko, jak nigdy nie chciała.

— Przecież cię o to nikt nie posądza! — ozwała się po chwili Adelaida.

— Daruj mi — odszepnęła Olga — bo mnie to boli, jeźli ktoś mógłby mi to zarzucić...

— Dziwna twoja miłość!

— Inną być nie może!

— I to nazywasz szczęściem?

— Tak jest, jedyne szczęście, którego kobiecie nikt wzbronić nie może. Każde inne ma szranki, które bolą i ranią.

— Jesteś egoistką!

— Egoistką? — z rozpłomienioną twarzą rzekła Olga — czyż to jest egoizmem, jeżeli dla jego szczęścia poświęciłam wszystkie śmielsze marzenia?

— Czyż on tego żądał od ciebie?

— Jego nieszczęśliwe położenie wymaga tego.

— A gdyby on sam żądał, poszłabyś za niego?

— Nigdy!

Adelaida spojrzała ze smutkiem na Olgę. Twarz Olgi była teraz spokojną i zimną jak marmur. Byłato twarz kobiety, która długą pracą nad sobą przyszła do spokoju rezygnacyi.

Wielka boleść malowała się na twarzy Adelaidy. W dziwnem była teraz położeniu. Dawniej wszelkiemi siłami starała się rozerwać ten węzeł, bo wyrozumowała sobie, że tak być musi, dzisiaj w konsekwencyi swojej teoryi pragnęła ten węzeł napowrót zawiązać, ale nie mogła.

Jakimże innym sposobem mogłaby strącić z siebie tę brzydką opinią, która ją teraz prześladowała, gdyby Olga jej pośrednictwa nie przyjęła?

Nie spodziewała się takiego uporu. Cały jej plan oczyszczenia siebie wobec opinii mógł się skończyć na niczem.

Jej serce ścisnęło się smutkiem.

— On ciebie kocha! — rzekła z pewną goryczą.

— Wiem o tem — szybko odpowiedziała Olga.

— Wiesz o tem? — z zadziwieniem zapytała Adelaida, wlepiając w twarz Olgi czarne oczy.

— Wiem; serce tak mi mówi — spokojnie odrzekła Olga. — Dla czegoż nie miałby mnie kochać? Czyż miłość jest pajęczyną, którą lada podmuch wiatru urywa?

Adelaida patrzała iskrzącem okiem na piękną, rumieniejącą się twarz idealistki.

— Jak ci zazdroszczę twego idealizmu! Mieć takie serce,

to prawdziwe szczęście; bez takiego serca kobieta szczęśliwą być nie może.

— To jest jedyne, kobiece szczęście!

— Inna kobieta inaczej swoje szczęście pojmuje; ja zazdroszczę ci twego.

Na tem skończyła się rozmowa, z której w końcu Adelaida dosyć była zadowoloną. Nie doszła ona do mety, do jakiej dojść chciała, ale nie wyrzekła się nadziei, że dojdzie.

Adelaida została jeszcze kilka dni w dworku, ale o miłości z Olgą już więcej nie mówiła.

Uprosiła tylko starego Burskiego, że Olga towarzyszyć jej będzie do Krakowa, a za dwa tygodnie obiecała sama ją odwieźć.

Burski długo skrobał się w głowę, nim na to zezwolił. Zdawało mu się, że mu znowu córkę odbierają, do której już się był tak blisko przybliżył. Adelaidzie jednak nie mógł odmówić — osobliwie gdy o swojem smutnem wdowieństwie mówiła.

— Niech jedzie Olga — rzekł w końcu — ona ma tysiące sposobów, któremi ludzi w największej boleści uspokoić umie.

Poczciwy Burski — myślała sobie przytem Adelaida, — przecież demokratyczne zasady Edmunda na coś przydać się mogą.

ROZDZIAŁ XXIII.

Towarzystwo krakowskie zaczęło się powoli ożywiać. Turyści i turystki wracali od wód zagranicznych, a gospodarze wiejscy, pokończywszy zasiewy, przywozili znowu młode żony swoje do miasta, jakto im przed ślubem byli przyobiecali.

Kampania zimowa rozpoczynała się świetnie. Wiele nowych domów przybyło z prowincyi, a speranda była jeszcze większa. Za powód podawano wypadki zeszłej zimy, które wieś zrobiły smutną i ponurą. Zresztą w boleści chcieli ludzie więcej zbliżyć się do siebie, bo razem bolejąc, było im jakoś lżej w duszy.

Korzystając z liczniejszego towarzystwa, zebrali się także liczniej kawalerowie, którzy na kampanii zimowej pewne nadzieje swoje pokładali.

Między nimi odznaczał się Edmund.

Edmund dopiero co wrócił z Paryża. dokąd zaraz po wypadkach był się wydalił. Protekcya krewnych wyrobiła mu wolny powrót, gdyż żadnych dowodów jego winy nie było. Cała wina spadła na jego rządcę, którego i tak zabili chłopi.

Edmund miał teraz pewien urok, który odnosił się do pobytu w Paryżu. Jedni zazdrościli mu, że miał kape-

lusz najpierwszej mody; inni pytali go, co Ludwik Filip myśli o zaszłych w Galicyi wypadkach.

Edmund umiał zręcznie o jednem i drugiem mówić, i tak wszyscy byli mu bardzo radzi.

Należał on do epuzerów pierwszego gatunku, a kilka matek już po kilka razy na dzień mówiło o tem córkom swoim posażnym.

Być może, że Edmund o tem wiedział, bo stosownie do roli swojej urządził się w mieszkanku swojem przy ulicy grodzkiej.

Miał mały ale wykwintnie urządzony apartament, który wcale nie był podobny do jego pokoików na górskim folwarku. Zamiast strzelb i pałaszy wisiały tutaj nad łóżkiem obrazy kobiet ładnych, przedzielone rysunkami koni angielskich. Dalej był zbiór szpicrutów różnego kalibru, a na każdym był wyryty herb właściciela. Leżące na stole albumy miały także herby. Siedzący w przedpokoju służący miał białe kamasze, białą kamizelkę, a na guzikach nad herbami nawet koronę książęcą.

Takim urokiem i taką atmosferą był otoczony Edmund, gdy Adelaida z Olgą do Krakowa przyjechały.

Panna Flora przybiegła zaraz do Adelaidy, a dygnąwszy raz przed Olgą, obróciła się do niej plecyma i zaczęła szczebiotliwą rozmowę z panią domu, donosząc jej roskoszną nowinę o przybyciu Edmunda, i zapytała, kiedy jej razem służyć mogą.

Szczęściem dla Olgi, że nie wiedziała, o kim mowa.

Adelaida przyjęłą tę wiadomość z zadowoleniem, ale prosiła kilka dni czasu, aby sobie odpoczęła, bo była podróżą mocno strudzona.

Panna Flora uznała to żądanie słusznem i sama zrobiła uwagę, że twarz Adelaidy jest trochę za żółta, szyja w podróży mocno się opaliła. Radziła jej myć się mlekiem, a potem używać proszku bismutowego.

Adelaida podziękowała jej za troskliwość, jaką dla niej okazywała, aby Edmundowi, który z Paryża przyjechał, mogła się podobać, i przyrzekła jej święcie, postarać się natychmiast o zachwalone kosmetyki.

Panna Flora na skrzydłach radości pobiegła do swojej przyjaciółki, która rozmaite wieści o Adelaidzie zbierała. Czekał tam na nią Edmund, któremu miała zdać relacyą z pierwszego widzenia się.

— Mówię ci, prześlicznie wygląda! — szczebiotała do niego — ma twarz trochę bladą, ale oczy, co za oczy! Takich oczu nawet w Paryżu nie widziałeś!... A zresztą znasz dobrze te oczy....

Edmund uśmiechnął się i pokręcił wąsik.

— A cóż powie pani Adelaida — rzekła z uśmiechem przyjaciółka panny Flory — cóż powie na koszyk od panny Jadwigi?

— Pst! — rzekła panna Flora — ona o tem nic nie wie! Nie trzeba aby wiedziała!... Kuzynko, to nie był twój krok szczęśliwy!

— Inaczej nie byłbym tutaj — z uśmiechem odpowiedział Edmund, poprawiając ufryzowane starannie włosy.

Panna Flora patrzała z uwielbieniem na swego pupila. Chwaliła jego angielskie bakenbardy, chwaliła szafirowy krawat w czarne centki, słowem chwaliła wszystko, co miał Edmund na sobie.

— Spodziewam się, że pan nie zakopiesz się na wsi,

ożeniwszy się ze swoją kuzynką — rzekła do niego gazetka krakowska i uderzyła go poufale po ręce.

— Będzie to w moim własnym interesie, taki warunek wypełnić — odpowiedział Edmund.

— Kiedyż będą zapowiedzi?

— Nie prędzej aż w karnawale — odpowiedziała za kuzynka panna Flora — wtedy będzie całe towarzystwo w komplecie; zresztą trzeba skończyć żałobę.

— Ah! żałobę! — przeciągłym głosem powtórzyła przyjaciółka, patrząc złośliwie na Edmunda — jakoś zapomniałam o żałobie!

— Przecież dopiero dwudziestego lutego będzie rocznica — dorzuciła panna Flora.

— Tak, rocznica! — powtórzyła przyjaciółka.

Edmund zapinał i rozpinał rękawiczki.

— Adelaida mówiła mi, że czeka cię z niecierpliwością — szczebiotała panna Flora — ale dasz jej trochę wytchnąć po podróży; jest trochę słabą. Wypytywała mię o ciebie, chciała wszystko wiedzieć.... widziałam, że mówiła z pewną gorączką o tobie... oczy jej błyszczały zawsze jak pochodnie, gdy twoje imię wymawiała; słowem, jesteś szczęśliwy!

Edmund uśmiechnął się.

— Nie wiem, dla czego o tem mówisz panu Edmundowi — rzekła przyjaciółka z ironicznym uśmiechem — oni przecież już dawno znają się, i to znają się dobrze.

I na to uśmiechnął się Edmund.

— Doniosę ci, kiedy masz pójść do Adelaidy — mówiła dalej panna Flora — karty twojej nie potrzebuje, a nie przyjmie cię teraz, bo słaba.

Edmund podziękował pannie Florze za jej łaskawe serce, ale panna Flora wnet go rozczarowała.

— Nie bądź zarozumiały — rzekła do niego — nie dla ciebie ja to robię, ale dla familii, dla familii.

Edmund z uśmiechem przyjął to wyjaśnienie, i aż do chwili swego szczęścia pożegnał obie kobiety.

Wkrótce potém przechodził przez rynek pewnym krokiem zadowolonego człowieka.

ROZDZIAŁ XXVI.

Tymczasem starała się Adelaida zasięgnąć szczegółowych informacyj o swoim kuzynie, aby stosownie do tego cały plan swój ułożyć.

To, o czem się dowiedziała, mocno ją zadziwiło. Wyobrażała sobie Edmunda, jak go dawniej znała, i na tem opierała swoje nadzieje. Tymczasem dekoracya się zmieniła. Do Krakowa przyjechał zamiast Edmunda jakiś inny człowiek, z którym trudno było doprowadzić rzeczy do szczęśliwego rezultatu.

Mimo to nie straciła odwagi.

Pewnego dnia wysłała Olgę do swojej przyjaciółki, starej pułkownikowej, o której istnieniu Edmund nie wiedział, a sama oświadczyła pannie Florze, że chce z Edmundem pomówić.

W oznaczonej godzinie stanął Edmund przed nią.

Adelaida przyjęła go z pewnem wzruszeniem. Mimo wszelkich rozumowań dzisiejszych był to zawsze człowiek, który stał się powodem pięknych acz niedługich marzeń. I byłaby może wzruszenie swoje więcej okazała, niźli to było w dzisiejszym jej planie, gdyby jego widok sam temu nie przeszkodził.

Nie byłto już ten Edmund, co dawniej.

Dzisiejszy Edmund byłto człowiek wielkiego świata, ubrany starannie według ostatniej mody, trzymający się prosto, jakby z żurnalu wycięty.

Twarz jego zmieniła się także. Zamiast naturalnego zarostu, z którym tak mu było do twarzy, miał teraz bakenbardy angielskie i wysokie kołnierzyki, w które często chował całą brodę.

Widok taki oprzytomnił trochę Adelaidę.

Edmund powitał ją zimno i sztywnie, jak człowiek, który jest lub był pokrzywdzony i czeka wynagrodzenia za doznaną krzywdę.

Adelaida również zimno podała mu rękę.

— Cóż porabiasz w mieście, kochany kuzynie? — ozwała się z czarującym uśmiechem.

— Nie spodziewałem się takiego zapytania, kochana kuzynko — odpowiedział Edmund, bawiąc się lornetką — zdaje mi się, iż dosyć jest, że ty tu mieszkasz, aby tutaj przyjechać i zatrzymać się.

Adelaida uśmiechnęła się cierpko.

— Ach tyle rzeczy przedziela nas teraz! — westchnęła i spojrzała przed siebie.

— Chciałbym nic nie wiedzieć! — odparł Edmund i zakręcił lornetką w kółko.

— Czy nie widzisz grobu? — żywo zapytała Adelaida.

— Grobu?... Grobu?... przyznam się, że to słowo zbyt tragiczne, aby go mieszać do codziennej rozmowy.

— Sądziłam, że choć raz to słowo u mnie wymówić musisz.

— Wymówiłem go dwa razy; uczyniłem wielką krzywdę

moim roskosznym marzeniom, z jakiemi tutaj przyszedłem. Pocóż budzić tych, którzy cicho leżą. Im cześć i szacunek, a dla nas życie nowe!

Adelaida westchnęła.

— Zostałeś przez ten krótki czas zimnym filozofem.

— Użyłem tej filozofii tylko dla ciebie, kochana kuzyno!

— W jakim zamiarze?

— Aby nawiązać to, co niefortunnie się zerwało...

— Nie wiem, o jakiem zerwaniu mówisz?

— O tem, o którem wiesz dobrze, kochana Adelo, o którem wie twoje serce....

Adelaida spojrzała z uwagą na Edmunda.

— Czy myślisz o tych ulotnych marzeniach?... rzekła po chwili z lekkim rumieńcem na twarzy.

— Dla czegoż nazywasz je ulotnemi?

— Bo uleciały, albo powinny ulecieć.

Edmund chwycił za rękę Adelaidę.

— Nie mów tak, bo mi odbierasz wszystko, co mam dzisiaj najdroższego!

Ironiczny uśmiech zaigrał na twarzy Adelaidy.

— Tego właśnie nie odbieram ci, co powinno ci być najdroższem! — rzekła z smutnym uśmiechem.

— Jeźli mi dajesz taką nadzieję — zawołał z ożywieniem Edmund, — to pozwól mi ucałować tę białą rączkę.

Adelaida cofnęła rękę.

— Czy masz jakie zamiary względem tej ręki? — zapytała żywo.

— Zdaje się, że miałbym nawet jakieś prawo — odrzekł zarumieniony na twarzy Edmund.

Adelaida odsunęła krzesło i założyła ręce na krzyż.

— Czy wiesz, co ludzie o nas mówią? — zapytała z poważnym wyrazem na twarzy.

— To, co jest rzeczą bardzo naturalną.

— Jakto naturalną?

— Że nie wzgardzisz moją prośbą i zostaniesz dla mnie za przysięgą tem, czem dawniej....

Wyrzekłszy te słowa, zbliżył się do niej i pochwycił jej rękę.

Adelaida powstała i cofnęła się krok w tył.

— Jesteś w błędzie — rzekła do niego z powagą — jeźli myślisz, że tak szczęśliwie łączy nas razem opinia ludzi? O nie, ta opinia stroi dzisiaj muzykę piekielną, aby nam wyprawić okropną serenadę, gdybyśmy razem przy ołtarzu uklękli.

— Cóż to jest? Nic nie pojmuję!

— Czy wiesz — przytłumionym głosem mówiła do niego Adelaida — czy ty wiesz, że wszyscy ludzie mówią o tem, żem dlatego wysłała męża z domu, aby po jego śmierci z tobą bogactwa podzielić?

Edmund cofnął się o kilka kroków i zbladł na twarzy.

— Czy ty wiesz, że ci ludzie pozbierali wszystkie szczegóły i pozory, i zestawili je razem w obraz prawdy przerażającej?

Edmund nie mógł wyjść z osłupienia.

— I dzisiaj chcesz, aby tę opinią uświęcić naszem postępowaniem; chcesz, aby ludzie już żadnej wątpliwości nie mieli, żeśmy oboje winni śmierci nieboszczyka!

Edmund powoli zaczął przychodzić do siebie.

Rozśmiał się gorżkim śmiechem i rzekł:

— Któż i kiedy ludziom zabronić może, aby nic nie

mówili? Życieby nam nie wystarczyło, gdybyśmy wszystkie plotki omijać chcieli.

— O plotki mi nie chodzi, ale jeźli te plotki przechodzą w głos publiczny?...

— Głos publiczny?....

— Jeżeli ten głos publiczny ma za sobą wszelkie pozory prawdy?....

— Ktoż zważa na głosy publiczne!

— Taki głos publiczny jest w stanie przygnieść ciężarem swoim najodważniejszego człowieka!

— Dziwi mnie to, że od ciebie podobne zasady słyszę! Czy przypominasz sobie, żeś przed rokiem zupełnie inaczej twierdziła?

Adelaida uśmiechnęła się jak dyplomata, który widzi, że przeciwnik sam dla siebie stawia sidła.

— Przed rokiem? — powtórzyła, namyślając się — przed rokiem, cóż to było przed rokiem?

Edmund nie spostrzegł podstępu. W ferworze walki odrzekł bez namysłu:

— Przed rokiem przecież tak samo mówiłem do ciebie, gdy chodziło o opinią, jaka obiegała względem nagłego wyjazdu Olgi.

Tu utknął Edmund i lekko zarumienił się.

— Opinia, która obiegała względem Olgi? — powtórzyła dosyć obojętnie, jakby sobie dobrze przypomnieć nie mogła.

— Przecież przypominasz sobie — z żywością mówił dalej Edmund — że opinia publiczna, po wyjeździe Olgi z pałacu, obwiniała ją, że za pieniądze zrzekła się....

— Zrzekła się ciebie, coś ją tak zapamiętale kochał, że już ojcu chciałeś się o nią oświadczyć! — dokończyła Adelaida

Edmund zarumienił się, i zaczął kręcić lornetką wkoło palca.

— Mówiłem tylko o publicznej opini i — odrzekł po chwili nieśmiało.

— I o krzywdzie, jaką podówczas wyrządziła biednej Oldze ta opinia publiczna! — dodała ze złośliwym uśmiechem Adelaida.

— O rzeczach minionych nie chciałem tu mówić, ale chciałam zwrócić uwagę twoję na zasady, jakie miałaś podówczas. Twierdziłaś, że ludzie naszej sfery nie powinni nigdy zważać na to, co mówi opinia publiczna, którą nazwałaś lekkomyślną, nieobyczajną kobietą.

— Nie przeczę temu — z powagą odpowiedziała Adelaida — i chętnie wyznaję przed tobą, że wtedy zbłądziłam, i mocno zbłądziłam. Krzywda, wyrządzona Oldze wtedy, boli mnie mocno, i dziwię się bardzo, że ciebie także nie boli, co byłeś sprawcą tego wszystkiego!

— Cóż miałem robić z opinią publiczną, która jest wszędzie, a którą nigdzie schwytać nie można!

— Było zrobić to, coby tę opinią przekonało, że źle mówiła.

Edmund był widocznie zakłopotany.

— Przypominasz mi młode grzeszki, — rzekł po chwili — których tyle jest w codziennem życiu.

— Nie mów tego, bo Olgę kochałeś prawdziwą miłością, bez żadnej interwencyi osób trzecich, bez swatów, ciotek i babek, które czasem mogą obmotać niewinnego człowieka.

— Przecież z nią nie mógłbym się żenić! — rzekł z ironią.

Adelaida lekko pobladła. Takie usposobienie Edmunda mogło popsuć cały plan jej życia.

Dla czegoż nie mógłbyś się z nią ożenić? — zapytała głosem drżącym.

— Dziwi mnie to, że o to pytać się możesz, — odparł Edmund z widoczną radością, widząc, iż pole, na które tym zwrotem wchodzi, jest korzystne do walki z Adelaidą — dziwi mnie to, że mówisz do mnie w ten sposób. Przecież wiesz dobrze, że urodzenie nasze obowiązuje nas do czegoś, a czasem nawet do ofiar. Tradycya i ustawy towarzyskie nakreślają nam pewną linią, poza którą przejść nie można.

— Lękasz się wykroczyć przeciw tym wyobrażeniom?

— Nie inaczej.

— Przecież byłeś tak długo w obozie demokratycznym, chodziłeś pod rękę z ludźmi nieznanego nazwiska, a dzisiaj zrzekasz się tak zwanych zasad postępowych?

Edmund zmarszczył czoło i milczał czas niejaki. Potem uśmiechnął się i rzekł:

— Obowiązkiem naszym jest, płynąć razem z prądem czasu. Przed rokiem był czas taki, że ten sztandar dominował. Nie chcąc być bezczynnym, zaciągnąłem się pod niego. Dzisiaj ten sztandar powalony; jestem znowu tem, czem byłem przedtem.

Adelaida roześmiała się donośnym śmiechem. W tym śmiechu brzęczały jakieś struny żelazne.

— Cha! cha! cha! — rzekła do niego — czemu krócej nie mówisz, że wtedy była akcya, a teraz nastąpiła reakcya!

— Nazwij to, jak chcesz, o słowa mi nie chodzi! — z chmurą na czole odparł Edmund.

Adelaida wstała, zbliżyła się do niego, a biorąc go za rękę, rzekła do niego z powagą:

— Edmundzie! Poruszyłeś tutaj w rozmowie rzecz, która jest wielkiem nieszczęściem dla nas. Gdyby arystokracya była u nas tem, czem być powinna w dobrem znaczeniu tego słowa, a tak zwana demokracya także; gdyby jedna i druga robiła to, co jest jej obowiązkiem: byłby w społeczeństwie pewien podział pracy, w skutkach swoich bardzo korzystny. Jeżeli jednak jedni nic nie robią, tylko w porze akcyi pod drugi sztandar biegną i tam jego barwie służą, póki ten sztandar nie padnie jeżeli po upadku takim znowu ten obóz opuszczają, aby dalej nic nie robić, tylko próżnować: to ludzie tacy nie zasłużyli na to, aby w potrzebie jakiej mogli odwoływać się do zasad idei, której nie pojmują.

Edmund patrzał z zadziwieniem na Adelaidę. O kazaniu podobnem ani marzył.

— Przed rokiem — mówiła dalej — wyparłeś się urodzenia swego, i byłbyś może za pomocą gilotyny równał ludzi między sobą; a dzisiaj kazałeś swój herb powybijać na guzikach lokaja, a nawet sięgnąłeś po rzecz nie swoję, bo po koronę książęcą, która ci się nie należy.

Edmund poczerwieniał.

— Nie wiedziałem, że kuzynka masz tak dobrą policyą! zauważył z uśmiechem.

— Czy chcesz, żebym ci wspomniała o nieszczęśliwym koszu, jaki odebrałeś, jadąc do Krakowa, od panny Jadwigi?

Twarz Edmunda była teraz podobną do szkarłatu.

Powstał z krzesła i wziął kapelusz.

— Idąc tutaj — rzekł do Adelaidy, — szedłem z inną nadzieją widzę, żem się oszukał.

— Zaczekaj Edmundzie, zawoła Adelaida, biorąc go za rękę — *l'home propose, dieu dispose!* Przyszedłeś tu, jak

mówisz, z pewną nadzieją, nie chcę abyś bez żadnej, choćby innej nadziei ztąd wyszedł.

Edmund spojrzał na nią zadziwiony.

— Wróć wspomnieniem do tej chwili, która była prawdziwem twojem szczęściem — rzekła do niego Adelaida z powagą.

W jej oczach zabłysły teraz łzy.

Temi łzami żegnała wszystkie dawne wspomnienia swoje.

Edmund nie mógł zrozumieć, co znaczą te łzy i te słowa.

— Wróć do Olgi! — dodała Adelaida.

Edmund na chwilę osłupiał. Jakkolwiek takiego zwrotu nigdy się nie spodziewał, jednak coś odezwało się w tej chwili w jego duszy, co mu wszystką krew do twarzy napędziło.

— Wrócić do Olgi? — zapytał z dziwnym wyrazem na twarzy.

— Wiem — odparła Adelaida — nawet za złe ci tego nie mam, że przedewszystkiem chodzi ci o majątek!.... Olga nie jest biedną!

Edmund patrzał ciągle na Adelaidę. Przy ostatnich słowach jakiś nieokreślony uśmiech zaigrał na jego ustach.

Zrozumiała ten uśmiech Adelaida.

— Olga jest bogatą — rzekła szybko — tak bogatą jak ja, ani o grosz mniej, ani więcej; ja za mąż nie pójdę.

Edmund patrzał na mówiącą, jakby jej słów nie rozumiał.

— Powiadam ci to bez świadka, ale Bóg słyszy nas! — ozwała się po chwili Adelaida, i wyprostowała się jakby nagle stanęła na koturnie.

W tej chwili ozwał się dzwonek w przedpokoju.

— Olga idzie! — rzekła po krótkiem milczeniu Adelaida.

— Olga? — powtórzył Edmund w najwyższem zakłopotaniu, nie wiedząc, co to znaczy.

— Czy nie wiedziałeś, że Olga u mnie od kilku dni bawi? — zapytała z uśmiechem Adelaida.

— Nie wiedziałem — odparł z wyrazem zakłopotania na twarzy Edmund.

— Nie przyznajże się do tego... jak i do innych rzeczy nie przyznawaj się.... a ja z mojej strony nic nie powiem.

Adelaida mówiła to z dobrotliwym uśmiechem. Edmund patrzał na nią z trwogą, jakby jej nie dowierzał.

Teraz otwarły się drzwi. Do salonu weszła Olga.

Olga miała paletocik z czarnego aksamitu i kapelusz ubrany w kłosy jęczmienia.

Czarny aksamit i żółte kłosy jęczmienia odbijały prześlicznie od jej twarzy białej, lekko zarumienionej, i od złotych połyskujących włosów.

Ciemno-szafirowe oczy Olgi stanęły nagle nieruchome, obaczywszy Edmunda.

Edmund nie wiedział, co ma robić.

Olga była tak piękną, tak uroczą! Jakaś świetlana aureola otaczała jej piękną głowę, jakby jasne ślady jej marzeń jasnych, a tak boleśnie prześnionych!...

Olga po lekkim ukłonie usiadła na krześle, bo czuła, że nogi drętwieją pod nią.

Edmund powoli zbliżał się do niej.

Widząc to Adelaida, powoli wysunęła się z salonu.

Za kilka tygodni o szarej gdzinie siedziała Adelaida na kozetce, a przy stoliku zajęła miejsce Olga. Na stoliku leżała ta sama cytra, która niegdyś tyle melodyj z siebie wydawała, a niedaleko cytry siedział Edmund rozpromieniony i rozmarzony. Ten sam księżyc świecił w okna z tą samą uroczą doliną.

Gdy Olga grać przestała, zwrócił Edmund rozmowę, jak to przed rokiem w tem samem miejscu tej samej melodyi słuchał z zapałem.

Olga odpowiedziała, że tę melodyą w górskim dworku często grywała i zawsze wyobrażała sobie, że Edmund ją słucha.

— Słuchałem, słuchałem niewątpliwie! — odrzekł Edmund i spojrzał szybko na Adelaidę.

Adelaida nic nie odrzekła, nawet wyrazem twarzy na to nie odpowiedziała.

— Przecież kobiety mają dobre przeczucie — mówiła dalej Olga — ja nigdy ani na chwilę nie wątpiłam, że mnie kochasz!

— Inaczej być nie mogło — odparł półgłosem Edmund.

Służąca zawezwała teraz Olgę.

Olga wyszła z pokoju.

Adelaida oparła głowę o poręcz kozetki i rzekła do Edmunda:

— Nie zasłużyłeś na miłość tej kobiety. Ona cię kocha całą duszą, i wierzyła w twoję miłość wzajemną wtedy, gdy ty o niej ani nie myślałeś...

— Czuje to i pracuje nad sobą teraz, abym stał się godnym takiej miłości — odparł Edmund z głową spuszczoną.

Adelaida uśmiechnęła się z ironią.

— Tacy wy dzisiaj wszyscy jesteście — rzekła po chwili

milczenia — kobieta nigdy nie wie, co kocha; kocha, bo kochać musi! W jednę rzecz tylko wierzę, która mnie uspokaja. Wierzę, że kochany taką miłością, jaką cię Olga kocha, musisz wyszlachetnić aż do wysokości jej uczucia, a wtedy staniesz się rzeczywiście jej godnym, zostawiwszy bez jej świadomości za sobą wiele rzeczy, które były niegodne takiego człowieka, jakiego kochała Olga!

Edmund spuścił głowę do ziemi.

— Będę się starał na taką miłość zasłużyć, — ozwał się pocichu.

— Chcąc nie chcąc musisz to zrobić — odpowiedziała Adelaida — bo kobieta kocha dla tego, aby ten, którego kocha, był szczęśliwy. A widok tego szczęścia jest jej szczęściem!

Edmund milczał.

— Kobieta kocha — mówiła Adelaida — nawet kocha wtedy, gdy wszyscy widzą, że się łudzi... a takie nasze szczęście jest dzisiaj prawie jedynem szczęściem kobiecem!

— A jakież jest twoje szczęście, kochana kuzynko?

— Nie każda kobieta ma jednakie szczęście — odpowiedziała smutno Adelaida — moje szczęście zależy dzisiaj na tem, aby nie zmieniać nazwiska, które noszę obecnie.

Powstała z kozetki i przeszła się powoli po pokoju.

Zdawało się, że wkoło niej była aureola jakiejś nowej arystokracyi...

Olga wróciła teraz do pokoju.

Edmund milczał zamyślony.

— Mówiliśmy o przeczuciu kobiety — ozwała się wesoło Olga — prawda Edmundzie, żem dobrze przeczuwała, żeś mnie zawsze kochał, zawsze o mnie marzył?...

Edmund poczuł na ramieniu małą ciepłą rączkę.

— Zawsze cię kochać będę, i nigdy nie przestanę — odpowiedział z błagalnem wejrzeniem na Adelaidę.

Adelaida uśmiechnęła się, wzięła Olgę za rękę i rzekła:

— W dzisiejszym wieku materyi, giełdy i zbytków, jeżeli kobieta chce być kochaną, to musi sama kochać bez granic, kochać całą duszą, a w tedy w ogniu takiej miłości stopi się i przerodzi każdy, choćby nawet takiej miłości mniej godny mężczyzna!... Pojmujesz to Olgo?.... To jest jedyne nasze szczęście kobiece!... O Edmunda nie potrzebujesz się już obawiać. Od chwili, w której stanie się przez zbieg okoliczności twoim, będzie nim rzeczywiście.

Olga nie dosłyszała kilku słówek z tego, co Adelaida powiedziała, to też nie miała powodu do odpowiedzi.

Ale Edmund usłyszał je. Zbliżył się do Olgi, usunął się do jej nóg, a całując jej małą rączkę szepnął jej:

— Twoim na zawsze!

— Czemuż mi to mówisz? — odrzekła Olga ściskając go tą rączką — wszak to wiem już od roku!

— Tak... wiesz od roku! — powtórzył Edmund z wyrazem na twarzy, jakby czuł w sumieniu wielką zgryzotę.

Szczęściem dla Olgi, że tego wyrazu nie widziała na twarzy Edmunda, bo było już ciemno.

Czasem nie widzieć, należy także do szczęścia kobiecego — pomyślała sobie Adelaida i zadzwoniła na służącego, aby lampę zapalił.

— Prawda, od roku? — szeptała Olga, chcąc jeszcze z szarej godziny skorzystać.

— Od roku! — odszepnął Edmund.

Zdawało się, że w tej chwili Olga więcej nachyliła się ku niemu...

Gdy służący wszedł z lampą, siedzieli zdala od siebie.

Olga grała na cytrze, Adelaida przechadzała się po pokoju, a Edmund oparty o stół, słuchał gry Olgi.

* *
*

Na tem kończy się nasza powieść. Reszty łatwo domyślą się czytelnicy.

O ślubie Edmunda z Olgą przez kilka tygodni żywo rozprawiono. Były głosy przyjaźne i nieprzyjaźne, jak to zwykle bywa. Jedni żałowali go, że w ten sposób dał się oszołomić, drudzy ją żałowali, że wyszła za człowieka tak chwiejnego. Pierwsi byli tego zdania, że po niejakim czasie o tem, co teraz raziło, zapomnieć będzie można; drudzy wierzyli, że szlachetna miłość Olgi oczyści go z wad jego, i zrobi z niego człowieka zacnego i dla społeczeństwa pożytecznego.

Przyszłość — mówiono — okaże, kto miał słuszność.

Zgadnijcie!

Adelaida dobrze i uczciwie tymczasem wyrozumowała sobie szczęście swoje.

Dopięła celu; wszystkie plotki złych ludzi i fałszywa opinia odpadły od jej szat jak błoto wysuszone, a ci, co na nią najwięcej tem błotem rzucali, byli teraz zmuszeni do szacunku i czci, jaką otoczyła się przez swoje postępowanie. Że cały swój majątek dla Olgi i Edmunda przeznaczyła, o tem nie wszyscy wiedzieli, a najmniej Olga.

Stary Burski tylko zrazu martwił się, że mu córkę znowu wydarto. Ale jakoś powoli, przy uprzejmości tych, co go teraz otaczali, przyzwyczaił się do nowej sytuacyi, a nawet tak daleko w nowej roli swojej postąpił, że umiał doskonale wymyślać na służbę, a wszystkich ekonomów w czambuł nazywał chamami i złodziejami!

Prostemu człowiekowi wydawało się, że tym sposobem tworzy wkoło siebie atmosferę pańską, arystokratyczną.

Na tej drodze nawet zaszedł tak daleko, że już dzisiaj bez czwórki i karety nigdzie nie jedzie, za granicą wystawnie żyje, i służbę hotelową grubo opłaca za tytuł hrabiego.

Olga i Edmund próbowali kilka razy dać mu inne wyobrażenia o arystokracyi, ale stary Burski wziął już na kieł i słuchać ich nie chce.

Smutno tylko, że tę karykaturę arystokracyi nazwali koroniarze u wód zagranicznych: hrabią galicyjskim.

Krzywcza nad Sanem, w sierpniu 1872.